JERZY GRUZA

ANEGDOTY, OPOWIADANIA, PODSŁUCHY

ROK OSŁA

Świat Książki

JERZY GRUZA

ANEGDOTY, OPOWIADANIA, PODSŁUCHY

ROK OSŁA

Świat Książki

Redaktor prowadzący

Ewa Niepokólczycka

Redakcja techniczna

Julita Czachorowska

Korekta

Ewa Grabowska

Jadwiga Piller

Copyright © by Jerzy Gruza, 2011

Copyright © by Świat Książki Sp. z o.o., 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Świat Książki

Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o., 2011

ul. Rosoła10, 02-786 Warszawa

ISBN 978-83-247-2588-5

Nr 45086

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.
virtualo.eu

Spis treści

Motto

Tekst

Motto

Matka do córki:
- Wyjdź za niego...Wyjdź!
Wyjdziesz, poznasz kogoś...
Zakochasz się. Będziesz szczęśliwa.

I znów piszę bez troski o interesującą fabułę, przerywanie akcji, aby zaciekawić czytelnika co dalej, nie dbam o kolejność perypetii...

Bo wydaje się, że całe życie jest wielką, niekontrolowaną perypetią.

Wszystko.

Rok Osła zaczął się fatalnie.

Sparaliżował mnie skrót pewnej postawy życiowej, której nigdy nie byłbym w stanie zrealizować. Relatywizm uczuć.

– Wyjdź za niego...Wyjdź! Wyjdziesz, poznasz kogoś... Zakochasz się. Będziesz szczęśliwa.

Śmiech i łzy.

Kupiłem stojący zegar. Przełom osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Renowacja. Wreszcie jest. Stoi w sypialni.

Tyka i trzeba go nakręcać co jakiś czas. Jaka to przyjemność! Jęczy, skrzeczy, rzęzi... Rozumiem teraz Gerwazego. Ta czynność jest jakimś obowiązkiem, czymś nadającym sens trwaniu starego człowieka. Trzeba nakręcać, za coś odpowiadać, być do jakiejś czynności przypisanym, przynajmniej to...

Najpierw wyłączam, czyli odczepiam ciężar uruchamiający bicie zegara. Bił co pół godziny, co godzinę wybijał liczbę odpowiadającą właściwej porze głosem sprzed stulecia. Przejmująco, wyraźnie, jakby chciał wskrzesić zmarłego. Wyłączyłem. Zostawiłem tykanie, nie spałem dwie noce, ale na trzecią spałem utulony zgrzytaniem i rytmem starego mechanizmu. A potem już go nie słyszałem, wtopił się w poziom szumów Śródmieścia.

Jeszcze tylko przebija go śmieciarka nad ranem i głośne rozmowy jej obsługi.

Będzie starym zwyczajem co zatrzymać, gdy właściciel zejdzie z tego świata.

Pocieszające.

Ile razy był tak zatrzymywany w swojej podróży przez lata w różnych sytuacjach historycznych? W życiu jego właścicieli?

Napiszę scenariusz podobny do *Historii jednego fraka.*

Dobre!

Zanim go ukradną i przerobią na telenowelę.

Nie zegar. Pomysł.

Czas.

W średniowieczu ludzie na wyspie Bornholm żyli ze sprzedaży piasku z plaż do klepsydr w całej Europie. Taki był czysty, biały i ziarenka równiutkie. Zegar, który kupiłem, bije godziny, tyka przeraźliwie i rzęzi, gdy dochodzi do jakiejś cyfry.

Gdy pytało się tłumacza z literatury rosyjskiej Ziemowita Fedeckiego: „Która godzina, «panie Ziemku»?", zamiast powiedzieć krótko: „Dziewiąta... trzecia... ósma...", zaczynał tak: „Był w Odessie stary Żyd, miał sklep z zegarami..." i ciągnął tę opowieść przez dłuższy czas.

– Ale która godzina?!

– Ten Żyd miał dwie córki...

Telewizja.

„Kwas siarkowy wymył te piękne jaskinie, tworząc... nieprzeparte piękno ich kryształów..." – czyta Czubówna.

Jakie to uspokajające.

„Stary zając chory, młody dowody wdzięczności w kapuście przyjmuje...". Wielki aktor Marek Kondrat w reklamie banku ING opowiada bajki Krasickiego. Dowcipna i mądra popularyzacja literatury. Misja i zagraniczny kapitał. Wydawałoby się, że nie do połączenia.

A jednak...

Dzwoni poważny człowiek biznesu.

– Czytałem pana ostatnią książkę *Stolik* czy jakoś tak... Mam taki pomysł na felieton w pana stylu (?), coś w rodzaju eseju pod tytułem: „Chuje umierają, stojąc". Nośne? Co?

– No, powiedzmy.

– Panu tego nie zaproponuję, bo jestem dużo młodszy, ale z Piotrkiem Fronczewskim wypiliśmy bruderszafty i możemy mówić sobie na ty –„ty chuju". On do mnie też może się tak odzywać. I nie gniewamy się na siebie.

**

Coraz częściej śni mi się, że pakuję się w wielkim pośpiechu do jakiejś podróży.

Może już czas...

Jeden znajomy playboy jeździ samochodem po świeżo odnowionym Krakowskim Przedmieściu. Ma przepustkę inspektora czystości tych ulic. Straż Miejska zamiast mandatów oddaje mu honory.

Kolega jego ma firmę sprzątającą ulice Warszawy.

Wszystko można. Jak się bardzo chce.

Esej francuskiego pisarza Butora o zaimkach.

Co to jest zaimek?

Pewna pani:

– To, co stoi za imieniem... nazwisko.

– A czasownik?

– Jak się jedzie na rowerze... to... ruch.

– A zaimek... sama nazwa wskazuje.

– Zobaczę w Internecie...

– Wystarczy...

– W Googlach zobaczę...

– Może pani podać jakikolwiek przykład zaimka?

– Adjective.

– No, wie pani?!

– Przepraszam, całą noc nie spałam, a teraz to piwo... nie wiem, ale myślę...

– Przeczytam pani, co na temat zaimków ma do powiedzenia wielki francuski teoretyk literatury i powieści nowej fali. *Nouvelle vague.*

– Ja znam tylko *nouvelle cuisine.* Duże talerze, mało na talerzu, ale kolorowo i drogo.

Dwie sprawy robią nam budyń z mózgu. Mundial i wybory. Uciec, uciec jak najdalej. Wpadam na pomysł, żeby statkiem po Wołdze. Szukam w Internecie. Wszystkie miejsca wyprzedane do końca roku!

Co się dzieje?

Inni wyprzedzają moje pomysły.

Rosja z pokładu parostatku. Jeszcze nieprzerobiona, jeszcze *nieuzachodniona,* bo przyrody tak łatwo się nie zmieni. Chyba że kniaź Potiomkin albo Stalin. Gdyby jeszcze tak burłacy od czasu do czasu ciągnęli nas i śpiewali „Ech... uchniem".

Repin.

Moguczaja Kuczka.

Kto to skojarzy?

Co to dziś znaczy?

Jest tylko w Wikipedii pod hasłem: Rosja.

Ale kto tam zajrzy na ten temat?

W *Milionerach* pytanie za trzydzieści tysięcy złotych.

„Czy *chapeau bas* to wezwanie do: zdjęcia majtek, spodni, płaszcza czy kapelusza? Z trudnością trafili.

Pytany mógł powiedzieć: *„Majtki bas!"*

Sprawozdanie z meczu Serbia – Australia.

...Litmanowicz... Zygicz... Aczicz... Obradowicz... Stanowicz... Ania Wiwicz... Jonowicz... Milo Świnkowicz... mięciutko Ninkowicz... Stankowicz na lewo do Swinkowicza... Krasicz... dobrze Stoikowicz, teraz... Imanowicz... Stoikowicz... Lukowicz... Stankowicz... Obradowicz... i znów Ania Wiwicz... Stoikowicz... Krasicz nie mial alternatywy... Swinkowicz!

Jest już tak, jak w koncernie telewizyjnym Murdocha. Wiadomości polityczne niczym telenowela. Za komuny wiedzieliśmy, że to propaganda i kłamstwo, a tu łykamy tę papkę, z góry zaprogramowaną, bez zająknięcia.

Przenika to też do Internetu: cycki, gwiazdki na cały ekran, skandaliki, reklamy agresywne i bezwstydne. To co etyczne i nieetyczne rozmywa się...

Politycy jak gwiazdy popkultury. Nie ma znaczenia polityka, poglądy, przemyślenia i recepty na świat. Można na nich glosować tak, jak na bohaterów *Tańca z gwiazdami.*

Parter.

Znajoma.

– Mam dzisiaj casting, wpadnę do nich, niech wiedzą, że jeszcze żyję.

Na castingu.

– Gra pani córkę babci. W nocy zakrada się pani do lodówki i zjada pani tam... na razie to tajemnica handlowa.

– Gram córkę babci?!

Tak.

– Ile babcia ma lat?

– Nieważne. Reżyser widział panią na zdjęciu w katalogu agencji „Wybierz nas".

– Ale tam jest moje zdjęcie sprzed trzydziestu lat, wyglądam tam o wiele gorzej. Dzisiaj po wielu zabiegach kosmetycznych mogę grać wnuczkę.

– Proszę bardzo. A więc skrada się pani jako wnuczka babci, otwiera lodówkę, chwyta nasz produkt, połyka i czka.

– Podwójnie czkam? Czy pojedynczo?

– Jak pani wygodnie.

– Czkam ze smakiem, czy z powodu...

– Ze smakiem. I zachęcająco.

– Proszę. – Czka ze smakiem. – Tak? Dobrze?

– Bardzo dobrze. Tylko za mocno. To musi być sympatyczne… i zachęcające.

Wraca do domu po dwóch godzinach czkania.

– I co, dostałaś tę rolę?

– Nie, wzięli „Kożucha".

– Kogo?

– Tę co gra w sześciu telenowelach.

Mundial.

Znajoma.

– Patrzyłam na Włochów. Wcale nie byli tak przystojni jak na mistrzów świata. Słusznie, że przegrali.

**

Błogosławieństwo i przekleństwo.

– Robię, co lubię, i do tego dobrze zarabiam. Czegóż chcieć więcej?

Słusznie.

„Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary? Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?".

Spodnie Yves Saint-Laurent. Usnąłem w nich. Rano pogniecione i jak wyciągnięte psu z gardła. Włosy Jean Luis David – potargane. Torba Louis Vuitton gdzieś zapodziana.

Wszystko podróbki.

Na razie policja nie łapie za to za dupę.

Dopiero gdy w każdej wsi będzie u nas hotel Radisson, możemy mówić o Europie.

Parter.

Dzisiaj trzeba mieszkać na parterze, mówi mi znajomy. Bo inaczej można by wyskoczyć z okna i się zabić. A na parterze najwyżej

wpadniesz w krzaki.

Trzeba mieć nerwy jak postronki. Redaktor kretyn uważa, że twoje promo programu jest źle oświetlone, albo zauważa, że róg dywanu był zagięty, gdy ty chcesz rozmawiać o sensie życia. Niezdolny – nagrodzony, zdolny od lat nic nie robi, miernoty i dupolizacze walczą zwycięsko o kasę, facet bosko obdarzony darem widzenia świata okiem kamery pędzi gdzieś życie pod Warszawą, międląc własne myśli i fobie.

Zalany powodzianin ma pretensje do premiera, że zalało chatę, działkę, piwnicę... Wały przeciwpowodziowe zbudowane wczoraj przeciekają, trzymają się te, które zrobili dwieście lat temu rosyjscy okupanci... Mówią, że prezydent „uzurpator" myśli, że Polska to teren na polowanie... Skąd to się wzięło... Ile trzeba energii i zacietrzewienia, aby brać się za łby w takiej dramatycznej sytuacji. Ile trzeba wysiłku, żeby pokazywać się w tylu miejscach z jednakowo zatroskaną twarzą, jaką musi mieć premier, jakby był odpowiedzialny za wysokość fali na Wiśle.

To wszystko i jeszcze tysiąc powodów, aby wyskoczyć przez okno. Kiedyś tak skakali ludzie honoru. Słynny wujek Rzeszotarski, który nie wiadomo skąd miał kasę w PRL-u, a kiedy się skończyła forsa, drażnił wszystkich nieatrakcyjną sylwetką, świecącą łysiną i tłustym brzuchem. Jeden po drugim skakali na betonowe podwórko w bloku przy Alejach Jerozolimskich, kiedy zapadł się świat Osieckiej i „pięknych", a później niepotrzebnych dwudziestoletnich.

Dudek Pawlikowski (aktor, człowiek z towarzystwa) oskarżany o donosicielstwo. Przed śmiercią studiował reguły zakonu jezuitów i uczył się japońskiego, aby uciec z tego świata zawiści. To nie wystarczyło, trzeba było wykonać Ikara z szóstego piętra w komunistycznym, szarym i brutalnie obojętnym bloku na beton. Nie na bruk! Bruk to brzmi szlachetnie i przedwojennie.

Patriotycznie *(Fortepian Szopena).*

Tu beton.

Parter nas ratuje. Dlaczego biedny ma biedniej, bogaty lepiej, państwo zarabia na SMS-ach wysyłanych na pomoc powodzianom? Dlaczego białe jest czarne, a czerwone brunatne? Dlaczego chuj kręci byle co, a zdolny chodzi po korytarzach coraz innych decydentów, zmienianych co rusz przez innych decydentów? Też chujów. Naiwnością jest uważać to za przypadek. Zmowa! Prawidłowość! Tak ma być! Zły pieniądz wypiera dobry.

Wszędzie! Na zawsze i do końca świata.

Niezależnie od opcji.

To jest lawina.

Wyskakujemy przez okno na parterze.

Ale wpadamy tylko w krzaki.

Zapraszają mnie do „Komisji Brukowej". Istniała już w wieku osiemnastym w Warszawie. Co to jest?

Krótka informacja.

„Komisja IV Brukowa będzie zrzeszać miłośników miejskiej przestrzeni, społeczników, mieszkańców Warszawy, którym zależy na poprawieniu sytuacji w mieście".

Mam wybrać kogoś nośnego w mediach, ale niekoniecznie Dodę.

Szukam.

Wpada mi do głowy pomysł, że może kardiolog, prof. Rużyłło.

Zawsze dobrze mieć wybitnego lekarza pod ręką.

**

Produkcja makaronu. Jaka potężna wiedza jest tu zaangażowana. Gotowany *al dente...* Dla każdego *al dente* co innego znaczy. Ilu Włochów, tyle *al dente.* Rzucam makaronem o ścianę, przykleja się. Podobno to jest *al dente.*

Kto co uważa za *al dente?* Poważny problem, z którym stykamy się na każdym kroku. Co znaczy dla mnie patriotyzm, postęp, ojczyzna,

socjalizm, miłość, seks, money, praca, wiara, niewiara, małżeństwo, dzieciństwo, starość?

Aby to do końca zdefiniować, należałoby rzucać tymi słowami o ścianę... Nie da się, łatwiej makaronem.

Na ringu w Las Vegas piękny Czarny chłopak kontra Złoty Chłopiec - La Hoja. La Hoja bije go przez dwanaście rund, a złoty pas dają pięknemu Murzynowi.

Fuck you!

Mogło być też odwrotnie.

Pudzian wali po pysku sympatycznego grubaska z Ameryki, publiczność w Spodku wyje z zachwytu. Ale to nasz!

Coraz bardziej upodabniam się do Stanisława Dygata. Oglądał świat tylko przez okienko czarno-białego telewizora. I to mu wystarczało. Ja dzisiaj na plazmie wiszącej na ścianie widzę prawie to samo, tylko w kolorze i bardziej płaskie.

**

Komorowski: Wycofamy się z NATO (?). A Kaczyński niech się nauczy hymnu polskiego. Rysiu! Gieniu Kłopotku! Nie ekscytuj się, Tadziu! Patrz na mnie, pośle Cymański! Nie miej Belki w oku. Mamy go jak w banku.

Kawa na ławę

- Jestem za wyborem tego prezydenta, który zginął.
- A ja za Komorowskim, który chce wycofania Polski z NATO.

Mistrzostwa świata w Afryce.

Szakira śpiewa tak, jakby bawiła się całym koncertem, swym ciałem, seksem i sytuacją. Tak samo Messi po udanym albo nieudanym rajdzie, driblingu, strzale ma wesołe oczka.

Dają poczucie radości w tych wielkich masowych imprezach. Że nie wszystko pieniądze, wysiłek, pot, ale też radość dla nich, a przez to dla

milionów oglądających.

Mecz Korea-Brazylia. Brazylijskie gwiazdy za ciężkie pieniądze w klubach europejskich. A żółci, żółci i mali, zastraszeni karami, jakie ich czekają w ojczyźnie, jeśli przegrają... Polscy komentatorzy oczywiście za Brazylijczykami, radzą, jak mają biegać, jak podawać i jak wykosić żółtków. Radzić lepszym i bogatszym zawsze łatwiej - sobie trudniej. Posiadając taką wiedzę piłkarską, dlaczego nie doradzali naszym, jak grać?

**

Szklana niedziela w telewizji.

Sunday, bloody Sunday!

Najpierw wizyta w Muzeum PRL-u.

Konkursy na pakowanie w maluchu!

Kto lepszy: Anna Mucha z jej grupą czy Piróg z chłopakami.

Najlepsze smoki, konkurs w Krakowie.

Kora siwa.

Hungaro Ring. Hubert Urbański z dużym zainteresowaniem obserwuje pracę mechaników Formuły 1.

Trzylatki na Służewcu: „Pod klaczą wygrał dżokej...".

W Warszawie „na Episkopacie" będą rozmawiać dwa kościoły (?).

W Rzymie normalka: „Cari fratelli e sorelli...".

„Dotyk piękna": jak depilować uda...

Pod Warszawą w Góraszce pokaz lotniczy. Dobrze, że jest dobra pogoda.

Wieczorem koncert z Wiednia, z Schonbrunnu: *Księżyc, gwiazdy, planety.*

Wspaniałe widowisko muzyczno-plenerowe. Pomysł ściągnięty od Kubricka z *2001: Odyseja kosmiczna,* kiedy małpiszon uderza w kamień i pokazuje się statek kosmiczny w przestworzach, na tle walca Straussa.

Orkiestra Filharmoników Wiedeńskich. Jakie fałszywe są nasze wyobrażenia o artystach. Siedzi na estradzie kilkudziesięciu wybitnych muzyków o twarzach i sylwetkach: urzędnika banku, ekspedientki, listonosza, biznesmena, chirurga, dyrektora biura, brokera z giełdy. Liszta gra grubymi palcami wybitny pianista o sylwetce rzeźnika i twarzy tłustego mafiosa.

Nie wiem, czy odbiór publiczny wykonawcy i jego gry nie powinien się zgadzać z wyglądem kompozytora?

Może trzeba ich charakteryzować na Szopena, Liszta, Beethovena, Mendelssohna, Czajkowskiego, któremu przewraca nuty młody służący... Nie odrywać dzieła od twórcy!

Chyba że w radiu.

Przypomina mi się zdanie pewnej pani: „Jestem za gruba na pełnię księżyca". Ze sztuki autora angielskiego Firbanka.

Późnym wieczorem debata telewizyjna głównych kandydatów na prezydenta. W poniedziałek po debacie komentarze, które przypominają mi podskoki dwóch pięściarzy przed ogłoszeniem zwycięzcy na ringu, stawanie na linach w narożniku, pozdrawianie publiczności, wyciąganie w górę ręki na znak zwycięstwa. A potem zawiedzione miny i spadek entuzjazmu po werdykcie.

Robiony entuzjazm niepewnych.

Kaczyński wypadł dobrze, Napieralski nie był sztywny i się uśmiechał, Pawlak miał czerwony krawat, ale „przyszedł gajowy z dwururką i wszystkich pogonił" (GW).

Na koniec telewizja Plus. Wrestling.

„Szaman seksu... Góra wspaniałości! Łokieć z górnej liny, postawienie kropki nad i i przerolowanie rywala. Brain Chop. Uderzenie łbem w łeb".

Walka o walizkę z kontraktem. Jedynka z siedmiu zerami!

Do dyspozycji tylko drabina i własne mięśnie. Wystarczy.

A w Wojskowej Akademii Technicznej na ćwiczeniach z chemii wybuch i ranni: adiunkt i studenci.

Chcieli wynaleźć proch?

Bal Kawalerów Gutenberga. Przewiązane szarfy, dobre wino i żarcie. Muzyka z dawnych lat, lata trzydzieste, lata czterdzieste, big band *Où sont les neiges d'antan?*

Licytacja darczyńców na powodzian. Artysta Wołek namalował trzy grube chuje, podobno to snopki siana na polu w górach. Poszły za dziesięć tysięcy, a potem pióro Marii Kaczyńskiej i Lecha Kaczyńskiego... Licytacja niema, nie wiadomo, ile za nie zapłacono. Pierwszy raz w życiu widziałem licytację na niemo.

Śpiewa Irena Jarocka, dostrzega mnie w tłumie, dedykuje *Motylem jestem* mnie i filmowi, który kiedyś nakręciła ze mną. Chodzi w telewizji często... Trzeba o sobie. Podobno w jednej z telewizji jest nakaz mówienia tylko o sobie, cytowania własnych programów, zajmowania się gwiazdkami własnego chowu.

Słusznie.

Nie zauważać innych. Jakby ich nie było.

A później na estradzie występ „Smokie". Jaka różnica! Energia, power, zabawa dźwiękiem, ruchem, szarpaniem strun gitary prowadzącej. Porywają się do tańca starzy i młodzi. Jaką siłę mają te zespoły z Anglii. Jaką musiały ponieść szkołę życia, aby wyrwać się tak wysoko. Ale ciągle bawią się tym, co wykonują, i mieszają jak dawniej.

Chociaż za dużo mniejsze pieniądze.

Na końcu przyjęcia kolega ze Szwecji, emigrant, stale przyjeżdżający na festiwal do Gdyni.

- Będziesz w tym roku w Gdyni?
- Nie.
- Mam hiciora. Do nakręcenia.
- Co to jest?

– Love story.

– To już było.

– Znaczy, że dobre.

– Ale konkretnie?

– Tytuł „Singielka". Już mam telefony z Hollywooda.

– No i...

– Chciałbym, żebyś mi pomógł. Chcę na plakacie mieć wiolonczelę, a za nią nagą kobietę obejmującą nogami instrument. Kto to w Polsce może narysować?

– Nie ja.

– A nie znasz takiego.

– Znam, ale umarł. Starowieyski.

A w Gdyni brylanty, złoto i srebro Lwów.

Odznaczają się, przydzielają i smakują.

Tymczasem w Warszawie Teatr Muzyczny z Gdyni.

Skrzypek na dachu – oklaski na stojaco za piękny, wielki spektakl. Ani jednej recenzji. Onanizują się własnymi produkcjami i gwiazdami, o których piszą codziennie. *Les Miserables* było grane w Gdyni dawno temu, teraz po latach ogłaszają, że Roma gra to po raz pierwszy. „Warszawka" czy siła stołecznej prasy i braku pamięci. Bo to, co na prowincji było sukcesem, nie liczy się dla kilku wytartych dziennikarzy. Młodzi i tak nic nie wiedzą i idą za byle jakim newsem, aby złapać trochę kasy. Na szczęście dyrektor Romy okazał się na premierze człowiekiem z klasą i Europejczykiem.

Ale najczęściej parter!

Niewarci są tego skoku. Nawet z parteru. Miga mi w telewizji zarośnięta i pomarszczona twarz Żuławskiego w rozmowie z Domagalik. Niestety, widziałem tylko ostatnią minutę tego wywiadu.

Jakże dramatyczny wyraz oczu Andrzeja.

Bliski parteru.

Ajschylos i Krall plus Warlikowski.

Może być następnie: Hen i Sofokles, Grochola... i Goethe, Szekspir i Stasiuk albo Wiśniewski, dobry w zestawieniu z Racine'em, nie mówiąc o Gogolu i Czechowie.

Bez wstydu!

Napiszcie coś sami. Wystawcie i czekajcie na oklaski.

I dosyć tych, co grają wszystko. Markiza de Sade, nawet nie potrzebując przyprawiać sobie chuja. Gwiazd tych samych co drugi dzień, łysego, grubego na każdym kanale... Jeden Marek Kondrat zachowuje się z godnością. Gra tylko w banku ING, dawniej Śląskim, dzisiaj zagranicznym.

Dolewa własnego wina. Ale nie zamienia wina w wodę, jak większość wybitnych kolegów.

Tak jak lista stu najbogatszych, powinna się ukazywać co roku lista stu, dwustu, a może czterystu (na Festiwalu Gwiazd w Międzyzdrojach) - najwybitniejszych artystów polskich.

Przy trzech tysiącach może bym się załapał.

A może w ogóle.

W Brukseli Warlikowski nasadził swoich pomysłów w operę Verdiego *Makbet.* Piszą, że to, co widać, nie zgadza się z tym, co słychać.

Przy stoliku w klubie Czytelnika dwóch posłów. Jeden mówi, że dawniej chłopów można było wrzucać do ognia, gdy w zimie brakowało opału. Tak robili panowie w Galicji. Sam też jest posłem z Galicji.

Kazio Kutz szybko zbiera się na zebranie, gdzie ostatecznie mają naprawić telewizję publiczną.

Pytam, czy będę mógł wreszcie coś tam zrobić. Dziesięć lat mi się nie udaje. Ciagle zmieniają się ekipy rządzące.

- Nie wiem - mówi Kazio.
- To na chuj mi ta naprawa?

Telenowela.

– Jestem w ciąży.

On wącha spokojnie tequilę.

– Nic nie powiesz? Będę miała dziecko.

– Nie moje pierwsze i nie moje ostatnie. – Wypija i odstawia kieliszek.

– Ty łajdaku!

Tym razem telenowela meksykańska.

Patrzą, chłoną, głupieją.

Solorz.

„Głodny nie jesteś sobą!".

Zgoda, połowa ludzkości nie jest.

Najbardziej komfortowe łóżko świata. Vividus. „Łóżko na miarę snów!". A jak cierpię na bezsenność?

Dziś przy stoliku Henryk Bereza po raz trzeci pokazywał i wizualizował stosunek młodych ludzi na przystanku tramwajowym. Obserwował całą scenę z okna. Była szósta rano w niedzielę. Widocznie wracali z jakiegoś klubu i czekali na ranny tramwaj.

– Chłopak i dziewczyna?

– Tak.

– Mało ciekawe.

– Czy widziałeś goły członek?

– Nie. On trzymał ręce w obu kieszeniach spodni.

– Pokaż, jak to było.

Stary, prawie osiemdziesięcioletni guru polskiej krytyki literackiej wstaje i wykonuje na oczach kawiarni ruchy kopulacyjne.

Kierowniczka zaniepokojona.

– Panie Henryku, czy pan się dobrze czuje?

Za tydzień poprosimy go z Głową, aby znów opowiedział tę historię.

Porównamy szczegóły. Jak za PRL-u, kiedy kazano pisać po kilka życiorysów i badano, co opuszczono, co dodano... Wtedy wychodziło szydło z worka.

Dyrektor artystyczny w telewizji. Rozmawia z Młodym, Zdolnym, Wrażliwym: - „...Więc tak, na tle Żelazowej Woli *Preludium...* tańczą w powłóczystych białych szatach młodzi mężczyźni...".

- Przepraszam pana. Jeden telefon.

Dyrektor wybija cyfry na telefonie.

- Niech pan mówi...

- A więc w białych szatach... *Preludium...*

- Zosia? Słuchaj, wczoraj była ogórkowa i dzisiaj? Co, nie można zrobić pomidorowej... czy fasolowej? No dobrze, krupnik.

Wyłącza się.

- Tak. Słucham pana.

- Białe giezła, a po tym *Andante* i...

- Jeszcze raz muszę zadzwonić. Przepraszam.

Wybija numer.

- Ja ci coś powiem! W zeszłym tygodniu krupnik był trzy razy. To już wolę ogórkową.

Rzuca telefon na biurko.

- A więc Beethoven? Tak?

- Nie, Chopin.

- Rok Chopinowski już się kończy. Przepraszam, dzwoni „ogórkowa".

Ksiądz L. sypie datami, nazwiskami, kto, kiedy, jak się nazywał... Nawet wie, kto dubbingował tych, co ukradli księżyc w filmie Jana Batorego *O dwóch takich...* I który był Jarek, a który Lechu.

Mianowaliśmy księdza dziekanem wydziału „who is who" przy naszym stoliku.

Zadziwiająca wiedza!

Kazio Kutz opowiada, co działo się czterdzieści lat temu. W szkole filmowej w Łodzi jakaś starozakonna trzęsła całą szkołą. Po latach ktoś spotkał ją cichą i spokojną w kibucu w Izraelu. Jest łagodną, miłą staruszką.

Krysia Morgenstern uważa go za antysemitę.

Ale coraz modniejszy jest neoszamanizm.

– To są wypreparowane z otoczki socjalnej, po prostu gołe techniki – mówi ktoś.

– Szaman zasłania się przed rzeczywistością zawsze jakąś płachtą, maską albo pióropuszem...

– Czy wiecie, że można być w dwóch miejscach naraz?

– Pierdolisz!

– To jest tak, jakby ktoś, będąc głęboko w łodzi podwodnej, wyglądał przez peryskop i był jednocześnie głęboko w morzu i na powierzchni morza.

Wczoraj miałem zebranie „Koła młodych". Stałem trochę w klubie „The Eve" koło młodych.

Jedna młoda opowiadała, że w ich Wyższej Szkole Marketingu i Reklamy egzaminuje dziekan, który odpytuje z wiadomości o swoich pobytach za granicą na urlopach.

– Proszę powiedzieć mi, kiedy byłem z żoną na Bali i spóźnił się samolot?

– W dwutysięcznym...

– Pełnym zdaniem proszę.

– Na Bali wraz z szanowną małżonką był pan w wakacje dwa tysiące ósmego roku w połowie sierpnia, panie profesorze.

– Bardzo dobrze.

– A teraz ty. Jaką wycieczkę z drugą żoną zrobiliśmy w Tajlandii rok później, gdzie spadłem przy wsiadaniu ze słonia?

– Na wyspę Phuket, gdzie kręcono Jamesa Bonda.

– Obie dostajecie zaliczenie z wyróżnieniem.

Druga młoda.

– Boli mnie pod kolanem... miałam stosunek bez zabezpieczenia. Czy możliwe, że to ciąża pozamaciczna?

**

Dziennikarze na wzór amerykański robią przedsiębiorstwo z własnych poglądów, multiplikują swoje pisanie w radiu, prasie, telewizji, w Internecie. Copywritują i wielokrotnie sprzedają. Za jedną banalną myśl na temat, który podsuwa codziennie życie, biorą kilkakrotnie pieniądze.

Tanie to, co piszę. Sorry.

Ale to z zazdrości, też bym tak chciał jak wy.

Wystrzegać się konserwantów! Wszystko jest konserwantem. Po pierwsze, powietrze.

A cały smak jest w tłuszczu! Wypreparuj samo mięso. Co zostaje? Trociny mielone z tartaku w NRD – jak mawiał nieboszczyk Janusz Minkiewicz.

Polski biznesmen.

– W młodości każdy ma jakieś hobby, proszę pana. Było mi wstyd, że ja nie mam. Wybrałem jedzenie. Dla siebie i dla innych. Mam teraz wielkie zakłady przetwórstwa wędliniarskiego.

– Zacząłem od sklepu wędliniarsko-muzycznego. Bo gram też na gitarze.

– Dzisiaj jestem osiemnasty na liście stu najbogatszych we „Wprost".

Kiwam głową z uznaniem.

Jeden z przyjaciół czyta *Stolik,* moją poprzednią książkę, przy stole. I co chwilę rozmawia z żoną.

Okazuje się, że nie lubię, jak się czyta moje teksty nieuważnie. Mimo że nie jestem poważnym literatem, ale raczej zręcznym kolekcjonerem życia i jego przejawów. Jednak moje spostrzeżenia mają zawsze ukryte znaczenie i *double meaning.*

Wymaga to odrobinę z a m y ś l e n i a, do cholery!

Tak, to by było ciekawe! „Gdyby młodzi wydawali na świat starych. Ci ostatni coraz bardziej młodnieją, aż wreszcie rodzą nowych starców" (Canetti).

„Dopiero w słońcu ludzie wydają się, jakby zasługiwali na życie".

Ale nie przy tych upałach, do cholery!

Samolotem do Francji na ślub syna znanego finansisty. Jedzie 170 osób. Po lądowaniu panie i panowie odwożeni są otwartymi lincolnami do luksusowego hotelu. Apartamenty z widokiem na błękitne morze.

Bal.

Kulczyk podobno pociąga nogą, to samo Krauze... Potenisowe urazy. Nowa młoda Kulczykowa w sukni z piór perliczek, urocza i i powabna, bez zadzierania nosa. Poprzednia żona sympatyczna i elegancka, bez cienia zazdrości. Krauzowa dowcipna i mądra. Inne panie z twarzami jakby po walce ze słońcem pod różnymi równoleżnikami. Też obecni wybitni lekarze na „w razie czego"...

Skąd to wszystko wiem?

Zeznała mi pod przysięgą w tajemnicy pewna uczestniczka imprezy.

I piszę trochę to tak, jak niezapraszany nigdzie korespondent peerelowskiej gazety opisywał wszystkie ważne imprezy w Paryżu. Pisał z punktu widzenia przechodnia stojącego za barierką odzielającą publiczność od celebrytów. I wyobrażeniem tego, co działo się w środku, ekscytował nas, polskich czytelników zza żelaznej kurtyny.

Teraz robię to samo, mimo że inny ustrój, inni celebryci, inne barierki... finansowe.

Celebryci uganiają się za głosami młodych. Daniel zbiera głosy sympatii dla Komorowskiego na Pomorzu, ktoś inny w Bronkobusie jedzie i rozdaje ulotki gdzieś tam daleko w Polsce, Krzysio Materna na Mazurach... Podobno zeznał przy piątym dołku na polu golfowym w Rajszewie, że walczy o posadę Odorowicz... Ktoś mu poradził, żeby brał prezesurę telewizji, która zaraz się zwolni.

Zastanawia się.

Trudny wybór.

„W trzynastym wieku w Egipcie wśród wszystkich stanów rozprzestrzeniła się mania jedzenia ludzkiego mięsa, szczególnie nastawano na życie lekarzy. Kiedy ktoś był głodny, udawał chorego i kazał wołać lekarza, ale nie po to, by zasięgnąć jego rady, ale by go zjeść" (Humboldt).

Rozumiem teraz klęskę idei „lekarzy rodzinnych" w Polsce.

Jadę jutro do Instytutu Kardiologii w Aninie, widziałem kilku smakowitych, świeżo upieczonych lekarzy z nowego naboru.

Sierżant od czerwonych beretów:

– Nigdy nie ma tak, że śpi dwóch. Jesteśmy w Białowieży, gdzie grasują niedźwiedzie. Nie śmiać się! Jeden czuwa, drugi robi, co chce. Potrzeby fizjologiczne załatwiamy w środku trójkąta bezpieczeństwa.

Dziś pogrzeb KTT.

Chciałem coś powiedzieć serdecznie nad grobem, ale się rozmyśliłem. Dobre przemówienie Szulkina, że dla Toeplitza zawsze dwa razy dwa znaczyło cztery. To świetne dla krytyka, ale mordercze dla artysty.

Wdowa z synem.

Stoję do kondolecji przed Jerzym Szmajdzińskim.

Następnego dnia jego też już nie ma.

Szmajdzińskiego.

Jest na liście tych, co zginęli w katastrofie pod Smoleńskiem.

Spiker zapowiada: „Tragedia w Smoleńsku – specjalna audycja w radiu »Złote Przeboje«!

Rzeczywiście, przebój sezonu.

Na cały rok. I dłużej.

Jedna z postaci u Białoszewskiego, zdaje się się pani Jadźwinia, dziwi się, dlaczego podawali w prasie o znanej tancerce, że umarła, a później ją widzi na ekranie telewizyjnym jak występuje. Pani Jadźwinia wtedy mówi:

– Jak to jest, u m a r ł a, a tańczy?

Tak samo nie mogę uwierzyć w tę idiotyczną katastrofę, która w jeden węzeł zespoliła wszystkie polskie wady, niedoróbki, decyzje z piekła rodem, przypadkowe powody nieszczęścia i nadzieje...

Dzięki telewizji nieboszczycy m ó w i ą... a przecież zginęli!

Zdziwiłaby się pani Jadźwinia.

Nie widziałem tylu sympatycznych zdjęć prezydenckiej pary, ile po ich śmierci. Za Gierka był specjalny człowiek od mass mediów, Włodek J. Pierwszy sekretarz tylko z prawego profilu, gdy pije wodę, bo mu zaschło w gardle... Wyciąć.

W niedzielę wyszła Polska. Tysiące ludzi na ulicach. W przypadkowo uformowanym kondukcie daleko za trumną jechali rowerzyści i inwalida na wózku, który starał się dołączyć do oddalającej się coraz bardziej kawalkady samochodów oficjeli.

Piękne i smutne.

Szlochał też Olejniczak.

Przy stoliku w klubie blady jak ściana Henryk Bereza.

Ksiądz L. przepytuje, co mu jest?

Henio jest zbyt delikatny, aby relacjonować swoje dolegliwości publicznie i informować ze wskazaniem na chore części ciała, na przykład układ wydalniczy. Zjawia się Krysia M. – córka znanego

malarza, mieszkająca w Paryżu. Stawia butelkę czerwonego wina, jak to Francuzka, mimo że Polka. Zrobiona kosmetycznie na najwyższym poziomie. Podchodzi jej przyjaciółka z gazety Adama M., siada, wygląda przy Krysi, jakby nigdy w życiu kosmetyczki, masażystki, wizażystki nie widziała.

Ksiądz L. zawiązuje sobie pod brodą serwetkę, nie chce pochlapać koloratki zupą pomidorową. Informuje mnie szeptem, że ta, co się przysiadła, to zasłużona bojowniczka o niepodległość. Dlatego taka zmarnowana.

Płacę i wychodzę.

Kelnerka Justysia pięknie wygląda w czarnej obcisłej sukience. Seksownie i z lekką chrypką woła na całą salę: „Flaki do odebrania!".

W domu czytanie zaległego Żuławskiego. Za dużo poprzepisywał z klasyków. Wybieram fragmenty o Esterce.

Wolę Esterkę z biustem między „piątką" a „szóstką" od lektury już dawno przeczytanych i tak mozolnie cytowanych przez autora kawałków literackich. Ile to się trzeba napisać tych liter, czarnych znaczków wymyślonych przez... Arabów (?) i na papierze nastawiać.

Jedno mi się podoba, że Andrzej świadomie powtarza z uporem to, co już kiedyś napisał. Robię to samo. W związku z tym, że starano się go na wszystkie sposoby przemilczać, serwuje publiczności stare kawałki. Nikt nie zauważy. Może wreszcie czegoś się dowiedzą. Teraz ma sukces komercyjny. Pisze to samo, co już kiedyś napisał. Nie chcieli czytać dawniej, teraz, podlani sosem skandalu, czytają.

Za karę.

Chyba wydam swoje książki pod innymi tytułami i też nikt nie zauważy.

W *Nocniku* Żuławski nie obcyndala się z mediami. Aż strach go odwiedzić w tej Wesołej.

Hauptwerk... Tak zwany główniak – rzecz, którą miałbym zrobić. Co to ma być, jeszcze nie wiem. Boję się, że nie mam już czasu ani wystarczającej energii na teatr, film, książkę, widowisko. Kiedyś miałem pomysł, aby wystawić na stadionie olimpijskim w Moskwie *Jesus Christ Superstar...* z wjeżdżającymi kapłanami w czarnych czajkach na boisko... Ukrzyżuj go!!! Jak zebranie partyjne przed procesami moskiewskimi w 1938 roku... Jezus ukrzyżowany na koronie stadionu w lotniczych reflektorach, u dołu tysiące statystów. Rozbiło się wszystko o to, że prawosławie nie tolerowało wersji Lloyda Webbera i odchyleń protestanckich tego tekstu.

Chcieli przerobić ten musical na swoje prawosławne kopyto.

Potem chciałem to samo zrobić w Warszawie na Stadionie Dziesięciolecia, ale odmówiono nam z powodu zagrożeń takiej liczby widzów wobec jakichś wolnościowych zamieszek w stolicy.

O co konkretnie szarpali się protestujący, nie pamiętam.

Pomysł zbito na out.

Teraz szarpią się o Wawel. Czy Kaczyński zasługuje obok królów i Piłsudskiego spoczywać.

Na razie tysiące oddają mu hołd, stojąc godzinami w kolejce, aby uklęknąć przed trumną.

Ktoś zawraca mi dupę przez komórkę, kłamię szeptem, że właśnie klęczę w pałacu.

– To ty? Nie poznałem cię, patrzę na transmisję na żywo. Ale schudłeś!

– Tak. Ta tragedia i w ogóle...

– Przepraszam, wyłączam się. Nie chcę ci przeszkadzać w modlitwie.

Wajda z żoną odważnie protestuje.

Złośliwi mówią, że prezydent zabrał mu miejsce w krypcie.

Obroty w restauracji Gesslerów w Europejskim obok pałacu prezydenckiego, gdzie wystawione są trumny, wzrosły wielokrotnie.

Komentator telewizyjny: „Szczątki Pierwszej Damy w trumnie wzruszają setki odwiedzających...".

Opłakiwanie zmarłych ma jedno na celu: ich

O ż y w i e n i e. Żałoba powinna trwać tak długo, aż to się uda.

Zobaczymy.

Na razie podobno mgłę nad lotniskiem sztucznie wyprodukował Putin z Miedwiediewem (Internauta). Co było, naturalnie, przyczyną katastrofy.

Okej!

Róbta tak dalej!

Nie można zbyt długo siedzieć w czerni i słuchać marsza pogrzebowego. Przy stoliku kończymy idiotyczną dyskusję dwoma również idiotycznymi szmoncesami.

- Stara żona jest jak wino, nie powinna... wychodzić z piwnicy.
- Dlaczego ty stale jeździsz z żoną na wakacje?
- Wolę to, niż całować się z nią na pożegnanie i przywitanie.

Spór.

- Ale w życiu jest inaczej, życie ma swoje prawa i nie da się go oszukać! - mówi ktoś z przekonaniem.

Młody dorobkiewicz, oligarcha.

- Życie?... Życie to jest dobre... dla kierowcy, kucharki, sprzątaczki... dla służby.

Będzie trochę żal tych pogrzebowych przemówień i uroczystości. Dobrze jest słuchać muzyki poważnej i nie trzeba chodzić na premiery do teatrów w wydaniu artystów, którzy w garniturach z Vistuli grają całą klasykę albo z chujem na wierzchu bez garniturów. Na szczęście i teatry, i kina zamknięte do odwołania... Nie ma reklam w radiu i telewizji. Co za ulga! Jedyne wiadomości ze świata to ta przeklęta chmura pyłu po wybuchu wulkanu w Islandii.

Zostaliśmy sami dla siebie, ze sobą i w sobie. Polak jako kantowski *das Ding an sein.* Piękny.

Jako fenomen – gorszy.

Daniel Olbrychski gra list do braci Moskali. Dosłownie „gra", gestykuluje, płacze, a nie czyta. Podobno dostał około trzystu kondolencji od Ruskich.

W kondukcie pogrzebowym na Wawel za trumną idzie nieboszczyk! Przecieram oczy ze zdumienia. A to Jarosław! Zobaczymy, czy będzie miał na tyle odwagi, aby kandydować na brata bliźniaka.

Jutro poniedziałek, niestety.

Do stolika Krysia M. przynosi z „Gazety" wiadomość, że Wajda dzięki katastrofie pod Smoleńskiem zarobił miliony.

Cały świat puszczał w telewizjach jego *Katyń.*

Miny nam zrzedły.

Krysia zamawia butelkę wina.

Nie może wracać do Paryża.

Chmura znad Islandii. Uśpione wulkany dają znać o sobie. A wydawałoby się, że nasze sprawy są najważniejsze.

Wszyscy planują wakacje. Ale tam, gdzie można dojechać pociągiem albo samochodem.

Chmura pyłu narobiła strachu, że nie wszystko zależy od człowieka.

Lago di Garda. Pamiętam moją pierwszą podróż do Włoch. Leżę w łóżku, a nagle w oknie widzę, że coś przeleciało na tle nieba. Znów coś przelatuje... Zrywam się i biegnę do okna. A to jakiś mężczyzna na paralotni wysoko na tle chmur. Za komuny nie do pomyślenia, czegoś takiego nie było. Człowiek ptakiem? Ikar?

– A u mnie sroka lata przed oknem w mieszkaniu – mówi ktoś przy stoliku. – A mieszkam na parterze.

Ni w pięć, ni w dziewięć.

Takie dialogi są najlepsze.

Z nudów razem z Ewą F., babką słynnej Frytki, zakładamy stowarzyszenie.

STOWARZYSZENIE BYŁYCH PRZYJACIÓŁ „ZAWIŚĆ i ZAZDROŚĆ"

zaprasza na spotkanie założycielskie

W programie:

Referat wprowadzający o idei Stowarzyszenia Wizualizacja: balet żeński, Szczecin, Wały Chrobrego 14

(tzw. Zagłębie Ruchry)

Zebranie „Koła matek" posiadających córki w Nowym Jorku

Przewodnicząca: Zuzanna Łapicka Przedstawiciel: Członek oczekujący. Zgłosiło się wielu. Lista (do wglądu)

Idea powołania Określenie wieku (od ilu lat?) Klub „Samoobrona" - np. przeciw jeździe samochodem, oglądaniu TV, chodzeniu na promocje, na bankiety, na przyjęcia i jubileusze Referat: „Jak być out?" COVER STORY

Wywiad z nieciekawym człowiekiem Występ: piosenka, gra na fortepianie, sztuki magiczne

Stare anegdoty, które są wszystkim znane Tańce do rana, jeśli siły i energia pozwolą W dogodnej chwili zebranie „Koła Mężczyzn Poszukujących Drugiej Skarpetki"

Napoje: herbaty ziołowe, relaks, melatonina, melisa. Korzeń żeń-szenia w dwóch postaciach

Dania: kleik, sucharki, jarzyny bez soli *(product placement).* Środek na wzdęcia

Całkowity dochód z imprezy przeznaczony na wyjazd prezesa z sekretarzem generalnym po słońce i radość, gdzieś na południe.

Jest wielu chętnych przy stoliku, aby przystąpić do Stowarzyszenia.

Ks. L. mógłby nam być kapelanem.

Wczoraj na przyjęciu weselnym otarłem się o wielkie pieniądze. „Czwarty" z listy stu najbogatszych objął mnie i pijany bełkotał do ucha.

– Stary, jesteś bardzo... Oka... okej. Bardzo! Kocham cię. Gdybyś czegoś potrzebował, jakiegoś wsparcia... Patrz na tego chuja! – Pokazuje na siedzącego przy stole faceta. – Wyciągnąłem go z dna i zrobiłem człowiekiem. Zrobię to samo z tobą (!). Gdybyś czegoś potrzebował, jestem do dyspozycji. Powiedz tylko ile? Pół melona euro? Będzie dobrze? Milion wykładam na stół, bo cię kocham i cenię.

– Właśnie noszę się z pewnym pomysłem... mam już scenariusz. Dam ci do przemyślenia mój projekt. – Skromnie staram się łapać go za słowo.

– Tylko ja nie chcę nic myśleć! Ty jesteś od myślenia, ja finansuję, co ty zaproponujesz. Kocham cię!

– Ja też. Cmok, cmok!

– Jesteś wielki. Daj mi znać tylko... co, gdzie, jak...

– Bardzo się cieszę. Poproszę o jakiś kontakt do ciebie... Wizytówkę albo telefon...

– Wizytówki nie mam, a telefonu ci nie dam, bo będziesz dzwonił, jak te wszystkie chuje, co mi dupę zawracają... Jerzyku, kocham cię!

Odwraca się w kierunku następnego klienta, tocząc nieprzytomnym wzrokiem po sali.

Taki skurwysyn „szczwany", nawet kompletnie pijany wie, jak nie spaść na „piąte" albo „szóste" miejsce na liście we „Wprost" – gdyby wyłożył jakąś kasę na mój projekt.

Rano obudziłem się z bólem głowy i objawami grypy. Była niedziela, mżyło. Jak mówił kiedyś Hłasko: – Pada, bo niedziela. Jak idziesz do roboty, to świeci słońce.

Leżałem w łóżku i klikałem bezmyślnie telewizyjnym pilotem. Chwilę oglądałem tłum zgromadzony na placu przed papieżem w Rzymie, przełączyłem na pogodę, na mecz, na *Familiadę,* na wyniki giełd światowych, biedę w Etiopii, przenoszenie krokodyla z jednego bajora do drugiego i zostałem przy *Fashion Show* na niemo. Patrzyłem na kobiety na ekranie jak na kolekcję egzotycznych motyli. Doskonałość i klasyka urody nigdy mnie nie pociągały.

Zbliżała się pora obiadu.

Sięgnąłem po dziwne zaproszenie na promocję czegoś... Jakaś firma zapraszała na godzinę trzecią do eleganckiego hotelu. Przetrzymam promocję, napiję się i zjem coś na ciepło. *Sunday, bloody Sunday!* Wstałem, ubrałem się, ruszyłem w kierunku metra. Nie brałem samochodu ze względu na planowane darmowe drinki.

Przed hotelem uderzył mnie brak eleganckich wozów, zwykle czekających z kierowcami na koniec przyjęcia. W holu też było pusto. Trochę zaniepokojony rozejrzałem się i pokazałem portierowi zaproszenie.

– Gdzie to się odbywa?

– W sali konferencyjnej na drugim piętrze.

Aha, pomyślałem, na „ciepłe" nie ma co liczyć, będą tylko zakąski i alkohole, gdyby planowali bogatszą zachętę dla swoich produktów, wynajęliby salę restauracyjną blisko kuchni.

– Z tym że my nie bierzemy odpowiedzialności za to, co tam będzie – rzucił od niechcenia znajomy portier. – My tylko wynajmujemy... różnym.

– Co to znaczy.

– Nie wiem, ale niech pan uważa... Tak ogólnie informuję.

Trochę mnie to stropiło.

Na wszelki wypadek wyjąłem telefon komórkowy i ze słuchawką przy uchu pokazałem się na korytarzu przed salą konferencyjną. Udawałem, że z kimś rozmawiam. Jednocześnie chciałem wybadać sytuację. Z fotela

przed wejściem na salę podniosła się młoda para elegancko ubranych ludzi. Ona wysoka blondynka, on okularnik w ciemnym garniturze.

– Prosimy do środka. Zaraz zaczynamy.

Przez uchylone drzwi widziałem ludzi siedzących tyłem do wejścia.

Wszyscy siwi? Kiedy wszedłem i usiadłem na końcu sali, zobaczyłem na przodzie dwa łóżka zasłane pościelą, oparte o ścianę.

Dziwna dekoracja. Powoli wszystko się wyjaśniło. Panienka zadała pytanie publiczności. Dlaczego chorujemy? Dlaczego pocimy się i wysuwamy nogę, rękę czy dupę w czasie snu spod przykrycia. Bo śpimy źle. W niewłaściwej pościeli. My proponujemy pościel wełnianą. Bardzo też przydatną w różnych aspektach.

– Wyselekcjonowaliśmy państwa do odleżyn – mówi z uśmiechem ta młoda dupa, a facet nalewa mi kieliszek najtańszego wina musującego, w hurcie po sześć złotych butelka.

Skąd dostali mój adres, wzięli z „who is who" czy z jakiejś listy starców jeszcze żyjących?

Blondynka nagle wyrywa na scenę siwego mężczyznę, przykłada mu wąską poduszkę z wełny do twarzy.

– Może pan oddychać?

– Tak – szepcze tamten jak zza grobu.

– Proszę bardzo! – woła triumfujaco prezenterka. – Jedyną wadą takiej poduszki wełnianej jest może to – puentuje dowcipnie – że nie można nią udusić współmałżonka.

Siwi panowie i panie wybuchają gromkim śmiechem.

Opuściłem zgromadzenie „wyselekcjonowane do odleżyn", nie dopijając sikacza w kieliszku do szampana i bez nadziei na „ciepłe". Swoją drogą, mają chwyty ci młodzi cwaniacy transformacji. W taką szufladę już mnie włożyli! – pomyślałem i kopnąłem w drzwi wyjściowe. Tę młodą konferansjerkę w obcisłej, krótkiej spódnicy zadusiłbym bez wahania wełnianą poduszką za bezczelność wyciągnięcia mnie podstępnie z domu.

W lustrze holu ujrzałem odbicie chłopca sześćdziesiąt lat później. Stanąłem zdumiony.

– To nie ja! Ja nie jestem nim. „Ja to ktoś inny!" – przypomniałem sobie słynne oświadczenie Rimbauda.

Gdy wyszedłem na ulicę, mżył deszcz. Miałem lekką grypę. I byłem głodny jak wilk. Coś na ciepło!

W knajpie obok hotelu usiadłem przy stoliku. Zanim zjawiła się obsługa, przypominałem sobie stary żart, jak facet zamawia u kelnera obiad.

– Poproszę tak... Najpierw zupę pomidorową, ale z lekko podgniłych pomidorów... ze skisłą śmietaną, zimną, później drugie danie: sznycel z jednej strony spalony z drugiej surowy, ziemniaki niedogotowane, kapusta z zeszłego tygodnia, ogórek kiszony z pleśnią, sałata z robakami, deser: kompot z truskawek na pół zgniłych, zalanych nieprzegotowaną wodą. Kieliszek wódki, ale ciepłej i na pół z wodą.

– Ale to bardzo trudne zamówienie – mówi kelner.

– A wczoraj było łatwe, chuju!

Podszedł kelner. Chłopiec „sześćdziesiąt lat" później o mało co mu nie powiedział:

– A wczoraj, chuju...

Zaczęło się! Wybory prezydenta. Napieprzają się. Po czyjej stanąć stronie, wahają się Polacy.

Czerwone słupki preferencji wskazują na tych, co „obejmują się z carem północy", a nie tych, którzy nie mieli okazji na obejmowanie.

Powoli zaczyna to nudzić i męczyć... Plotki o przyczynach katastrofy fantastyczne. Ale jakaś nowa fala się zbliża... Zginął w wypadku Wojciech Siemion, a wydawałoby się, że nieśmiertelny. Wypadek. Każda śmierć jest wypadkiem przy mozolnej pracy, jaką jest samo życie.

Szczególnie na starość.

Dużo śmierci.

Umarła Elżbieta Czyżewska.

Dzwoni Zosia Czerwińska.

– A na co? Paliła jak smok – rzucam do słuchawki.

– Na co? Na co? To już pytanie nie w naszym wieku. Jak jest „po ptakach", to nikt nie pyta, po jakich ptakach.

– Ale czy to prawda?

– Potwierdzone przez tego dziennikarza filmowego.

– Ale on zdaje się ten... tego?

– Od tyłu to tylko na wsi, jak mówił Maklak, ale może... dziś jest inaczej. Nie zaprosiłeś mnie na promocję swojej książki.

– Wpadł mi i-phon do wody, wykąpał się i zniknęły wszystkie zapisane telefony.

– Ale dzwonisz do mnie?

– Przecież to ty dzwonisz do mnie, że Ela nie żyje.

– Aha, prawda.

**

Zdzisław Maklakiewicz.

Tylu o nim dziś trzepie anegdoty, a niektórzy widzieli go tylko na ekranie telewizyjnym. U mnie grał, siedzieliśmy w Spatifie, nudziliśmy się na planie, piliśmy w knajpie, wydaje mi się, że go znałem lepiej od niejednego specjalisty biografa.

Raz stoimy ze Zdziśkiem i jeszcze dwoma innymi aktorami przy wysokich stolikach w barze Baryłeczka róg Wilczej i Marszałkowskiej. Bar ten był wówczas szczytem kultury alkoholowej. Otworzony z nadzieją na tzw. kulturalne spożywanie piwa. Nie pod budką, nie krzaki, nie brama, ale kulturalnie w barze piwnym, z tym że często brakowało piwa, ale najbardziej czekało się na wolny kufel, bo z myciem było trudno. Kufel był tu najcenniejszą rzeczą.

Rozmawiamy głośno o jakiejś premierze. Komentarze, wyzwiska pod adresem reżysera, analizujemy sceny, oceniamy dekoracje i nagle od

drugiego stolika zbliża się do nas kolejarz, w mundurze, z charakterystyczną torbą konduktorską przewieszoną przez ramię, z kuflem w ręku.

– Bardzo panów przepraszam, ale jak tak panów słuchałem, to przypomniałem sobie, że ja też raz w życiu byłem... homoseksualistą.

Spojrzeliśmy po sobie. Nie było w naszej dyskusji ani słowa na ten temat.

– Jak panowie widzą, jestem kolejarzem, konduktorem. Czasami jadę w długie trasy... i raz w życiu zostałem homoseksualistą, a obdarzony jestem przez naturę, proszę panów... bardzo, można powiedzieć wybujałym narządem płciowym.

– Tak, ale wie pan... my nic na ten temat... przecież...

– Nie, ja bardzo przepraszam... można? – Stawia kufel z piwem na naszym stoliku. – Ale muszę się przyznać. Naprawdę, panowie, że raz byłem. Byłem. Wierzcie mi, słowo kolejarza Polskich Kolei Państwowych. Raz! Otóż, jak mówiłem... obdarzony jestem... nadzwyczaj wybujałym...

– To już pan mówił.

– Tak? Jako konduktor jeżdżę na bardzo długie trasy: Warszawa-Szczecin. I tym podobne. A tylko raz w życiu, proszę panów, zostałem homoseksualistą. Jak to się stało?... Idę do pracy na noc... A tu kurs do Szczecina nagle zostaje odwołany. A obdarzony jestem...

– To już wiemy.

– Wracam do domu i co widzę... a obdarzony jestem...

– Tak, tak...

– I co widzę? Na mojej żonie leży jakiś facet i proszę panów, te gołe jego pośladki tak góra-dół... góra-dół... Nie wytrzymałem! Skoczyłem na niego z wściekłości. A obdarzony jestem, już panom mówiłem... On jęknął tylko, a ja bez litości robię swoje... I tak pierwszy raz w życiu zostałem homoseksualistą! Wierzycie mi, panowie? Mówi wam to konduktor z wieloletnim stażem.

Zdzisław zrobił tę swoją minę świadczącą, że życie jest przebogate w nieoczekiwane zakręty i niespodzianki.

Ten skromny pracownik Polskich Kolei Państwowych miał tak nieprzepartą ochotę i pragnienie, żeby opowiedzieć o swojej przygodzie komuś życzliwemu, a najłatwiej było to zrobić w przyjacielskiej atmosferze Baryłeczki po kilku kuflach piwa.

Rozważaliśmy też teorię, że to jest sposób na zwerbowanie sobie partnera, bo wśród kolegów kolejarzy trudno mu było spotkać przyjaciela o podobnych preferencjach. Uprawiał pewno ten chwyt od lat po różnych knajpach i barach, reklamując też przy okazji to, czym został tak bogato wyposażony przez naturę.

Ale dlaczego: „Jak tak panów słuchałem (?), to przypomniałem sobie, że ja też raz w życiu byłem...".

Maklakiewiczowi

Radio, film, telewizja.

Spotkali się w tłumie przed przystankiem autobusowym. Długo patrzyli na siebie, zanim niski, niepozorny mężczyzna wykrzyknął:

– Zdzisiek!

– Tak?! – ni to przytaknął, ni zapytał duży, zwalisty osobnik z szeroką, nalaną twarzą.

– Zdzisiek! – Niski uderzył go w ramię. – Rany boskie, że ja cię spotkałem... ale się żona ucieszy.

– Królikowski... Królik. – Tamten z trudem przypominał sobie, jakby niepewny w ruchach, ale i w pamięci.

– Tak jest, Zdzisiu! Tak jest! Ty teraz radio, film, telewizja. A ja co?... Co ja! Przy tobie. – Ale nie dopowiedział tego do końca, tylko szczerze się ucieszył.

Patrzył w oczy temu dużemu, zwalistemu mężczyźnie i zachwycony powtarzał w kółko: radio, film, telewizja!

Znali się ze szkoły. Nawet przyjaźnili. Później ich drogi się rozeszły i dopiero dzisiaj... Duży był aktorem, trochę skrępowany, niepewny i

zażenowany tym, że nawet te drobne epizody, które grał w radiu, filmie i telewizji z braku gotówki i innych propozycji, przynoszą mu jednak pewną popularność.

Uśmiechał się teraz niepewnie.

– Zdzisiek! Moja żona musi cię poznać. Nie darowałaby mi tego do końca życia. Radio, film, telewizja! Nie możesz mi odmówić. Idziemy do taksówki, nie będziesz jechał z tymi ludźmi w zatłoczonym autobusie. To nie dla ciebie!

Wziął dużego pod rękę i ruszyli na postój.

Aktor nigdy nie był nadmiernie zajęty. Mógł iść wszędzie i w każdą stronę, o każdej porze. Ale najchętniej – do baru. Skrępowany tym, za kogo bierze go kolega i że teraz musi odegrać chyba największy „epizod", jaki mu się trafił w życiu – rolę gwiazdora radia, filmu i telewizji. Miał tremę.

Długa kolejka ludzi na postoju skorygowała nieco ich plany. Weszli do najbliższego lokalu w bocznej ulicy, aby przeczekać godzinę szczytu.

Mały – chociaż z początku napierał, że żona czeka i trzeba jechać – stopniowo ulegał towarzyskiemu czarowi dużego, który w miarę upływu pewnego płynu rozwijał się w przygotowaniach do występu zasadniczego, ale – że tremiarz – odkładał wyjście na „scenę", improwizując coraz to nowe etiudy i anegdoty aktorskie, aby opóźnić przewidywaną klęskę.

A więc przede wszystkim jego popisowy numer: chód wielbłąda w siedmiu kontrapunktach. Aktor, wielki, workowaty mężczyzna, nagle podniósł się i zamarł w bezruchu na dłuższą chwilę; stał tak, koncentrując się wśród gwaru sali, szczęku talerzy i pokrzykiwań kelnerów...

– Zaraz będzie chodził! – podawano sobie od stolika do stolika.

Widocznie był to „występ" już wielokrotnie oglądany przez stałych bywalców lokalu.

– Uwaga! Zaraz pójdzie. Uwaga!

A tamten ciągle trwał w jakimś prowokacyjnym, zapamiętałym bezruchu. Był jak wyzwanie rzucone całej sali, pełnej ludzkich mrówek, ruszających się, gadatliwych, żujących, szczerzących zęby, chlejących i czkających. Stopniowo jednak cała ta wielogłowa hydra nieruchomiała i cichła.

Jak się to mówi wśród aktorów - mężczyzna umiał trzymać „pauzę". Stał nieporuszony i niemy, wyzywający i żądający pełnej koncentracji od publiczności. Sala powoli zamierała. Kelnerzy, jakby zatrzymani w jakiejś magicznej stop-klatce, utknęli w pół ruchu.

Wtedy ruszył w ten swój wielbłądzi chód w siedmiu kontrapunktach jak kaczka w siedmiu smakach w chińskiej restauracji. Każda część ciała poruszała się oddzielnie: ręce, głowa, brzuch, nogi - wszystko osobno, sprawiało to rzeczywiście wrażenie wielbłąda idącego przez pustynię.

Aktor obchodził tak salę wokoło, z oczyma jak dwa małe spodki utkwionymi gdzieś daleko. Wędrował teraz z karawaną przez złote piaski pustyni, nieczuły na mordercze słońce, brak wody i pokrzykiwania poganiaczy. Idąc tym rozkołysanym, charakterystycznym krokiem wielbłąda, sprawił, że cała sala poddała się jakby zbiorowej sugestii.

Znajdowali się teraz gdzieś na Saharze i wędrowali z nim razem - daleko od zadymionej, podrzędnej knajpy, gdzie topili swoje smutki, stresy i kłopoty. Co poniektórzy bezwiednie poruszali głowami i szli tak wraz z nim do ogromnego afrykańskiego słońca na horyzoncie.

Szatniarz, widocznie już po kilku takich seansach, potrafił połączyć trzy albo cztery konrapunkty w jeden ruch ciała i stojąc za konturarem szatni, wędrował zapamiętale ze wszystkimi.

Kiedy mężczyzna dokołysał się wreszcie do swego stolika, przy którym siedział oniemiały z zachwytu kolega, sala wybuchnęła oklaskami i okrzykami. To była najprawdziwsza *standing ovation,* o której mogą marzyć tylko wielkie gwiazdy.

- Jak ja ci zazdroszczę, jak ja ci zazdroszczę tego wszystkiego!

Duży mężczyzna w odpowiedzi wzruszył ramionami i wykrzywił twarz w pełnym pobłażania grymasie, jakby zgadzał się nieśmiało, że jest czego zazdrościć.

– Ale, rany boskie, która to godzina? – Mały spojrzał na zegarek. – Jak późno! Co powie moja żona? Zdzisiek, teraz nie ma już wyjścia. Musisz mnie ratować, miałem być w domu zaraz po biurze.

– Słuchaj, ale już po północy, nie wypada – protestował aktor.

– Wypada, wypada! Żona będzie zachwycona, zobaczysz! Dużo o tobie rozmawiamy, zawsze, i muszę ci powiedzieć, że czasem mi dokucza, że ty radio, film, telewizja, a ja co? – krzyczał coraz głośniej. – A ja co?!

– Właśnie, a ty co?

– Daj spokój. – Mały machnął ręką. – Idziemy!

Taksówka. Dalekie osiedle. Bloki. Odrapana winda. Mieszkanie jak tysiące innych. Zaspana żona.

– Zosiu, wstawaj! Patrz, Zdzisiek! Radio, film, telewizja...

– O, Boże, a ja taka nieprzygotowana...

– Zrób nam coś szybko! Zdzisław, czuj się jak u siebie w domu. Zosiu, radio, film, telewizja u nas! Cieszysz się?

A potem siedzieli w kuchni, żeby nie budzić dzieci. Gospodarze wystawili wszystko, co mieli, aby godnie przyjąć gościa.

– Jednak pan dużo młodziej wygląda w życiu niż na ekranie... – Żona obciąga kusy szlafroczek.

– Zosiu, Zosiu – strofuje pobłażliwie mąż. – Zdzisław nie takie rzeczy widział. U nich tam w radiu, filmie, telewizji... to wiesz.

– Czy pan, jak całuje się z partnerką, to ma przyjemność?

– No... – Aktor znów powtórzył tę swoją jedną minę-grymas, którą miał na wszystkie sytuacje niepewne lub wymagające konkretnej odpowiedzi.

– Ale Zdzisiek to chyba nie jest typowe imię dla aktora, prawda? – ciągnie rozmowę gospodyni.

– No... – I znów ten sam grymas.

Gość wyraźnie tracił na pewności siebie w zestawieniu z tymi ludźmi, którzy go chcieli widzieć wielkim, a on jakby prywatnie nie odpowiadał ich wyobrażeniom o aktorze radia, filmu, telewizji. Był szary, nijaki. Dlatego też tak często go angażowano. Był zwykły.

– Napijemy się... – Gospodarz rozlewał już trzecią kolejkę.

– Może lepiej skosztuje pan truskawek... – podsuwa gospodyni w głębokich kryształowych miseczkach czerwone, ocukrzone owoce.

W ogóle kryształy były podstawową dekoracją tego mieszkania. Znakiem zamożności i statusu właścicieli.

– Ale pan teraz nie jest ucharakteryzowany, prawda?

– Nie... – uśmiechnął się.

Ona – obciągnięcie szlafroczka.

– Nie krępuj się, Zosiu, nie krępuj... Zdzisław takie rzeczy mi dzisiaj opowiadał, że... Powiedz jej o tym *Panu Tadeuszu* albo... Lepiej pokaż ten swój chód wielbłąda. Mówię ci, to jest coś nadzwyczajnego! W siedmiu kontrapunktach. Rozumiesz?

Nie rozumiała.

Rozpoczęła się nauka...

Gospodarz już dawno spał w pokoju, znużony lekcją kontrapunktu i alkoholem, i śnił, że wędruje przez pustynię w karawanie wielbłądów. Najpierw upiorne słońce, a potem pragnienie: piekielne, palące; później burza piaskowa i znów sucho w gardle, nagle fatamorgana, że wodopój tuż... tuż... z wodą lodowatą, mineralną...

Usiadł na łóżku z językiem zdrętwiałym od pragnienia. Powoli wstał i otworzył drzwi do kuchni.

Pod lodówką na podłodze zobaczył żonę z rozchylonym szlafrokiem, a na niej „film, radio i telewizję" w jednej zwartej masie.

– Zdzisiek! – ryknął jak raniony jeleń.

Aktor, jakby zażenowany, uśmiechał się niewinnie, żona zbierała się z podłogi.

Mąż złapał popielniczkę ze stołu i bez celowania trzasnął w ten grymas na twarzy, tyle razy dzisiaj powtarzany. Kryształ rozprysnął się

na miniaturowe gwiazdeczki.

– Co robisz, idioto!? – krzyknęła kobieta i rzuciła się w stronę męża.

Kiedy tak się szarpali, aktor osunął się na podłogę. Gwałtownie zamarli i spojrzeli na niego.

– O Boże, zabiłeś go!

Twarz aktora była jedną krwawą miazgą.

Gospodarz poczuł, że uginają mu się nogi. Usłyszał jeszcze krzyk obudzonych dzieci i zawisł zemdlony w ramionach żony.

Nie wiedział, że aktor zagrał jeden ze swoich najlepszych epizodów w życiu.

Wcale nie został trafiony, udał upadek i w ostatniej chwili, kiedy tamci byli odwróceni, rozmazał sobie garść truskawek na twarzy. Radio, film, telewizja...

Podróż.

To potrafił tylko Miron Białoszewski. Patrzeć przez okno pociągu i robić z tego literaturę.

Spróbuję to samo bez ambicji na literaturę, a tylko na prosty, chaotyczny trochę zapis.

Jazda pociągiem z Gdańska do Warszawy.

Najpierw przeciskanie się z bagażami z wagonu pierwszego do ostatniego, gdzie mam miejscówkę. Każde drzwi między wagonami automatycznie się otwierają i zamykają z taką siłą, że o mało nie przecinają mnie na pół. Po iluś takich egzekucjach wściekły potrącam ludzi, kopię jakąś babę w nogę, staję się strasznym chamem, wymyślam, przepycham się, gwałtownie atakując pasażerów, rzucam kurwami i w kolejnym przejściu dostaję zamykającymi się drzwiami cios w piersi, po którym nie mogę złapać oddechu.

Rzucam się, potłuczony i zmaltretowany, na siedzenie w pustym wagonie.

Zapominam, że mogę już patrzyć spokojnie przez okno, dyszę, łapiąc powietrze jak karp na stole kuchennym.

Most na Wiśle za Gdańskiem. Odmładzają, remontują. Nie był remontowany chyba od wojny. Pod spodem bezkresne tereny basenu retencyjnego na wypadek powodzi. Dobrze, że nie ma tu domów, willi jak na większości takich terenów nad Odrą, zalewanych corocznie, a potem z pretensją do rządu, że niezbyt szybko daje pieniądze na remonty... z naszej kasy.

Remont starego mostu. Nareszcie! Golden Gate w San Francisco jest remontowany od chwili otwarcia. Profilaktyka zawsze się opłaci. Nie u nas. Ciągle rżysko.

Peron pierwszej stacji po Gdańsku. Tczew. Wysiadają jakieś dwie dupy w obcisłych dżinsach, z włosami rozpuszczonymi do pasa. Ryczą ze śmiechu. Z czego? Może pomyliły pociąg? Kogoś olały... Wykiwały jakiegoś wyliniałego podrywacza... Z czego można się tak szczerze śmiać... Młodość! Zdrowo, szczerze, aż ściskają nogi, aby nie zesikać się ze śmiechu...

Dwóch ze straży kolejowej obserwuje je podejrzliwie na pustym peronie. A one stoją z bagażami, czekając pewnie na pociąg w drugą stronę, bo w Gdańsku wsiadły w niewłaściwy. A więc z powrotem do Gdańska i umierają ze śmiechu.

Malbork piękny z okien pociągu. Historia w pigułce. Wydaje się, że istnieje tylko w podręcznikach szkolnych. A tu jak na dłoni.

Dlaczego takie ładne, nowe domki stawiane są tak blisko torów kolejowych? Nie przeszkadza im huk przelatujących obok pociągów? Polska głucha. Już na zawsze. Niewrażliwa na hałas. Nie kocha ciszy. Zmaltretowana wszechogarniającym poziomem decybeli poddała się.

„Zielono mi...". Ani jednej krowy na ciągnących się kilometrami pustych łąkach.

Nie opłaci się? Może to przez Unię Europejską. Limity mleka.

Ile pustych kolejowych budynków z czerwonej cegły po drodze. Powybijane szyby w pustostanach, otwory szczerzą zęby... można by tam porobić teatry eksperymentalne zamiast remontować lokomotywy, wagony. Jak w Stoczni Gdańskiej grać Szekspira, a nie budować statki. Ofelia w *Hamlecie* reżyserii Klaty skakała do basenu portowego.

Krytycy wyli z zachwytu.

Za oknem pięknie.

Tylko że z samego pięknego pejzażu nie da się zrobić już dzisiaj literatury. Nawet Tołstoj nie dałby rady.

Tak łatwo wycinają drzewa przy torach. Nie widać, żeby sadzili. Za dużo właścicieli w dawnym PKP! Dawniej wycinano drzewa, aby nie zaprószyć ognia od dymiących lokomotyw.

Teraz od elektrycznych?

Ile ładnych domów! Z daleka. Z okna pędzącego pociągu... 40 kilometrów na godzinę! Gdańsk–Warszawa teraz sześć godzin.

Ale i marzenie. Żeby podróż nigdy się nie skończyła. Jechać, tak jechać bez końca!

Przeraża cel i koszmar czekających kłopotów.

Powrót niesie zawsze rozczarowanie.

Tory. Wymiana podkładów. Stare już betonowe. Dawniej podkłady kolejowe były dębowe i pachniały smołą. Rozgrzane słońcem, niosły swój smołowy zapach, budząc tęsknotę za daleką podróżą.

Dzisiaj stary beton zamieniają na nowy już z wtopionymi żelaznymi uchwytami. A śruby, gwoździe, klamry. Gdzie? Na bocznym torze stoi jakaś niemiecka maszyna, która to wszystko automatycznie zamontuje bez bohaterskiego polskiego kolejarza w mundurze.

Ojczyzno!

Cztery samochody zaparkowane w obsranej zagrodzie. Dziupla?... Ale tak na widoku. Niemożliwe. Przyjechały dzieci z dziećmi do dziadków

samochodami.

Jaka przyjemna jazda po nowych torach. Pachnie Europą. Delikatny szum zamiast stukotu. Tuwim z *Lokomotywą* odpada. Jak technika może wpływać na zrozumiałość poezji.

Na chwilę, bo znów stoimy, czekając na wolny tor.

Ruszamy.

Gwałtowne hamowanie.

Widzę przejazd przez nowe tory z kolejką czekających samochodów, ale bez szlabanu. Jeszcze nie zdążyli zamontować. Byliśmy o krok od wypadku?

I wreszcie Mazowsze. Baraczki, brudy, zardzewiałe siatki ogrodzeń. Perony już zrobione na Euro w High Tech. Porządne. Ale otoczenie koszmar.

Modlin – carska Rosja prześwituje czerwonymi cegłami z każdego zakątka. Z jednej strony Cytadela, z drugiej boisko Tuska i cmentarz w czarnym granicie, który udaje prawdziwy.

W przedziale kelner z baru.

– Może pan teraz zapłacić?

– Dlaczego teraz? Zapłacę, jak pan przyniesie to, co zamówiłem.

– Ale wtedy nie będę miał drobnych, żeby wydać resztę.

– A teraz pan ma?

– Mam.

– Niech pan zatrzyma je w kieszeni i przyjdzie, jak zjem.

– Może tak.

Nigdy nie wiem, kiedy dojeżdżamy do Warszawy Wschodniej. Za każdym razem zmieniają trasę dojazdu. Mosty, przejazdy, jakieś bloki, kawałek rzeki, odrapane przedwojenne budowle. Nie można się zorientować, czy już, czy za pół godziny. Chyba że jest noc i widać

wspaniale oświetloną katedrę na Pradze, dawne królestwo arcybiskupa Głódzia.

Taki nieoczekiwany przyjazd do stolicy przypomina mi opowiadanie Bobka Kobieli, jak wracał z żoną z zagranicy za PRL-u. Jechało z nimi dwóch młodych Anglików. Po raz pierwszy mieli być w stolicy czterdziestomilionowego państwa i dwumilionowego miasta Warszawy.

Pociąg zbliżał się powoli do stolicy, celując na Dworzec Gdański. Dojeżdżało się tam wśród ogródków działkowych, ukwieconych sadów (była wiosna), rozkwitłych drzew, jak do jakiegoś wiejskiego zacisza. Bobek tłumaczył im, że już za chwilę Warszawa, stolica Polski, ale oni nie chcieli wierzyć... Mieli w oczach Paddington w Londynie, dyszący ruchem i zgiełkiem, do którego przez godzinę jechało się wśród wieżowców. To nie może być wielkie miasto z takim międzynarodowym dworcem wśród sadów. Na pustym peronie żadnego ruchu. Bobek z żoną na siłę wypchnęli ich z przedziału, a później z wagonu. Anglicy podejrzewali, że to jest jakiś okrutny żart albo zasadzka reżymu i że są aresztowani.

Tyle się nasłuchali o komunie.

Koniec podróży.

Rozmowa przez telefon.

- Na Centralnym pociąg będzie o dziewiętnastej zero zero.
- Dobrze.
- Jestem w ostatnim wagonie.
- Rozumiem. Zaraz za lokomotywą.
- Nie. Za lokomotywą jest pierwszy wagon. Ja jestem w ostatnim.
- Rozumiem.

Wjazd na peron Centralnego.

- Przepraszam, że czekałeś tak długo, ale byłam zaraz za lokomotywą, przy ostatnim.
- To pierwszy!

Blondynka.

Trzeba mieć grupę wsparcia. Pedałów, Żydów, pisowców, peowców, rodzinę, kolegów, współwięźniów z Gołdapi, wydawać coś razem, ukraść jakieś miliony, zbudować tunel wzdłuż Wisły, być na polowaniu w Kenii, pływać jachtem po Śródziemnym, tańczyć na weselu syna oligarchy z córką innego oligarchy.

Upały. Co za lato!

Gorąco jak w piekle.

Ewa Frykowska, pamiętam ją jako polską Monicę Vitti.

- Jak pani znosi te upały? - pyta ktoś przy stoliku w Klubie.
- Na upały jestem już za stara.

„Powracająca melodyjka".

Nie wiem, co to było? Film, piosenka, bajka, przysłowie...

To jest powracająca melodyjka, ktoś mówi... jakby refren czegoś, co zdarzyło się dawniej, a teraz nieoczekiwanie pojawia się znowu. Przypomnienie... wspomnienie... cień dawnego zdarzenia, o którym się zapomniało, błahego, znikomego, a które wraca z dziwną siłą.

Małżeństwo na kocią łapę. Kochają się, ale ona wyjeżdża. On dla odświeżenia małżeństwa chce się odprężyć z kimś innym. Młoda kobieta, znajoma z pracy. Zaprasza ją na kolację. Przygotowuje, popisując się znajomością kuchni włoskiej.

Mieszkanie małe. Z kilkudziesięciu metrów zrobiono cztery pokoje z kuchnią. Jest bardzo miło i właściwie bez napięcia erotycznego. Wszystko może się zdarzyć, ale bez konieczności. Polegują swobodnie po kolacji na tapczanie. Jakaś próba zbliżenia, bardziej że wypada niż z namiętności.

Nagle trzask. Pęka naszyjnik złożony z miniaturowych różnokolorowych koralików. Rozsypują się po całym mieszkaniu.

Nic się nie stało.

Ot, słabość materiału.

Zaczynają zbierać koraliki.

Ona mówi, że to nic, nie ma znaczenia, to nic drogiego i cennego.

Ale on już widzi oczyma duszy konsekwencje.

Miniaturowe koraliki znikają w zakamarkach tapczanu, dywanu i mebli.

Cała atmosfera romantycznego spotkania pryska jak bańka mydlana.

On całą noc szukał i znajdował te przeklęte koraliki.

Następnego dnia przyjazd żony.

Siadają przy herbacie.

Nagle żona, co to jest?

Wszystkiego nie mógł usunąć.

W dywanie błyska w świetle lampy kolorowy koralik.

Nie wiem. Może to sprzątaczka.

A to? Pod ścianą?

Tragedia!

Nie wiem.

Nie wiesz?!

A tu pod poduszką?!

Koralik.

Czyj? Kto tu był? Do cholery!

„Powracająca melodyjka".

Mają ulubionego psa.

Ona wyjeżdża. On sprowadza sobie przyjaciółkę.

Kochają się. Długo i namiętnie.

Pies tymczasem zjada jej kolorowe rajstopy. Szukają wszędzie. Nie ma. Czary. Pies choruje.

Kiedy wraca żona, pies wymiotuje kolorowymi rajstopami.

Rozwód.

Roman Polański i ta mała (teraz stara) z Los Angeles.

Przypadkowy „dmuch", jak to się kiedyś mówiło.

Areszt domowy, groźba więzienia w Stanach. Po latach czterdziestu „powracająca melodyjka".

Młoda kobieta.

– Spotkałeś moją matkę trzydzieści lat temu. Nikomu dotąd o tym nie mówiła. Ale ja chcę wiedzieć, czy naprawdę jestem twoją córką? Mów!

Tylko tyle.

– Na czwartek zamówiłam wizytę w laboratorium. Wezmą twoje DNA. Wszystko się wtedy okaże.

„Powracająca melodyjka".

Redaktorzy w mass mediach dobierają sobie ciągle tych samych rozmówców.

Ci, gdy tylko odkryją swoją opcję, wyciskani są do imentu na każdy temat. Nie ma mowy, aby mogli zmienić zdanie albo wyskoczyć z czymś oryginalnym, są jak znakowane karty w tym pokerze przedwyborczym. Są dobierani jeszcze zawodami, które dawno już przestali uprawiać: były artysta, dyrektor, specjalista, nauczyciel, lekarz, redaktor, profesor, prezydent, minister, przeor, rzadziej dozorca nocny, sprzątaczka, rzeźnik, kierowca czy malarz pokojowy.

Lubię takiego, który występuje jako nauczyciel. Może zabierać głos na każdy temat, byle we właściwej opcji. Mały, drobny, taki ćwierkający ptaszek... wróbelek. Nawet nazywa się podobnie, Vogel czy jakoś tak... Opowiadali mi znajomi, że prowadzi prywatną szkołę. Podstawowe kryterium inteligencji ucznia, który może zaczerpnąć wiedzy w tej szkole dla wybranych, to wybór odpowiedniej opcji.

„Czy chcesz być w podróży wędrowcem, czy włóczęgą?". Odpowiedź na to pytanie decyduje o twojej przyszłości. Jeżeli wybierasz włóczęgę, jesteś przegrany na wieki, ty i twoje dzieci i wnuki, jeżeli wędrowca, latasz samolotami biznesklasą, jeździsz służbowym mercem, zdasz i będziesz wywyższony, nawet możesz się mądrzyć w TVN jako dyrektor, pedagog, ptaszek... Vogel.

I wędrować przez czterdzieści lat po pustyni, aż zapomnisz, o co ci chodziło i o co się kiedyś spierałeś... w ł ó c z ę g o!

Kawa na ławę

Rymanowski i politycy.

- Panowie, nie d o l i w a j m y oliwy do ognia!
- A kto według pana d o l i w a oliwy do ognia?
- D o l i w a oliwy każda opcja.
- Jak już ma d o l i w a ć, to ja proszę oliwy z pierwszego tłoczenia, a nie z drugiej ręki.
- D o l i w a n i e oliwy do ognia jest po prostu pytaniem o fakty!
- Fakty są i bez d o l i w a n i a wyraźne.
- Ale jak ktoś się tak spieszy, to się diabeł cieszy.
- Jeszcze raz pytam, kto d o l i w a?
- Wszyscy d o l i w a m y.
- Oliwa jest najbardziej ohydną rzeczą w trosce o państwo. Bo wy d o l i w a c i e nie bez powodu.
- A co z waszymi billboardami, czy to nie jest d o l i w a n i e?
- To nie jest casting piękności ani oliwa. Córka chce wesprzeć stryja.
- To jest skok do kasy pamięci.
- Apeluję o umiar! O umiar w d o l i w a n i u, panowie.

I tak przez pół godziny.

Trzeba powiedzieć, że tym dziennikarzom sypie się jak z rogu obfitości.

Katastrofa w Smoleńsku, chmura popiołu, powódź, analizy czarnych skrzynek, wybory, znów powódź i obsuwanie się ziemi, upały, burze, poprzewracane drzewa...

I tak do zamęczenia nas poziomem wód, strat, wałów, trajektorii lotu, dlaczego nie usłuchano żądania „pull up" i co robił generał Błasik w kokpicie (0,6 procent).

Teraz pojawiły się dopalacze. Jakby nie było tego problemu od lat.

Wśród dziennikarzy telewizyjnych amerykański rekordzista.

Larry King z CNN-u miał siedem żon. Czasami jeden rozwód to za dużo dla człowieka. Siedem razy! Założyli klub żon Larry'ego Kinga.

A u nas Lis tylko raz się rozwiódł i jaki był krzyk.

Teraz rządzi we „Wprost" zamiast startować na prezydenta.

Tak oszczędzać na pokarmie dla wyobraźni czytelników kolorowych magazynów!

Doszedłby do drugiej tury, a może nawet by i wygrał pierwszą, gdyby się rozwiódł z drugą żoną.

„Jeszcze jedna książka. Jeszcze jeden tysiąc stron, nic sobie z tego nie robię. Piszę. Trzeba wszystko przemyśleć na nowo" - Canetti.

Siedzimy w kilka osób w ogrodzie. Jest cudowny letni wieczór z okrągłą tarczą księżyca na niebie. Przypieprza się nieznany facet w moim wieku. Nikt nie ośmiela się go odpędzić. Mówi do jednej z kobiet: „Ma pani oczy jak... Jak pani ma na imię? Słucham? Beata? *Beata semper Virginia.* Ja jestem Henryk. Po włosku Enrico. Po francusku Henri... Po niemiecku Helmut... Mówię wszystkimi europejskimi językami, bo w szkole uczyłem się łaciny. Proszę państwa, dlaczego nie możemy spać przy pełni księżyca? Kto? Wszyscy. Wszyscy ludzie na ziemi. Powiem wam w sekrecie... jestem uzależniony od księżyca. Dzisiaj będzie pełnia, już zacząłem wędrować. Czuję się lekki i zwiewny, przyciąganie ziemskie jest zakłócone pełnią, czyli bliskością księżyca. Mieszkam przy Wiśniowej. Czy odwiedzi mnie pani kiedyś? Czym różni się wiśnia od czereśni i która jest szlachetniejsza? Proszę? Z żoną nie mogę spać. Ona jest słuchowcem, a ja wizjonerem... Ma takie same oczy jak pani, tylko z pewnością lepiej od pani gotuje. To pani mąż? Dobrze, że poszedł dzwonić na stronę. Nienawidzę tych ludzi z komórkami w ręku. Teraz jesteśmy do pary. Słońce obraca się wokół swojej osi jedenaście lat. Ziemia dwadzieścia cztery godziny.

Proszę to wziąć pod uwagę. Beato, *semper virginia.* Mój syn jest wiolonczelistą. Dobrze, że to chłopak, gdyby był dziewczyną, nie pozwoliłbym jej trzymać ciągle instrumentu między nogami. To tylko podnieca słuchaczy. Syn mieszka w Salzbrucken... to znaczy w mieście między mostami. Znam łacinę. Teraz gra na fetiwalu w Bayreuth, ale to nie wschodni Bejrut, lecz niemieckie Bayreuth, gdzie Wagner jest grany. Ma pani oczy migdałowe... Im jestem starszy, tym bardziej podobają mi się młode kobiety... Może podać mi pani numer swojej komórki, powiem pani, dlaczego nie śpimy podczas pełni księżyca...".

- Spieprzaj pan! - Wkracza mąż Beaty *semper virginia.*

Virginia z pierwszego tłoczenia, czterdzieści lat temu.

Pierwsza fala powodziowa.

Druga fala powodziowa.

Trzecia fala powodziowa...

„Ciekawe, co ten Putin jeszcze nam, Polakom, wymyśli?" - Mleczko.

Powstaje język powodziowy.

- Znów muszę meble „piętrować".

Przerzucać z parteru na piętro, chronić przed wodą, jak u biznesmenów pozycjonować produkt.

Katastrofa pod Smoleńskiem też wprowadziła dużo pojęć kompletnie nieznanych szerokiej publiczności. Z jaką wprawą posługuje się nimi Po-chanke. Terminologia lotnictwa wojskowego, cywilnego, dorzuca też coś od siebie. Generałom, redaktorom fachowych pism lotniczych wychodzą gały na ekranie podczas wywiadów.

„Tilt-up!". Pochanke, wszystkowiedząca Ireno Dziedzic trzeciej i czwartej Rzeczypospolitej. Spasuj!

Irena Dziedzic, gwiazda telewizji sprzed lat, mistrzyni zadawania pytań, w których jest już gotowa odpowiedź.

(Informacja dla młodzieży).

Jak ma się „podtapianie" do „przelania wału". Tego się teraz uczymy, cała Polska też wie, jak kierować samolotem we mgle i co trzeba robić, żeby lądować bezpiecznie, oraz że worki z piaskiem na wałach to fikcja.

Pokazówka. Ale coś robić trzeba.

W stolicy spodziewany poziom na Wiśle: 770 centymetrów.

Wysięki. Też nowe słowo, nieznane przed powodzią.

Więźniowie ratują sytuację.

Pędzą samochody z piaskiem na Wał Zawadowski w Warszawie.

Po drodze mijają pole golfowe. Pełno ludzi trenujących pracowicie uderzenia kijem golfowym w małą białą piłeczkę.

Dwa światy.

Wysięki i green.

Green - miejsce w grze w golfa, gdzie jest ostatnia dziura w ziemi, w której zawodnik ma umieścić piłkę.

Zegar w mojej sypialni tyka bez przerwy. Krztusi się tylko, gdy mija godziny i kwadranse. Lekko wtedy rzęzi. Pędzi do przodu. Wyprzedza prawdziwą godzinę o półtorej godziny. Ale co jest prawdą? I jaka jest naprawdę godzina, nikt nie wie.

Opowiadają, że Putin chciał znieść strefy czasowe na świecie. Zadzwonił do Brukseli.

- Ale dlaczego, panie premierze, co panu przeszkadza?

- Dzwoniłem do Pekinu z życzeniami urodzinowymi dla przywódcy Chin, mówią mi, że to było wczoraj, dzwonię do Warszawy z kondolencjami, mówią mi, że samolot jeszcze nie wyleciał.

Fałszywa propagandowa sugestia na rzecz pewnych fantasmagorii Polaków, w konstrukcji żartu zabawna, gdyby nie dotyczyła tak dramatycznej katastrofy.

Wszystko ma swoje dwie strony: dramatyczną i komiczną. Marcello Mastroianni (włoski aktor) opowiadał, że gdy zaczynał swoją karierę

filmową, zaprosił rodziców do kina. Ojciec miał silną kataraktę, matka nie słyszała. Gdy Mastroianni pokazał się na ekranie, ojciec pytał: „Jak wygląda?". Matka pytała męża: „Co powiedział?". I tak przez cały film. Śmieszne i smutne. Rodzice byli już za starzy na sukces syna.

Zdarza się.

**

Mój zegar ma bardzo piękne złocone, wysmukłe wskazówki. Jak delikatne i szlachetnie wysmukłe palce pięknej kobiety. Niestety, nie widać, która godzina. Ale i tak nie ma to znaczenia, bo zegar nie pokazuje rzeczywistego czasu, wyprzedza go bez oglądania się na pomiary precyzyjnych zegarów kwarcowych.

To jest też recepta na życie, bez oglądania się na wzorce renomowanych autorytetów.

Niech spieprzają!

W oczekiwaniu na kulminacyjną falę powodziową, która grozi Warszawie.

Delikatne przesiąki, i wszyscy wiedzą, co robić.

Ciągle brak decyzji o ewakuacji.

Pocieszające.

- Wał p r z e c i e k a, a nie p r z e s i ą k a! - prostują dziennikarze.

Osiedle luksusowych domków zagrożone. Niedawno było tam po dwadzieścia tysięcy za metr kwadratowy.

Barka dryfuje. Na szczęście ją złapali. Mogłaby przewrócić przęsła mostu.

Wał Miedzeszyński zamknięty. Jak bezmyślnie był niszczony za PRL-u, gdy wjeżdżano tam samochodami nad ranem z dziewczynami, które wykonywały niebezpieczne dla wałów ruchy kopulacyjne. Mówiło się: „No i wziął ją na wała", mając na myśli dwuznaczą sytuację, która po latach spowodowała przecieki i przesiąki.

Nic nie jest bez znaczenia.

Dziś trzeci dzień, jak wyszła moja książka. Sprzedaż idzie marnie. Głowa mówi, że Świat Książki tyle zarobił na Domosławskim o Kapuścińskim, bo nie wydał ani grosza na ich promocję – to jemu zrobią większą reklamę, idącą w setki tysięcy złotych. Znów mam powód do zawiści, inni dostają granty i reklamę za darmo, a ja sam dopłacam do druku.

Trudno, są dwie Polski. Jedni mają pieniądze, inni nie.

W klubie daję książkę Henrykowi Berezie z dedykacją, że dziękuję za możliwość siedzenia przy jego stoliku mimo różnicy płci. Obraził się. Od razu zaczyna dyskusję z innej beczki. – Co jest po drodze z Warszawy przed Toruniem? – pyta. Bo kiedyś płynął kajakiem i pamięta, że pierwszy był Toruń.

A co mnie to obchodzi!

Janusz Głowa podobno zmienia tytuły swojego *Hauptwerk* jak rękawiczki. Ostatnio Henryk mówi, że miało być coś w rodzaju: „Good By, New Jersay". Czy Dżerzi... Bo to o Kosińskim... Nie bierzemy tego poważnie. Po drodze spotykam księdza L., opowiada, że Wajda dostał setki maili i listów z pogróżkami po jego proteście o Wawel dla Kaczyńskiego.

Na spotkaniu z Komorowskim Wajda był jakiś szary i przestraszony. Skarżył się, że wybuchła „wojna domowa". Przez moment myślałem, że będzie mówił o moim serialu. Znany lekarz odmówił mu leczenia, po tym jak się zachował w sprawie Smoleńska i Wawelu.

Materna żartuje, że po wręczeniu kandydatowi na prezydenta szalika z napisem „Polska", nagle przestał padać deszcz.

W telewizji zapowiadają powodzie w sześciu województwach. Leje jak z cebra.

Krysia Morgenstern na zdjęciach w telewizji zaraz za premierem i Komorowskim. Uśmiechnięta i zadowolona. Nie widzę Kuby.

Podobno odwiozła go do szpitala. W ciemnym garniturze, bo mieli razem zaświadczać za Komorowskim. Coś go rozbolało.

Projekt audycji radiowej neutralnej politycznie pt.
W PRZERWIE MIĘDZY ZĘBAMI

Częstotliwość raz w tygodniu.
W pasmie popołudniowym, najlepiej w czasie korków na drogach, gdy padają okrzyki kierowców w rodzaju:
- Ty taki owaki! Fuck you! Spieprzaj dziadu! Co za kretynka?!

A podobno mowa i bycie człowiekiem to jedno i to samo.
„Wydarzenie mowne (!) ma wiele przyczyn i zajmuje wiele różnych miejsc w życiu człowieka. Mówienie i myślenie jest w rzeczywistości tym samym".

Otóż to! Wszystko sprowadza się do tonu, w jakim wypowiadamy słowa. Słynny przykład ze studentem w Niemczech, który rozsierdził wygadaną i pyskatą przekupkę, bo wykrzykiwał, rzekomo obraźliwe, inwektywy. A były to kolejne litery alfabetu hebrajskiego. - Alef!... Bet!... Ty alefo, ty beto...
Ze złości wybuchnęła płaczem. Nie rozumiała nic z tego, co mówił, ale z tonu poznała, że jej wymyśla.
Wszystko zależy od „tonu".

A więc audycja o przerwie między zębami.

- Jakie znamy najbardziej popularne przerwy?
- Przerwa w pracy.
- Przerwa w dostawie prądu. Gazu. Wody.
- Przerwa w szkole.
- Przerwa w ruchu. Na papierosa. Śniadaniowa. Obiadowa.
- No i przerwa między zębami.
- Konkretnie między jedynkami.

– Wydaje mi się, że spotykam coraz więcej ludzi, mogę powiedzieć bardzo sympatycznych, którzy mają taką wadę.

– Czy to jest wada?

– Zapytajmy specjalistę. Ortodontę Pana Profesora/Doktora.

ROZMOWA

(...o tym skąd się biorą przerwy, jak są fachowo nazywane, czy w czymś przeszkadzają, czy je usuwać?).

JINGIEL lub piosenka – śpiewana przez artystę z przerwą między zębami.

Znani ludzie z przerwą między zębami:

– Gołas. Gajos, Freddie Mercury, Madonna, kardynał Nycz z Warszawy.

– Tylko na „gie"?

– Tak. I na „em" i „en".

Proponujemy założyć pierwszy w Polsce:

KLUB LUDZI Z PRZERWĄ MIĘDZY ZĘBAMI

– Z prezesem panią Karoliną Jaworską prowadzącą tę audycję.

– Czy to nie będzie kolesiostwo?

– Tak, ale w szlachetnej sprawie.

– Zgłoszenia do „Radia takiego i takiego...". Adres. Esemesy, listy, telefony.

Nic z tego mi wyszło, wyrzucili mnie na zbity pysk.

Propozycja audycji odrzucona.

Rządzi nie ta opcja. Bez przerwy między zębami.

Jak trafić na właściwą opcję? Na właściwą przerwę? Oto jest pytanie.

Lot nad Polską.

Samolotem Cesna z Warszawy do Zamościa. Pujszany. Widoki wspaniałe. Gdy się tak oderwać od tych murów, samochodów, korków ulicznych, zatłoczonych wagonów metra, to unoszenie się w powietrzu

nad dywanami łąk, lasów jest czymś zapierającym dech w piersiach. Wsadzić całą redakcję z Czerskiej, „Vivy", „Rzepy", dyrekcje kanałów telewizyjnych, aby odetchnęły Polską.

TVN lata nad ziemią, ale tylko w sprawie wypadków, powodzi i korków na drogach.

Polatajcie w sprawie... piękna polskiego krajobrazu.

Może *beautiful news is good news?*

W Pujszanach. Obok Zamościa.

W zachodzącym słońcu, z bajeczną perspektywą na łąki, wrzosowiska i w dalekim tle wstążką lasu, siedzi młoda kobieta.

Miejscowy biznesmen:

– Proszę pana, widzi pan tę taaam na tarasie. Teraz mogę na nią patrzeć spokojnie. Już nie pracuje u mnie. Jak pracowała i przychodziła rano do biura, to ja wychodziłem. Bałem się, że zwariuję. Teraz patrzę na nią spokojnie. Co to czas robi z pożądaniem! Wypala go. Na początku bardzo boli, a później się zabliźnia. Idę zatańczyć z żoną.

Zegar w sypialni. Ma piękny cyferblat, cyfry rzymskie na trochę wytartym tle, świadczącym o latach przebytych w różnych sytuacjach kryzysowych. Pośrodku dwa otwory na klucz, jak para oczu, którymi zegar obserwuje to, co dzieje się w sypialni. Na górze, w zwężeniu, półokrągły malunek przedstawiający pasterkę z trzema owcami i podpatrującego ją jakiegoś mężczyznę w czerwonym fraku. Może spadł z konia, bo wygląda jak angielski jeździec, arystokrata w pogoni za lisem... Ona pozbawiona seksu i wdzięku, ale on zachwycony.

Przy bliższym przyjrzeniu się owce mogą być takimi świńskimi angielskimi psami, ona nie pasterką, ale kobietą z wędką. Siedzi nad rzeką, może łowi ryby, jest trochę zamyślona. On czai się za drzewem.

Cholera wie, o co tu chodzi. Ale ilość interpretacji może być ciekawa, gdy z nudów nie ma co robić.

Przez te otwory na środku cyferblatu zegar wydaje się wciągnięty we wszystko, czego był świadkiem w swoim długim życiu.

Niepotrzebnie postawiłem go obok szerokiego łóżka w sypialni.

Scenariusz filmowy, telewizyjny, radiowy, youtubowy.

Pt. KLEJ

(z życia) Rodzina.

Agnieszka i jej mąż, któremu się wydaje, że jest korespondentem wojennym w Iraku.

Przedstawił się tak kiedyś rodzicom Agnieszki, która ma już dwoje dzieci. Trzecie w drodze.

Z biedy wąchają klej w wynajętym mieszkaniu.

Stół nosi ślady wdychanego kleju.

Na ścianie durszlak z czasów Gomółki z zeschniętym makaronem przyklejonym na wieczność do ściany.

Zięć wysyła stale esemesy do teścia z fałszywymi korespodencjami z walk w Iraku.

Te ść zajęty sprawami premiery. Jest podrzędnym aktorem, konferansjerem w reklamowych imprezach. Nie ma możliwości sprawdzenia prawdziwości informacji.

– Tato, tato, znów nas zaatakowali szyici!

Koresponduje bez wytchnienia.

Agnieszka tymczasem spędza czas na dworcu. Tam zdobywa alkohol i narkotyki.

Ojciec jej szuka.

Ta śpi pod ławką.

Zabiera do domu.

Odwszawianie.

Kupuje szampon przeciwko insektom.

Kąpie.

Ale ta ma mendy, myje ją całą, bo matka się brzydzi.

Tu telefony, aby przyszedł na próbę.

Idzie.

Esemes od zięcia: „Tato, tato... jestem ranny... znów do mnie strzelali, mimo że jestem korespondentem niezależnego dziennika".

Odbywa się próba przed zleceniodawcami w reklamowej imprezie.

Nagle wtacza się zięć zalany krwią...

– Co to jest?! – krzyczy sponsor.

Te ść próbuje pokryć sytuację żartem.

– Tato, Rumsfeld o tym wie, że mnie ranili! Podał mnie do odznaczenia, cytują mnie w całej prasie amerykańskiej... – Pada w ramiona ojca żony.

Zleceniodawca odmawia zapłacenia za reklamówkę.

Koniec

Napisy końcowe, alfabetycznie.

Uliczny słup ogłoszeniowy. Okrągły, z metalu. Takie były przed wojną, podczas wojny i trochę po wojnie w Warszawie. Potem zastąpiono je tablicami.

Teraz znowu się pojawiły, ale tylko do zamieszczania kulturalnych ogłoszeń.

Czytam. „Piękno umiera!", „Chór Aleksandrowa znowu w Polsce", „Piosenki powstańcze", „Chopin na wszyyyyystkie sposoby". I na to naklejone pirackie ogłoszenie coś tam... coś tam...

Miejsce na słupie kosztowne.

Wszystko kosztuje.

Nawet ogłoszenie o własnej śmierci.

Zatrzymałem zegar. Wpienia mnie ten jego chrobot, jakby miał odkrytą ostatnio nową chorobę POHE Obturacyjna... choroba... Podobno mam to. POHP, które jest wynikiem palenia papierosów, co dawniej robiłem, i stałego zapalenia oskrzeli. Głównie przez latanie samolotami. Wpieprzają pasażerom klimę minus 5 i mielą te same zarazki na okrągło, bo filtrów nie wymieniono od początku świata.

Próba prozy.

„CHŁOPIEC SZEŚĆDZIESIĄT LAT PÓŹNIEJ”

„Chłopiec sześćdziesiąt lat później” wyobrażał sobie, że stoi na rogu jakiejś ruchliwej ulicy skrzyżowanej z elegancką aleją w środku miasta. Ma na sobie ciemny garnitur, dyskretny krawat, jest skropiony dobrą wodą kolońską, w ten sposób budząc zaufanie przechodniów. Żebrał. Na szyi na srebrnym łańcuszku miał tabliczkę z napisem: „Jestem ofiarą Złotej Karty Visa, którą zabrała mi młoda żona. Muszę zebrać pieniądze, gdyż kolejna dostawa do sklepów nowej kolekcji Deni Cler wyczerpie mój debet do końca. Grozi mi utrata karty i wiarygodności kredytowej”. I podpis: „Zadłużony”.

Stał skromnie, a wychodzący tłumnie po pracy z pobliskich biurowców maklerzy, bankowcy i młodzi yuppies ze zrozumieniem kiwali głowami i sięgali do kieszeni po pieniądze.

Solidarność męska była zdumiewająca.

Puszka szybko się zapełniła, przełożył pieniądze do portfela i gdy fala wychodzących z biur się skończyła, zdjął tabliczkę i ruszył w kierunku placu, gdzie mieściła się ambasada Italii. Z daleka słychać już było muzykę graną przez zamówioną orkiestrę Wojska Polskiego, która w uniformach szwoleżerów księcia Poniatowskiego grała przed bramą budynku ambasady skoczne marsze i mazurki, oklaskiwana przez gości ambasadora z balkonów ambasady. Orkiestra dorabiała sobie w ten sposób na boku, grając na pogrzebach, odznaczeniach, nabożeństwach i rocznicach. *My ze spalonych wsi* czy *Spoza gór i rzek wyszliśmy na brzeg* już dawno zastąpiono melodiami w rodzaju *Hello, Dolly.*

Mężczyzna stanął w długiej kolejce gości do składania życzeń ambasadorowi z okazji święta odzyskania niepodległości przez Italię. Nie miał zielonego pojęcia, że kiedyś ją straciła. Niewola, brak państwa, obce wojska kojarzyły mu się tylko z Polską. A Amerykanie w Rzymie to coca-cola, burdele i rock'n'roll.

Daj Boże taką okupację!

– Dzisiaj kolejki można tylko spotkać w ambasadach na przyjęciach, aby uścisnąć dłoń pana ambasadora i wymienić cheek to cheek z panią ambasadorową.

– I w urzędzie po „kuroniówkę" – dorzucił jakiś postkomuch.

Mimo wieku jeszcze tamtego zapraszali, bo wyglądał młodo i rześko, a kobiety obok niego zawsze budziły zainteresowanie dyplomatów. Tłum otaczający stoły zaczynał się przerzedzać, bo żarcie znikało z przerażającą szybkością i zaczynały się tańce. Dobrze zbudowana blondynka, zaczerwieniona od tańca, zwróciła uwagę mężczyzny. Emanowała energią, temperamentem i dziką zwierzęcością, obok stała emerytka życia towarzyskiego z mężem po by-passach, o lasce, toczącego niewidzącymi oczyma po wirujących parach.

Emerytka powtarzała w kółko coraz bardziej pijana: – Ten jest po by-passach, ten a ten przed by-passami, tamta też będzie je miała...

– Wszyscy będziemy mieli by-passy! – krzyczała pijana, nie mogąc zagłuszyć orkiestry.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności blondynka znalazła się obok niego, stojącego przy barze. Próbował powiedzieć coś dowcipnego, zwrócić jej uwagę, słuchała go, zaróżowiona, lekko zdyszana po tańcu, ale emerytka nie pozwoliła mu przeprowadzić planu nawiązania bliższego kontaktu. Oznajmiła młodej kobiecie, że mężczyzna ma by-passy, i my wszyscy jesteśmy już po by-passach, a panią też to czeka... Młoda kobieta wytrzeszczała oczy, nie bardzo rozumiała, co to znaczy. W niewyraźnym bełkocie emerytki coś było o pasach... podpasach... Uciekła przerażona do swoich młodych przyjaciół.

Mężczyzna, wściekły, ryknął, nie bacząc na protokoł dyplomatyczny.

– Szkoda, że nie powiedziałaś jej, że chuje też mamy poobcinane.

Z drinkiem w ręku wydostał się z tłumu gości na balkon, skąd z daleka było widać wieże kościoła, gdzie jako mały chłopiec spędzał długie godziny na rekolekcjach przed Wielkanocą. Podczas rozwlekłych i nudnych kazań rozglądał się po wnętrzu gigantycznego kościoła,

zastanawiając się, jak się można dostać na galerię pod samą kopułą albo w jaki sposób trzyma się w powietrzu gipsowa ręka Chrystusa, wyciągnięta do wiernych klęczących przed bocznym ołtarzem.

Dopiero po wojnie, kiedy bomby podczas powstania zrujnowały kościół, a roztrzaskany Chrystus padł na marmurową posadzkę, okazało się, że w środku ręki był metalowy pręt.

I tak zagadki nurtujące go w wieku dziecięcym dzięki wojnie rozwiązywały się nieoczekiwanie same.

Wieże kościoła Wszystkich Świętych rysowały się ostro na tle nowych bloków, które zastąpiły stare, przedwojenne kamienice spalone podczas powstania w getcie. Z okien płonących budynków skakali wtedy ludzie, a chłopiec stał w sporej odległości od muru oddzielającego stronę aryjską od żydowskiej. Z daleka dochodził przeraźliwy krzyk walczących desperatów, zagłuszany od czasu do czasu seriami z broni maszynowej.

Matka odciągnęła go za rękę w kierunku domu.

- To nie jest widowisko dla dzieci!
- A dla kogo?
- Dla nikogo!

Orkiestra pod balkonem zagrała hymn włoski i polski i zajęła się zwijaniem instrumentów, bo zaczął padać deszcz.

Wtedy żaden deszcz nie lunął z nieba, ani jedna kropla nie spadła, aby zdusić pnące się ku górze języki ognia. Ludzie uciekali na ostatnie piętra, a potem, już pojedynczo, co jakiś czas, widocznie po jakiejś przerażającej rozmowie, po gwałtownej dyskusji, krzyku argumentów, komicznie machając rękami, lecieli w dół.

Przed wojną sześcioletni chłopiec był na tyle głupi, że odczuwał dumę z wojska polskiego. Oglądał w magazynach ilustrowanych, jak dzielnie maszeruje na defiladach, jakie wyrównane ma szeregi, jednakowe spojrzenie w kierunku trybuny, nogi podniesione w równym marszu. Szli jak po sznurku w kolumnach, z wysoko uniesionym

sztandarem z dziwnym znakiem, jakby dwa krzyże splecione ze sobą w dumnym, twardym zwarciu.

Dziwne.

Z „Płomyka" wiedział, że na sztandarze powinien być orzeł, ptak z zakrzywionym dziobem i koroną na głowie.

To go zastanowiło.

Ale długo nie zdawał sobie sprawy, że ci dumni, sprawni mężczyźni to niemiecki Wehrmacht. A bogato ilustrowane magazyny przynoszone do domu przez babkę z hotelu, w którym pracowała, były tubą propagandową Trzeciej Rzeszy.

Babka była na tyle głupia, że cieszył ją zachwyt chłopca dla równo maszerującego wojska na zdjęciach.

Matka była na tyle głupia, że cieszyła się z tego, że babka tak kocha wnuczka i przynosi mu pięknie ilustrowane magazyny z pięknie maszerującym wojskiem.

Tylko ojciec psuł zabawę, bo z coraz większym smutkiem czytał podpisy pod zdjęciami.

Dopiero pierwszego września 1939 roku cała rodzina nieco zmądrzała, z wyjątkiem ojca, który udał się w kierunku Lublina na wezwanie generała Umiastowskiego.

Wcześnie rano zawyły syreny.

- Mamo, czy to wojna?

- Wstawaj, to są ćwiczenia przeciwlotnicze. Idziemy dzisiaj do szkoły.

W jego wieku Szymek z przeciwka już dawno chodził gdzieś na naukę. Żydzi zaczynają wcześnie uczyć swoje dzieci. Nie to co goje. Matka chłopca, dopiero kiedy skończył siedem lat, zaprowadziła go do szkoły kupieckiej na ulicy Królewskiej.

Dobrze o niej słyszała od matki Szymka.

- Proszę pani - powiedział dyrektor - gdzie taki mały, blady blondynek nadaje się na kupca.

Zdecydowała się na normalną gojowską szkołę w śródmieściu.

– Ubieraj się! Nie możemy się spóźnić pierwszego dnia.

– Ale to chyba wojna! Słyszę jakieś wybuchy.

– Wstawaj!

Już poprzedniego dnia było wszystko zapięte na ostatni guzik. Zeszyty, ubranko, pantofelki... Gumki i zeszyty kupili w sklepie papierniczym na parterze kamienicy. Właściciele Żydzi mieszkali na tym samym piętrze, drzwi w drzwi. Ich syn Szymek w wieku chłopca na pytanie: „Wie geht's?" zawsze odpowiadał pytaniem i podnosił oczy z wyrazem „a jak może iść?". Rozkładał ręce, nie wiadomo czemu, w geście rezygnacji. Jak jego ojciec.

Na ich ulicy mówiło się trochę w jidysz, mieszkali obok siebie od lat całymi rodzinami.

– Szymche, pokaż koledze, gdzie są te bruliony po szesnaście groszy – powiedziała matka Szymka.

Idą w kierunku półek z zeszytami, wybierają najgrubsze, w kratkę, linie i śnieżnobiałe do rysunków.

Mimo przeraźliwego wycia syren matka troskliwie prasowała biały kołnierzyk do szkolnego mundurka, a chłopiec jeszcze raz sprawdzał świeżo obłożone zeszyty, kupione u Szymka. Kiedy wychodzili do szkoły, po schodach biegła na górę zdyszana matka Szymka Haja. Krzyknęła do nich: – Wojna! Wojna! – I całując mezuzę, zniknęła w drzwiach naprzeciwko.

– A nie mówiłem! – ucieszył się chłopiec.

– Wojna nie zwalnia nas z obowiązku chodzenia do szkoły – powiedziała matka i wzięła chłopca za rękę.

Na ulicy ludzie w popłochu przemykali od bramy do bramy, chroniąc się przed odłamkami spadających bomb. Byli ogłuszeni wybuchami i gwizdem samolotów nurkujących, z których taki dumny był chłopiec, kiedy widział w ilustrowanym magazynie, jak pan z wąsikiem, w

skórzanym płaszczu, zasłaniając ręką oczy, wpatruje się z uśmiechem w sznury samolotów z czarnymi krzyżami.

Nie znał jeszcze Hitlera.

Szkoła była z frontu nienaruszona. Zastanawiał tylko brak dzieci i pedagogów. Idąc spiesznie korytarzami budynku po chrzęszczącym pod nogami rozbitym szkle, dotarli do gabinetu kierownika. Leżał za biurkiem z urwaną głową. Cała tylna ściana budynku szkoły, wywalona podmuchem bomby, otwierała widok na drzewa okalające boisko szkolne, zachęcając młodzież do uprawiania sportów na otwartym powietrzu.

– Jakie piękne boisko! – powiedziała matka, która kiedyś w szkole uprawiała biegi krótkie. – Będziecie na pewno grali w piłkę nożną. Chociaż wolałabym, żebyś uprawiał lekkoatletykę, jak nasz wielki Kusociński. Podczas gry w piłkę nożną można nabawić się niebezpiecznych kontuzji. Pamiętaj!

Kierownik leżał na podłodze w dwóch częściach. Mimo to chłopcu bardzo się w szkole podobało.

Ale zamiast szkoły zaczęło go edukować życie i właściwie jeden przedmiot: historia.

Niemcy, gdy weszli do Warszawy po kapitulacji, zaczęli rozdawać bardzo smaczną grochówkę. Chłopiec zjadł dwie porcje. Raz podszedł w czapce, a drugi raz bez czapki. Jowialny kucharz, w fartuchu narzuconym na mundur Wehrmachtu, dużą chochlą nalewał smaczną zupę do menażek porzuconych przez polskich żołnierzy, do garnczków przyniesionych z domu i płaskich talerzy armii niemieckiej.

Dlaczego myśmy tak długo bronili się przed Niemcami?, myślał.

Wygłodzony po tych piwnicznych posiłkach z nadpalonej w pobliskim magazynie fasoli, śmierdzącej obrzydliwie dymem, był głodny jak wilk. Szymek nie chciał pójść na grochówkę do Niemców.

Myszyge!

„Dnia pierwszego września roku pamiętnego". Dziękuję! – „Wróg napadł"... Dziękuję! „...na Polskę, z kraju ościennego". Dziękuję!

Pieniądze z brzękiem wpadały do żołnierskiej rogatywki polowej z blaszanym orzełkiem z koroną, leżącej na trotuarze. Przy każdym „dziękuję" Szupelak z kolegą salutowali, on jedną rękę miał na temblaku, a kolega lewą nogę, obciętą przed kolanem, opierał na drewnianej kuli podbitej kawałkiem starej opony, aby się nie ślizgała przy chodzeniu.

Chłopiec znał Szupelaka i jego kalekiego kompana. Jeden był notorycznie pijany, drugi stracił nogę pod tramwajem, gdy kradł węgiel z ciężarówki wyjeżdżającej z bramy przy ulicy Towarowej. Obaj nie mieli nic wspólnego z wojskiem i obroną Warszawy. Teraz obaj byli w mundurach z dwoma rzędami odznaczeń na piersi. To salutowanie było mistrzowską kreacją, zawarta w niej była determinacja żołnierza, który nie podda się nigdy, a dramatyczny ruch ręki do daszka zmiętej, zielonej wojskowej czapki wyrażał całą potęgę ducha Polaka, który może być pokonany, ale nie zwyciężony.

„I tak...". Dziękuję! „...I tak nas męczyli"... Dziękuję! „Całe trzy tygodnie". Dziękuję! „Ach, kiedy ten Pan Bóg"... Dziękuję! „Pomści taką zbrodnię!".

Podnosili czapkę z forsą i szli na wódkę.

Ojciec chłopca wrócił z Lublina czy Chełma, dokąd go wysłał generał Umiastowski słynnym pomysłem na opuszczenie Warszawy przez zdolnych do noszenia broni mężczyzn. Przywiózł dwa nowe piękne kożuszki z rozszabrowanych magazynów granatowej policji. Służyły do końca wojny w trakcie surowych zim. Ojciec dawniej trochę upajał się ideami komunizmu, ale gdy zobaczył żołnierzy radzieckich z workami na sznurkach zamiast plecaków, to mu przeszło i wrócił czym prędzej do Warszawy.

Tak mu zostało do końca życia. Sznurki, worki i nędza.

Zdarza się często, że drobny szczegół gra większą rolę w ocenie hierarchii ważności niż racjonalna analiza i decyzje wynikające z obserwacji zjawisk czy sytuacji bardziej zasadniczych i ważnych. Brud za paznokciem, zapach, jakieś irytujące powiedzonko, nos lub pejsy, brak zęba.

Dotyczy to nie tylko głupców.

Nagle płacz! Rozdzierające krzyki rozpaczy. Z parteru wynoszą nieboszczyka. Umarł stary Rotman. Kładą go na wózek, który otaczają natychmiast zawodzące kobiety. Chłopcu wydaje się, że wykonują jakiś przerażający, obrzędowy taniec z okrzykami bólu i cierpienia nadludzkiego. Obserwuje to wszystko przez okno z pierwszego piętra, bojaźliwie chowając się za firankę.

Trup!

Ojciec mówi, że to wynajęte przez rodzinę płaczki.

Chłopiec zrozumiał, dlaczego matka, kiedy nie chciał zostać sam w domu i płacząc, czepiał się kurczowo jej sukienki, nazywała go „żydowskim płaczkiem".

Gdyby te kobiety mogły przewidzieć dalszy los Rotmana w warszawskim getcie, nie płakałyby tak przejmująco. Rodzina Rotmana przekonała się o tym trochę później...

Szkoły były różne. Zmieniały się kolejno, w miarę jak Niemcy zajmowali budynki na swoje urzędy. Ale wszędzie był ten sam harmider setki rozwydrzonych dzieci, co drażniło chłopca. Znał litery, chciał nauki, a nie bałaganu. Matka przeniosła go o klasę wyżej. Tam porządek trzymał nauczyciel okrutny tyran. To się chłopcu podobało, w rozmiękczeniu po klęsce wrześniowej nauczyciele nie byli już tacy, jak przed wojną. Chłopiec polubił nauczyciela tyrana. Umiał trzymać klasę żelazną ręką. Führer!

Chłopiec dzięki niemu nauczył się czytać i pisać.

I liczyć.

Niemcy więcej nie wymagali.

Szymek mówi, że muszą przenieść się z rodziną do getta i nosić opaski.

– Co to znaczy getto?

Szymek wznosi oczy do góry.

Chłopiec przymierza jego opaskę z gwiazdą Dawida i ogląda się w lustrze.

– Fajna.

Uczy się rysować sześcioramienną gwiazdę bez odrywania ołówka od kartki. Pokrył nią pół zeszytu, zanim znalazł właściwą kolejność kresek.

Nie wiadomo skąd przyszło chłopcu do głowy, że trzeba się kłaść na dziewczynie i to jest przyjemne.

Blada Marysia z oficyny naprzeciwko świetnie się do tego nadawała. Była płaska jak deska i uległa. Można z nią było robić wszystko, co się chciało. W zabawach grała najgorsze role, musiała cały czas szukać dzieci, nigdy się nie chowała, gdy bawili się w chowanego. Ostatnia stała w kolejce do wspólnej zabawy, cicha i potulna nie potrafiła nikomu odmówić. Chłopiec wyczatował brak babki w domu i zaprowadził Marysię do mieszkania. Położył ją na otomanie i sam położył się na niej. Leżała bez ruchu, on też. I tak trwali, nie znajdując w tym żadnej przyjemności.

W kuchni przy drzwiach wisiał na haczyku pleciony z jasnej skóry bacik. Kupiła go matka tuż przed wojną.

– Jakiej rasy piesek? – pytał usłużnie sprzedawca na Marszałkowskiej w luksusowym sklepie z obrazkami, kagańcami i skórzaną galanterią dla zwierząt.

– O, tam stoi! – Wskazała na chłopca w białych skarpeteczkach, czarnych lakierkach i paletku koloru kawa z mlekiem. Miał twarz aniołka.

Po ten bacik sięgnęła babka, gdy nieoczekiwanie wróciła do domu i zobaczyła scenę na otomanie. Piekący i szczypiący ból na tyłku chłopca przywrócił go do rzeczywistości. Zerwał się na równe nogi i zaczął uciekać po mieszkaniu, a babka siekła bez opamiętania.

Na otomanie leżała bez ruchu przerażona Marysia.

Pod koniec wojny bacik od częstego używania rozplótł się i stracił skuteczność. Jak w czasie wojny większość metod wychowawczych w stosunku do dzieci i młodzieży, bez względu na rasę, płeć czy pochodzenie. Wojna wymagała nowej pedagogiki.

Tymczasem stoi na balkonie ambasady z widokiem na dzieciństwo. Telefon komórkowy sygnalizuje jakąś wiadomość.

Chowa telefon do kieszeni spodni. W tańcu baby będą myślały, że ma taką imponującą erekcję.

Koniec prozy

Nikt nie zastąpi twoich rąk w seksie.
Moje ręce są jak ręce Chopina.
I Kuby Rozpruwacza.

– Jaki piękny pejzaż!

– Wybrałem to miejsce specjalnie, aby zrekompensować ci brak mojej urody.

Przemówienie na publicznym wręczaniu przez Ninę Terentiew w Teatrze Polskim „Złotych spinek" za całokształt działalności.

Droga Nino!

Dziękuje ci za to wyróżnienie, które przyznajesz kolegom jakby na ostatnim etapie ich życiorysu artystycznego i zwykle przypada ono ludziom starszym. Po raz pierwszy poczułem się w podeszłym wieku, kiedy zamiast wbiec po schodach na trzecie piętro w budynku telewizji publicznej, wsiadłem do windy... Było to w zeszłym tygodniu.

Wyróżnienie to jest też świadectwem pewnego sukcesu. Amerykański autor i scenarzysta telewizyjny powiedział: „Kiedykolwiek jakiś kolega ma sukces, coś we mnie umiera". Czyli, innymi słowy, zazdrość, zazdrość towarzyszy zawsze sukcesowi. Szczególnie w naszej branży.

Jak to się dzieje, że pewnego dnia stajemy się ludźmi sukcesu. Niektórzy twierdzą, że to jest sprawa szczęścia. Ale są to zwykle nieudacznicy.

„Pewni ludzie mają sukces przez to, że dużo wiedzą, inni, że coś wielkiego zrobili, jeszcze inni, że mają dużo pieniędzy, mało jest tych, którzy osiągnęli sukces z powodu tego, że są, kim są".

Brawa na siedząco.

Gdy tylko coś pomyślę, to okazuje się, że ktoś to już pomyślał piękniej i mądrzej.

Z całą pewnością wiem, czego chcę, tylko że nie na pewno.

Często mężczyzna z m i e n n ą jest.

Nie wiedziałem, że dusi się codziennie miliony jedwabników w komorach parowych, aby uzyskać prawdziwy jedwab.

Przecież są to nasi mali bracia!

Osiemnastowieczny zegar, który kupiłem, nieoczekiwanie zaczyna wybijać godziny. Jakie to zbawienne uczucie. Trzeba się spieszyć... kochać ludzi. I zdążyć przed Panem Bogiem. Nie wiedziałem, że tak szybko mija czas... bum... bum... bum... Co, już trzecia?! Dopiero była pierwsza!

Agonia stolika. Z dnia na dzień. Henio źle słyszy. Patrzy gdzieś w dal...

Ksiądz L., papież *eventu,* opowiada głośno, kto gdzie był. Andrzej F. śmieje się z własnych dowcipów, a Głowa przychodzi później i siada w kącie sali. Osobno.

Olena ciągle piękna.

Na tarasie siedzi para.

– Proszę państwa, zaraz będzie szedł w telewizji mój film. Na jedynce. Bardzo śmieszny.

– Mąż pyta, gdzie pan kupił tę czapkę?

– Zachęcam do obejrzenia.

– Ale tę czapkę to gdzie pan kupił?

Czapka ich najbardziej interesowała!

Często się dziwię, że ludzie sięgają po inne książki, nie te, które ja napisałem, kupują i oglądają inne DVD niż moje, przełączają kanał TV na co innego.

Zgubny nawyk, to tak jakbyś we własnym mniemaniu uważał, że coś znaczyłeś dla drugiej osoby, a ta o tobie ani przez chwilę nie wspomina, ani nawet nie pomyśli. Pozorna przyjaźń męska jest najbardziej bolesna, po latach okazuje się bańką mydlaną nadmuchaną tylko przez ciebie.

Wydawało mi się, że byłem blisko z Gustawem. Kilkanaście widowisk telewizyjnych, wspólne posiedzenia stolikowe, żarty, rozmowy. W szeregu książek o nim nawet wzmianki, że grał w moich *Idach marcowych* Cezara, przez trzy wieczory poniedziałkowego Teatru Telewizji, a także w *Królu Edypie* z Eichlerówną, już wtedy w kostiumach współczesnych. Wielki nasz sukces. Nie chcę mnożyć przykładów, bo wyjdę na idiotę. Są dwa rodzaje zabójczej oceny: krytyka albo przemilczenie.

Jednak Gustaw wygłosił na moje urodziny mądry i ważny speech. Zaskakująco wzruszający jak na stolikowego cynika. Mówił coś w rodzaju tego, co mówiła o KTT rosyjska minister kultury na jakimś przyjęciu. „Wy, Tieplitz, dla mienia nieodkrytaja karta".

Wy, Gruza...

Lesbijstwo dociera nawet do sztuki cyrkowej.

Dwie piękne dziewczyny na linie, ekwilibrystyka bliska pornografii... Rozwarte nogi jednej, bosa stopa drażni i prowokuje krocze partnerki.

Już nie można pójść z dzieckiem do cyrku.

Chociaż?

Nareszcie śmiałem się przed telewizorem. Nie wiem kto? Nie wiem co?

Młoda kobieta na kanale TV4 w programie *Spadkobiercy.* Świetna. Ale zaraz po tym Kiepski próbuje wyjść poza Kiepskiego.

Kiepskie.

Szkic do scenariusza.

Para małżeńska przyjeżdża na weekend do Radziejowic. Nudzą się. Spacer po parku. Napis na nowo zbudowanym romantycznym mostku. „Izka Stolarczyk to największy lachociąg w całej okolicy". Stopniowo pojawiają się nowe inwektywy za i przeciw. On zainteresowany. Kto to jest?

Odwiedza miejscowy bar, dopytuje się... Stopniowo odkrywa szczegóły życia dziewczyny. Spotykają się. Zakochuje się. Żona jest załamana. Na mostku pojawiają się napisy na temat jego żony. Wracają do siebie.

Ale wszystko popękane.

Zaczęło się od próby pójścia za wydrapanym scyzorykiem imieniem jakiejś nieznanej osoby.

Znów z Prousta:

„Zazdrość".

„Zazdrość jest bolesnym przedłużeniem niepokoju wywołanego przez inną osobę, którą kochanka nasza mogłaby pokochać".

„Zazdrość, spędzając czas na snuciu drobnych, a fałszywych przypuszczeń, ma tak mało wyobraźni, gdy odkrywa prawdę".

„Człowiek może być tak zazdrosny o ukochane ciało, że aż pożąda jego zniszczenia".

Tak. Tak. Tak! Żeby się zestarzała, miała zmarszczki, bolała ją wątroba, nie mogła chodzić na obcasach, opadły jej piersi, zrobiły się Miszeliny na biodrach, cellulitis na udach, paznokcie się poszczerbiły, górna trójka wypadła i zaczęła seplenić. Wyłysiała!

Miłość występuje jedynie pod dwiema postaciami:
- miłość matki do dziecka
- miłość zmysłowa.

Festiwal nalewek!

Tyle jest festiwali, może być i Festiwal Nalewek, podobno jest ich kilka.

Jedziemy. Nie chce mi się, ale namówiony biorę kilka egzemplarzy swojej nowej ksiażki *Stolik* i jadę w lubelskie.

Przyjemne rozczarowania, pan domu w czamarze i sukmanie wita gości chlebem i solą. Dwór siedemnastowieczny obronny. Wiele razy burzony, palony i pięknie odbudowany.

Na dziedzińcu rewia samochodów BMW.

Trzeba wrzucić wizytówkę, bo są jakieś konkursy. Nie mam. Podaję swoje dane i podpisuję zgodę na przetworzenie. W co oni mój telefon przetworzą?

Oby nie było za późno na płacz i zgrzytanie zębów.

Jury Festiwalu.

Przewodniczący: kosmonauta generał Hermaszewski.

Lansuje swoją książkę *Ciężar nieważkości,* ja swoją: *Stolik.*

Elegancki tłum zgromadzony na dziedzińcu, księża, miejscowi dostojnicy.

Wszyscy czekają na nasz werdykt. A te 52 nalewki czekają na wypróbowanie!

Nie jest to proste. Mam kilkunastoletnie doświadczenie na różnych festiwalach. Tu też są karty i punkty za: kolor, smak, klarowność, moc i coś wyjątkowego... Bardziej skomplikowany wybór niż w Konkursie Chopinowskim. Tym bardziej że w miarę trwania pracy jurorów jesteśmy coraz bardziej otumanieni nalewkami.

Tymczasem generał już lekko w stanie nieważkości opowiada kilka śmiesznych anegdot, które wydają się nam fantastyczne. Twarz ma trochę rozdeptaną, filmową, jak Jean Gabin. Przydałby się scenariusz dla niego. Kto to napisze? Łepkowska?

– Nie ma brzydkich kobiet, jest tylko za mało wódki – dowcipkuje generał. – Mój przyjaciel kosmonauta zawsze siadał przy stoliku z najbrzydszą kobietą na sali. Pił dotąd, aż zaczęła mu się podobać. Przeszwarcowałem na pokład statku kosmicznego butelkę wódki. Nie mówcie tylko o tym Jaruzelskiemu, boby się załamał.

Publiczność się niecierpliwi, czekają na wyniki, bo dopiero wtedy ma się zacząć uczta i degustacja.

Odrzucamy banalne wiśniówki, nalewki na miodzie, zapach politury, a wybieramy ludowe zdolności mieszania ingrediencji, ziół i owoców.

W finale jest piętnaście kieliszków. Przyznajemy trzy nagrody główne i dwa wyróżnienia.

Końcowe smakowanie finalistów ścina nas z nóg. Jeden z jurorów osuwa się pod stół.

Na bankiecie „po".

– Wiem, że dla pani nie jestem mężczyzną, tylko nalewką numer 52 – mówi z wyrzutem producent nalewki, która nie dostała nagrody.

Chwieje się na nogach i płacze. Jurorka stara się go pocieszyć.

– A ja dla pani zrobiłbym wszystko! Obserwuję panią od dawna. Proponuję Dolomity i wspólne narty. Jestem producentem kostki brukowej. Nalewki to tylko moje hobby.

– Ale jest środek lata?!

– Do tego, co proponuję, nie potrzeba śniegu.

Wycieczka w Lubelskie przypomina wiercenia
w ziemi w poszukiwaniu czegoś interesującego.

Wyciągasz wiertło, a tam typy kompletnie odległe od stolika w Czytelniku. Kobiety, faceci, oryginały, Polska na wschód od stolicy. Ukraińcy w typowym stroju na czerwono. Też lansują swoje wódki. Idą jak woda. Jeden z nich opowiada mi swoją historię, patrzę na niego z zainteresowaniem: znałem tylko tych z *Cichego Donu* i opowieści o ich okrucieństwie podczas drugiej wojny światowej.

Ten jest lekarzem, opowiada o Majdanie. „To było coś fascynującego, wzruszającego, ludzie jechali z daleka, aby zobaczyć Wałęsę... dotknąć. Unosiliśmy się do nieba. A dzisiaj wszystko odwrotnie i jakieś banalnie brudne".

Pijemy, okazuje się, że nawet w wyborze najlepszej ukraińskiej nalewki manipulacja. Nie ta miała dostać wyróżnienie.

Tymczasem blond jurorka otrzymuje propozycję małżeństwa z miejscowym przedsiębiorcą. On dzieli „brukowy" majątek na pół. Żona i troje dzieci dostają połowę, a on z jurorką z Warszawy za drugą połowę żyją długo i szczęśliwie, produkując nowe nalewki.

Wtrąca się inny, młodszy i przystojniejszy. Proponuje jurorce natychmiastowy wyjazd do miejscowej dyskoteki „Huzar".

Prawie dochodzi do bójki, zjawia się syn tego pierwszego i zabiera ojca do domu.

Jurorka ucieka do pokoju. Tam wypija numer 52.

Pada jak ścięta.

Następnego dnia nie chce wyjść na światło dzienne.

**

Nie ma chyba prawdziwego warszawiaka, który by nie odwiedził dzielnicowej komendy w Śródmieściu. Jako świadek, oskarżony, zamieszany, pobity, pijany, okradziony, molestowany, protestujący, szukający, poszukiwany.

Kiedy przejeżdżam ulicą Wilczą, przypominam sobie, że wpadałem na komendę co pewien czas w różnych rolach i porach. W dzień, o północy, po południu, wczesnym rankiem. Różnie. Głównie za niewinność. Pierwszy raz, gdy po dłuższym pobycie za granicą zastałem zamknięte drzwi do swego mieszkania w starej warszawskiej kamienicy i okazało się, że zostałem wymeldowany, a moje rzeczy osobiste znajdują się u dozorcy. Ogarnięty słusznym gniewem przeciw tej podłości, siekierką przeciwpożarową próbowałem wyrąbać sobie dostęp do należnej mi powierzchni mieszkalnej.

Nowi lokatorzy, moi serdeczni przyjaciele, wezwali MO.

Na komendzie odebrano mi sznurowadła, pasek i drogi złoty zegarek, który kupiłem za granicą, posilając się tylko raz dziennie hot dogiem obficie polanym musztardą i darmowym keczupem. Zegarek zapisany został w depozycie komendy jako "jeden zegarek żółty".

– Ja nie wiem, złoty czy szczerozłoty, a może mosiężny. Piszę żółty – zganił mnie sierżant, gdy protestowałem przeciw temu uwłaczającemu opisowi.

Bez sznurowadeł, szurając nogami, podtrzymując ręką opadające spodnie, znalazłem się w celi.

Na mój widok zerwał się z pryczy i doskoczył do mnie jakiś pucołowaty blondynek.

– Kędziorek jestem – przedstawił się.

Zabrzmiało to jak z Wiecha.

Mruknąłem coś pod nosem.

– Z jakiego paragrafu ka ka?

Chwilę się zastanawiałem, i nie chcąc się przyznać, że za niewinność, rzuciłem jakąś cyfrę.

– O, kurwa!

Zapadła cisza.

Poczułem się jak prawdziwy przestępca. Macho Man budzący respekt u wyraźnie stałego gościa na Wilczej.

– Przyznałeś się? – Zniżył głos do szeptu.

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Masz rację. Ja też nie. Nigdy się nie przyznawaj. Na mnie prokurator dwa krzesła złamał i krzyczał: „Przyznaj się, Kędziorek, bo fotel, na którym siedzę, też pójdzie w drebiezgi!". A ja nic! Nie byłem tam, nie znam tych ludzi, nie rozumiem, czego obywatel prokurator chce ode mnie.

Pokiwałem głową na znak, że nie pęknę w śledztwie.

W nocy Kędziorek przykrył mnie troskliwie swoim kocem.

Gdy rano wywołano mnie z celi na przesłuchanie, Kędziorek żegnał mnie tak, jakby miał mnie już nigdy w życiu nie spotkać żywego. Ale życie płata figle. Ktoś mądry powiedział, że los to jest suma wszystkich możliwych przyczyn.

Innym razem przyczyna kolejnego pobytu na komendzie była jeszcze banalniejsza.

Wybierałem się na jakąś prestiżową premierę teatralną. Wykąpany, ubrany w to, co najlepsze, zlany modną wówczas hinduską wodą „Patchuli", ulubionym zapachem „dzieci kwiatów", przygotowany wewnętrznie na „wysoką kulturę", która mnie oczekuje, stanąłem na postoju taksówek przy Marszałkowskiej, róg Wilczej. Zdziwiony trochę, że stoję sam, bo złapanie taksówki w PRL-u graniczyło zwykle z cudem. Nagle jakaś podjeżdża, nieoczekiwanie wolna. Otwieram drzwi, chcę wejść do środka, a tu nagle wskakuje mi na plecy jakiś facet, wyrosła jak spod ziemi kobieta bije mnie parasolką, wznosząc okrzyki nienadające się do druku.

Rozpoczyna się bitwa. Krew mi tryska z rozbitego łuku brwiowego, z nosa. Zadaję razy, odbieram dwa razy więcej. W tym czasie ktoś inny wsiada do taksówki i odjeżdża, zjawia się „władza" i znów ląduję na Wilczej. Tym razem w bardzo podejrzanym towarzystwie uczestników bitwy o taksówkę. Okazało się, że para, która rzuciła się na mnie, czekała w cieniu budki telefonicznej od godziny na taksówkę, a ja ich nie zauważyłem i według zeznań próbowałem zająć ją bez kolejki. Porządek „kolejkowy" do wszystkiego miał wówczas w Polsce swój

niepisany, ale mocno egzekwowany kodeks. Zakrwawiony, z podbitym okiem, w poszarpanej koszuli, woniejący na całą izbę zatrzymań hinduską wodą „dzieci kwiatów", spotkałem po raz drugi Kędziorka.

Siedział pod ścianą izby zatrzymań z rękami skutymi kajdankami.

Patrzył na mnie z pogardą.

Mój *image* groźnego przestępcy pękł jak bańka mydlana.

Stałem zawstydzony i upokorzony. Idiotycznie wstydziłem się, że jestem „ofiarą", a nie „sprawcą". Bardzo ważna różnica w naszej nieustającej walce o przetrwanie.

Dziś w barze na rogu u Gesslera. „Europejski".

Kelnerka automatycznie.

- Słucham?
- Chwileczkę - zastanawiam się.
- Aha, wódeczkę.
- Nie, mówię chwileczkę...
- Rozumiem, dwie wódeczki.

Onomatopeja.

Zwariowali. Nawet w programie *Między ziemią a niebem,* a może odwrotnie, też jest gotowanie i pitraszenie. Kuchnia katolicka? Kucharz mówi: „Dziś w moim wykonaniu kalmary oraz dymka".

Tak jakby miał wykonać arię z *Rigoletta.*

Później smakują.

Nie dostaniesz tego, ty dyrektorowo Odorowicz! Do swego instytutu. Będzie to scenariusz o powstaniu warszawskim widziany oczyma dziecka-staruszka. Tego jeszcze nie było. Starzec, a już dziecko, dziecko z mądrością starca. Nowość w literaturze, nowość w filmie i w sztuce.

Nie umiecie zrobić filmu o powstaniu warszawskim. Będziesz, Odorowicz, chciała się podlizać politykom, warszawiakom, narodowi, kombatantom i władzy. Masz na to kasę. Ale to, jak widzisz, nie wystarcza, nie wystarcza... Bo trzeba, no właśnie... talentu. Od czasu

Wajdowskiego *Kanału,* jego środkowych scen, nie zrobiono niczego ciekawego ani prawdziwego o powstaniu warszawskim. Tak, tak, tak!

Zaangażuj mnie! Dziecko i starca jednocześnie.

Kayah w wywiadzie.

Dziennikarka:

– Jak pani myśli dom, to co pani widzi?

Kaya:

– Morze.

– A jak pani myśli morze?

– To widzę morze.

– A nie vice versa?

– Nie, jestem bardzo bezpośrednia w stosunkach z ludźmi.

Wajda do aktorów na planie jakiegoś swego filmu.

– Taaaak... Pięknie mi grajcie, to wtedy będzie pięknie. Ludzie tego potrzebują. Nie ma teraz pięknych filmów. A nasz będzie piękny. Dlatego musicie to pięknie grać. Tak kiedyś Daniel pięknie mi grał i pięknie mówił.

Marlon Brando do tunezyjskiego reżysera.

– Dobrze, że jesteś Arabem. To musi robić Arab. Nie ma w Hollywood arabskich reżyserów. Sami Żydzi.

Sam Brando z Polski.

Brandys.

Wolał rozmawiać z psem przez telefon niż z nimi. I z kurami.

Producenci wrzucali mu scenariusze przez płot. Ofiarowywali bajońskie sumy. Odrzucał te projekty i pieniądze.

W polskiej telewizji Ninie Terentiew też wrzucali do kabiny w damskiej toalecie scenariusze. Odrzucała. Słusznie. Wolała siebie.

Jak Brando.

Gdańsk.

Długa kolejka taksówek. Wsiadam do ostatniej od tyłu.

– Potną mi koła! – mówi Wojtek taksiarz. – Ci z przodu kolejki. Trudno, jedziemy. – Zna pan taki dowcip? Facet chciał, żeby mu przysłali z agencji... spokojną. Przysłali. Facet dzwoni, że ją ugryzł w trakcie, a ona zasyczała z bólu i wyfrunęła przez okno. Bo to była lalka nadmuchiwana. Ha, ha, ha...

Wojtek. – No to co? Zamawiamy? Panią... Precyzja, dyskrecja, perfekcja.

Zostawia telefon z obrazkiem. Gdyby była jakaś potrzeba, proszę dzwonić o każdej porze, ale o czwartej śpię.

Dzwonię do niego. Będzie mała, spokojna, blondynka. Przygotowania: kąpiel, woda kolońska. Posłanie, światło... Taksiarz najpierw przychodzi sam, sprawdza. W porządku. A czego oczekiwał?

Ona.

Mimo uprzedniej kapieli blondynka daje mi polecenie ponownej kąpieli. Przy niej. Posłusznie znów wchodzę do wanny, przypomina mi się gra na czas z Mundialu. Ona dzwoni do agencji, że tylko godzina u klienta. Nie będzie trzeciej godziny gratis. Zajęte.

– Czego się napijesz? Masaż. O rety, ale ty masz zakwasy. Nie trzymaj go tak, co się boisz? Że ci ucieknie. Nigdy sama tego nie robiłam, podnieca cię to? W prezerwatywie bez dopłaty. Za to bez z dopłatą sto złotych, ale ci się to nie opłaci.

– A bez prezerwatywy i... bez stosunku jaka dopłata?

Śmieje się.

– Fajny jesteś. A bez prezerwatywy na język dopłata. Nie. Tylko delikatnie.

– To ja mam skończyć, a nie ty!

– Nie przerywaj.

– Nie wierzę ci.

– Było mi naprawdę dobrze, po coś przerywał.

– Bo chyba udawałaś.

– Zgadłeś. Odwróć się. Nie bój się! Nie zrobię ci krzywdy, ale ty jesteś cykor. Odpręż się, powiedz, kiedy będzie bolało. Lubię świece, róże i czyste ręczniki. Ale w hotelach nie pozwalają palić świec. Jeden klient to kupił dla mnie sto świec i przekupił recepcję. Wszystkie zapaliliśmy i nalewał mi zimnego szampana do cipy. Ale tego to nie lubię.

Daj telefon, muszę zadzwonić, że się spóźnię. Lubię cię. Kiedy zadzwonisz? Masz numer Wojtka. Tam mnie zawsze znajdziesz. Ale za pół roku już rzucę tę robotę. Idę na marketing i kurs komputerowy.

Nie chciał być banalny w rozmowie z dziewczyną publiczną. Tyle razy widział to na filmach i czytał w powieściach. Później wszystko zawsze okazywało się kłamstwem, nie chciał wyjść na głupka. Ale nasz biznes erotyczny jest tak prymitywny i raczkujący w swoim cynizmie, że może to, co mówiła, było prawdą i samą szczerością.

– Daj się zakochać? Jeden mój klient to dwa tygodnie spędził na zakochaniu i nic z tego. Zapomniał ze zdenerwowania, jak mam na imię, ale i tak podałam mu nieprawdziwe. Wojtek taksówkarz wszystko o mnie wie. Pa!

Po tygodniu zobaczyłem Wojtka w lokalnej telewizji, wygrał konkurs na zjedzenie trzydziestu dwóch jajek na twardo, ale wszystko zwymiotował po odebraniu nagrody. Cholesterol mu nie grozi.

Nie zadzwoniłem.

Nie wiem skąd to? Popełnię plagiat, złodziejstwo, rabunek i kradzież wartości intelektualnej!

Trudno.

Cytuję:
łomot łomot
łomot tępy
bolą bolą
bolą zęby

po co, po cośmy tu przyszli
poznać poznać
twoje myśli
słowa więzną
słowa grzęzną
w miękkiej wacie
w tym hałasie

śmierć dyskotece!
śmierć dyskotece!
śmierć dyskotece!
śmierć dyskotece!

łomot łomot łomot tępy
bolą bolą bolą zęby
zabić zabić tę maszynę
która uszy nam wygina

Byli u Polańskiego dwaj ludzie z szafą. Ja jestem człowiekiem z wieszakiem. Wyszedłem pewnego późnego popołudnia na miasto, przypadkowo wszedłem do sklepu na Marszałkowskiej, aby kupić rękawiczki, a wyszedłem w bardzo drogim płaszczu skórzanym, z futrzanym kołnierzem i z kartą kredytową wydrenowaną do zera.

O takim nakryciu na zimowe chłody dawno marzyłem. Płaszcz jest długi, plącze się między nogami i przyjemnie otula szyję futrem. Miał być z renifera. Po zakupie długo w noc szukałem w słowniku napisów, które znalazłem na metce, aby potwierdziły słowa sprzedawcy. Nie znalazłem. Za to dokładnie przestudiowałem instrukcję obchodzenia się z płaszczem, która właściwie wyklucza chodzenie w nim w naszym klimacie.

Po pierwsze, instrukcja ostrzegała, że płaszcz ten nie jest płaszczem przeciwdeszczowym, po tym szły dalsze ostrzeżenia, ale ani słowa, że

skóra jest zdarta i wygarbowana z ukochanego zwierzęcia Świętego Mikołaja, który przyjeżdża do nas saniami ciągnionymi przez renifera.

Wypatrywałem przez okno, czy nie pada śnieg lub broń Boże mżawka, potem studiowałem w CNN-ie i u nas prognozę pogody i dopiero wtedy decydowałem, czy wyjdę w płaszczu. W obawie, aby tak efektownego nakrycia nie zerwali mi z ramion szubrawcy, tak jak moim znajomym każą w środku miasta wysiadać z luksusowych samochodów, przekazać sobie kluczyki, kody zabezpieczające i wracać do domu tramwajem, wybierałem ulice oświetlone, z uzbrojonymi po zęby policyjnymi patrolami akcji „Bezpieczne miasto". Wręcz trzymałem się tuż za rosłymi policjantami w kamizelkach odblaskowych z napisem „Policja". Ci po dłuższym takim spacerze podejrzliwie się zatrzymywali, i zwykle jeden z nich, bo drugi go ubezpieczał z bronią gotową do strzału, legitymował mnie i długo sprawdzał dokumenty. Liczni przechodnie ustawiali się w koło, myśląc, że to jakaś nowa ofiara ABW uciekła z więzienia, kupiła sobie elegancki płaszcz za sprzeniewierzone pieniądze i została ponownie złapana.

Pogoda, bezpieczne ulice i najważniejsze, czy tam, gdzie mam iść, szatniarz wiesza okrycia na haku, czy może ma wieszaki. Zwykle nie ma. A więc wybór miejsca spotkania pod kątem dbałości o płaszcz i jego komfort czekania na mnie w szatni, kiedy będę jadł, rozmawiał czy tańczył w lokalu. Eleganckie okrycia nie mają tzw. wieszadełka, aby można je było tradycyjnie powiesić. Tam, gdzie płaszcz został wyprodukowany, w szatniach wiesza się okrycia na wieszakach oprawionych w skórę, czasami w jedwab, a nie na rzeźnickim haku, do czego nas okrutna „komuna" przyzwyczaiła.

Luksusowy płaszcz można też rzucić na ziemię obok stolika, przewiesić przez poręcz krzesła, lekko zarzucić na ramiona. Podobnie z futrami, nie po to się kupuje żonie drogie futro, aby je zostawiała w szatni, kiedy można nim kłuć w oczy przyjaciółkom wokół. Poza tym szatniarz niechętnie chce przyjąć drogie futro, bo a nuż wpadnie ktoś z pistoletem i zgarnie rzecz za kilkanaście tysięcy baksów, wyjętą z

lodówki na tę okazję. Bo zwykle drogie futra trzyma się w lodówce w przechowalni przed złodziejami i molami. Na życzenie dostarczane jest do domu pod eskortą.

Droga rzecz pociąga za sobą liczne konsekwencje. A więc wychodzę z domu tylko w ładną pogodę, chodzę tylko ulicami strzeżonymi przez policję i noszę ze sobą wieszak, aby wieszać mój płaszcz w komfortowych warunkach. Jest to trochę ekscentryczne, ale pełni też w razie potrzeby funkcje obronne. Wieszakiem mogę z powodzeniem unieszkodliwić ewentualnego napastnika, który, urzeczony pięknem reniferowego okrycia, chciałby mi je zabrać przemocą.

Gdybym nie zdołał obronić płaszcza wieszakiem, dramat, który mógłby nastąpić, został już opisany przez Gogola w znanym opowiadaniu *Płaszcz.* Skromny urzędnik szyje sobie płaszcz za ostatnie pieniądze... i tak dalej... płaszcz ma świadczyć o jego nowej pozycji... zostaje mu skradziony.

Zestawienie nędzy z jedną rzeczą luksusową bardziej podnieca wyobraźnię niż sam luksus lub sama nędza. Pierścionek z brylantem u zubożałej nauczycielki francuskiego, wytarte dziurawe dżinsy i zegarek Cartiera na ręku wygłodzonego młodego człowieka, skromne, ubogie wnętrze i obraz w drogich złoconych ramach... Emeryt z laską o srebrnej gałce w wytartym, połatanym ubraniu. Sam cymes dla literata, filmowca czy scenarzysty.

Z wierzchnich okryć zimowych pamiętam sak-palto ojca po wyjściu z powstania warszawskiego, kiedy chodziłem w nim i okrywałem się w stodole na wsi podczas mroźnej zimy, kożuch radzieckich wojsk ochrony pogranicza, kupiony na „ciuchach" w Rembertowie za Gomółki, długi płaszcz z nutrii za Gierka, w którym wyglądałem jak Iwan Groźny na krótko przed zamordowaniem swego syna, i dwurzędówkę granatową z kieszonką na chusteczkę w stylu italiano, w którym czułem się jak w za długiej marynarce ze starszego brata. I teraz ten płaszcz z renifera. O włos lepiej niż styl „ruble, mary, dolary" dawniej przed kantorami. Ale dopiero dotknięcie miękkiej, aksamitnej skóry tego polarnego

zwierzęcia, ciągle chcę wierzyć, że renifera, daje pełne pojęcie o przyjemnościach luksusu.

Pozór a rzeczywista wartość. Już Leopold Tyrmand stawiał kiedyś przed nami młodymi ten dylemat. Czy pić wódkę czystą w butelce po 24-letniej whisky, czy whisky w butelce z czerwoną kartką.

On całe życie wybierał to pierwsze. Elegancki pozór.

Na ten temat anegdota o futrze z małp. Kiedyś Roman Polański na krótko przed sylwestrem po iluś tam latach po raz pierwszy wraca do Polski. Zima stulecia! Lotnisko w Warszawie nieczynne. Roman decyduje się na przylot do Pragi, a stamtąd wynajętym mercedesem do Krakowa. Do rodziców. Gehenna jazdy przez zasypaną Czechosłowację.

Po przekroczeniu granicy w Cieszynie w jednej jedynej restauracji w mieście, zmarznięty i zmęczony, chciał coś zjeść, napić się czegoś gorącego. Drzwi zamknięte, z wnętrza dochodzą odgłosy wesołej zabawy. Puka. Długo nikt nie otwiera. Wreszcie ukazuje się nalana twarz jakiejś babuszki. Taksuje wzrokiem intruza. Wreszcie wydaje wyrok.

- Tak pijany i do tego tak ubrany nie wejdzie! - I przekręca napis na drzwiach frontem do ulicy: „Miejsc nie ma".

Roman ubrany był w futro z małp, kupione za bardzo drogie pieniądze w Paryżu, tuż przed udaniem się na wschód.

Ląduje w barze dworcowym. W bufecie jest tylko mielonka. Kupuje, prosi o przyrząd do otwierania. Bufetowa podaje mu półmetrowej długości nóż do krojenia wędliny.

Rozpoczyna się walka o życie, czyli groza otwierania stalowej puszki na śliskim marmurowym blacie bufetu. Specjalista od horroru i groteski „na dzień dobry, Ojczyzno" jest bliski przebicia się nożem na wylot.

Luksus jest niebezpieczny. Dla duszy i ciała.

W Czytelniku nie wiedzą, jak mieli na imię pastuszkowie z Fatimy... Hiacynta i Franciszek, do jasnej cholery! I że Hiacynta obchodzi dziś

swoje setne urodziny. Ani że papież ofiarował Złotą Różę w Fatimie z tej okazji. Też nie wiecie?!

Nawet ksiądz L. zająknął się przy wymienianiu Drugiej Tajemnicy Fatimskiej.

Intelektualiści!

„Na zawsze dziewica...".

Spór lingwistyczny. Henryk Bereza, krytyk, wtrąca się w dyskusję, starając się zwekslować na boczny tor moją homilię „O soborze, który zdecydowanie mówi, że jeżeli ktoś nie będzie głosił, że Najświętsza Panna nie była dziewicą przed, w trakcie i po narodzeniu Pana Jezusa to będzie WZK!!!", co znaczy wykluczony z Kościoła.

Wykluczam cały stolik, nie wyłączając księdza L.

Księgarz:

– Pana książki już nie ma. Mieliśmy tylko trzy egzemplarze. Moja sprzedawczyni przeczytała pańską książkę dwa razy.

– Tak? Super.

– Potem zaszła w ciążę.

– Bardzo pana przepraszam.

Czekamy na wyjawienie treści rozmowy braci Kaczyńskich tuż przed katastrofą w Smoleńsku. Mają ją Amerykanie w Londynie, gdzie mieści się przypuszczalnie stacja nasłuchowa. Wszystko wiedzą, co kto mówi przez telefon, bez pozwolenia sądu.

Rozmowa ta ma wszystko wyjaśnić. Kto jest winien.

A swoją drogą, nie jest mi przyjemnie, gdy dowiaduję się, że moje rozmowy z pewną panią wieczorami są na podsłuchu w Londynie.

Suwerenność Polski w NATO?

Tak to wygląda, panowie!

Profesor Mieczysław Jahoda. Letni wieczór w Konstancinie, trochę mgły, ale zieleń pełna już, soczysta. Ogród, w którym ostatnio widziałem przyjaciela. Siedział na bujanym ogrodowym fotelu i kiedy

przyszła pora obiadu, z trudem mógł podnieść się z tego ruchomego siedziska. Pomogłem mu, był trochę zażenowany. Zawsze konkurowaliśmy. O wszystko. Z wyjątkiem pracy. Był o wiele zdolniejszy i bardziej wprowadzony do zawodu. Kobiety nas dzieliły. Robiłem mu na złość. Często pokazywałem się w towarzystwie takich kobiet, które były jego ideałem. Gruba, cycata, blond kretynka. Sadystycznie pastwiłem się nad nim. Stopniowo wypalała się namiętność, zazdrość i chęć ścigania się na tym idiotycznym polu.

Stoję na balkonie w ten smutny wieczór. Gdzieś w oddali zamglone kontury parku, zmoczone drzewa i bujana ławka ogrodowa odarta z poduszek, ale wydaje mi się, że siedzi tam on, noga założona na nogę, sylwetka podłużna, z nosem semickim wydatnym, w profesorskich okularach. Majaczy przez poranną mgłę.

Zasłaniam okno balkonu.

W telewizji idzie jakiś film, tak różny od tego szajsu codziennego. Jest trzecia w nocy.

Wtedy można ludziom pozwolić na odrobinę sztuki czy myśli.

Rano już go na ławce nie ma.

Dawno nie żyje.

Życie. Po grecku psyche, po hebrajsku...

Tchnienie.

Przy stoliku ktoś zauważa, że jest coś takiego w tajemnicy wdowieństwa, co zawsze pociągało rozpustników.

Przypomina mi się *Ryszard III,* rzeczywiście, jest coś perwersyjnego z tą wdową. Patrz: Jacqueline Kennedy i Onassis. Młoda „wesoła wdówka", to z operetki. Ale też poważnie u Szekspira. Gdy król kuternoga i morderca męża namawia wdowę do sparzenia się z nim. Do dzisiaj pamiętam Woszczerowicza i Śląską w tej scenie w teatrze Ateneum.

Perwersyjna do bólu.

Obserwujcie na pogrzebach wdowy. Tam jest pierwsza prezentacja wdowieństwa. Widziałem pogrzeb, gdzie młoda wdowa zachowywała się jak gospodyni na przyjęciu, które razem z mężem wydawali dla przyjaciół, mąż się spóźnia...

Czasami się zdarza, że długoletni kochanek żony odskakuje po śmierci męża. Chyba że tłusty testament wchodzi w grę.

Wdowa zaciekawia. Czy będzie się opierała, co jej zostało z ulubionych pozycji męża, jak będzie sprzedawać te doświadczenia, czy powtarzać, czy szukać nowych przyjemności, odkrywać czy puszczać *replay* z ich dawnego życia.

Jest w innych samcach ciekawość, jak było między nimi, co z tego zostało w jej odruchach i nawykach, jest chęć dotarcia do intymności ich małżeństwa.

Ale też zaciekawia O n, poznawany po śmierci przez N i ą. Szczególnie gdy On był kimś znanym: polityk, oligarcha, aktor, pisarz... Chciałbym tak poznać na przykład kiedyś bogatą osobowość Janusza Głowackiego. Ale chyba się nie doczekam.

Kobieta w żałobie. Podnieca.

Diabelska siła tkwi w lędźwiach.

Zawsze tak było.

Głównie jednak w literaturze.

Zabawa w dzieciństwo!

A więc:

Oglądam w kółko telewizję. Cieszę się, gdy widzę jakiś program dwa, trzy razy.

Nie szukam okularów.

Lubię taki zamazany świat rozmytych kolorów i kształtów.

Taplam się w wannie i walę z całej siły w wodę, aż pryska pod sufit.

Mówię, że zalewają nas ci z góry.

Podstawiam nogę sąsiadce, gdy idzie z siatkami.

Jeszcze trafiam do miski klozetowej z sikaniem, ale celowo polewam dookoła.

Podsłuchuję, co młodsi/starsi mówią w stołowym.

Zakradam się w nocy do lodówki i wyjadam smalec, czego mi nie wolno.

Przymierzyłem dwadzieścia par spodni, które tak niedawno dawałem do przeróbki. Wszystkie za ciasne.

Amerykański serial detektywistyczny. Fantastyczna „Akcja Szach Mat". Grupa antyterrorystyczna wpada do domu faceta, który sprzeniewierzył pół miliona dolarów. Z banku, który sprzeniewierzył dwadzieścia miliardów. Happy end. Facet złapany! Ten, który ukradł odrobinę.

Kłania się Brecht.

Nowa Polska! Festiwal dobrych pomysłów i marek. Fascynuje mnie facet, który dostał nagrodę za szynkę i oliwę. Daje wszystkim próbować. Boska! Pytam, jak do tego doszedł. Jestem fanem jakości. Szynka Jabugo, jedyna na świecie. Wiele czynników sprawia, że nasze produkty nie mają sobie równych. Nasze świnie odżywiają się tylko żołędziami. Żyją na wolności. I są dumne ze swego pochodzenia.

„Jestem klasycznym przykładem humorysty - powiedział o sobie Peter Sellers, wspaniały angielski aktor, który śmieszył mnie do łez - ale zabawny jestem tylko wtedy, gdy pracuję i gdy mi za to płacą".

Z doświadczenia wiem, że są komicy w Polsce często zabawniejsi poza planem niż na ekranie.

Wolę ich za kulisami.

Zresztą wszystko jest ciekawsze z drugiej strony, od kuchni. Na przykład politycy przed wywiadem, gdy nie wiedzą, że już jest włączona kamera. Potem na wizji pierdolą. Od kuchni. Kiedyś zrobiliśmy taki program, Od kuchni. Na Balu Sukcesu w Victorii wchodziliśmy od kuchni... Wszędzie byliśmy od kuchni... Żadna

telewizja tego nie wzięła, a było bardzo zabawnie. Wolą z przodu, z tej banalnej strony poprawności.

I tak zabijają wszystko co zielone.

Taką sztukę powinienem napisać. A może już ją ktoś napisał? Może ją gdzieś widziałem?

Zaczyna się tak: jakaś kobieta w garderobie gwiazdy monologuje lady Makbet. Zaciera ślady, ogląda nerwowo ręce, próbuje zmyć krew. Gra. Wydaje się jej, że jest na scenie, czy próbuje przed spektaklem? W pewnym momencie patrzy na zegarek, znów gra... wariuje... znów zegarek, gwałtownie zrywa z siebie kostium, wkłada fartuch garderobianej...

Wchodzi Gwiazda.

- Rzuciłam go!
- Kogo?
- Alka. A właściwie to on mnie rzucił.
- Rozumiem.
- Co, idiotko, rozumiesz? Nie jesteś w stanie nic zrozumieć z naszej miłości. Jesteś zerem.
- Powiedzmy.
- Alek mnie wciąż kocha.
- Ale panią rzucił.
- Rozstaliśmy się. A to wielka różnica.
- Żyje z tą nową, która przyjechała z Kalisza.
- To nie ma znaczenia.

Przebiera się, makijaż, wychodzi na scenę grać.

Przerwa

Wraca z bukietami kwiatów.

Rozbiera się, zmywa makijaż.

Krzyczy, żeby nie wpuszczać nikogo.

Okazuje się, że to wszystko gra, pozór. Nie odbywa się żadne przedstawienie. Kwiaty własne.

Dyrekcja pozwala jej przychodzić do garderoby w dni, kiedy teatr jest nieczynny.

Może się przebierać, charakteryzować...

Wynajmować garderobianą.

Wychodzi.

Garderobiana zostaje sama, aby posprzątać po gwieździe.

Gra wspaniale lady Makbet... popełnia samobójstwo na końcu.

Nie wytrzymuje ciśnienia morderstw, które popełniła razem z mężem.

Mycie rąk nie wystarcza.

Jak jest u Szekspira? Już nie pamiętam...

W pejzażu Warszawy istniały pewne typy ludzkie, znane dobrze aktorom i artystom. Ci byli znani z ekranu, estrady, teatru, tamci stanowili coś w rodzaju dzisiejszych „grupies" kręcących się wokół zespołów rockowych. Ale nie dziewczyny, gnoiki zbierające autografy lub oszalałe baby, ale jakby przyjaciele, koledzy czy pomocnicy. Uwielbiali gwiazdora, ale okazywali to spokojnie i godnie, bez płaszczenia się. Takich zaprzyjaźnionych fanów mieli Zbyszek Cybulski, Kobiela, Łazuka, Maklak, nawet Holoubek. Zwykle byli to mężczyźni. Może niespełnieni artyści, ale jakby instynktownie wyczuwali, że tamci potrzebują ich opieki. Fizycznej. Przed tłuszczą, motłochem, bezczelną publicznością, często chamstwem.

Bo jeżeli ma się na odległość łokcia jadącego autobusem aktora, gwiazdę telewizji, to się go ma za hetkę pętelkę.

Byli w jakiejś mierze dzisiejszymi ochroniarzami. Nie opłacanymi pieniędzmi, ale pracującymi tylko za ogrzanie się w blasku popularnego artysty. Wychodzili wtedy z anonimowości własnego szarego życia gdzieś na dalekiej Pradze czy Woli.

Karol kręcił się głównie obok Bohdana Łazuki.

– Co, co to, kto to, ten taki, co to za jeden, ten? – pytał go, gdy spotykali kogoś nowego. Albo: co to za figura? – Gdy widział jakiegoś ważniaka, wokół którego tańczyli inni.

Karol był napakowanym bykiem o niespotykanej sile z poczuciem humoru z gatunku himilsba-chopodobnych. Z tym, że nie pisał. Czasami śpiewał:

„Tańcowała baba bez jednego zęba

A jak się dymała, to stawała dęba".

Aktorzy go tolerowali. Przychodził na plan, czekał, aż skończą się zdjęcia, szedł z nimi na wódkę. Ochraniał przed natrętami.

– Odejdź, dziecko, bo ci zrobię krzywdę.

Gdy natręci nie słuchali, w ułamku sekundy wynosił ich na zewnątrz i wsadzał głową w zaspę śnieżną albo pogotowie odwoziło ich na Hożą. Był silny jak tur i w zasadzie łagodny jak baranek. Często prowokował tak zwanych inteligentów swoim niewyparzonym językiem.

Znany aktor się żeni. Sam z dobrej rodziny, wchodzi przez to małżeństwo w jeszcze lepszą. Chociaż państwo profesorostwo, teściowie, patrzą trochę niechętnie na zięcia komedianta, ten jest szczęśliwy. Na weselu pełno gości od strony panny młodej i artystów ze strony pana młodego. Między innymi razem z koleżką wprosił się jego stały fan Karol. Ubrany na czarno, nie różnił się od innych niczym poza szerokością ramion, karkiem byka i szczerą, otwartą fizjonomią.

Gdy pan młody zobaczył Karola zbliżającego się do teściowej, szepnął mu dramatycznym szeptem na ucho:

– Karol, ale wiesz! Możesz rozmawiać z mamą, ale...

– Tak, wiem, wiem, bez „tańcowała baba"...

– Bardzo cię proszę.

– A co to jest, panie Karolu?

– Wie pani, taka przyśpiewka, którą lubię sobie nucić.

– Tak?

– Ale nie mogę tego śpiewać przy pani.

– Dlaczego?

– To nie jest dla uszu pani profesorowej. – Karol nie pozwolił sobie na niezbyt elegancką piosenkę. Przyrzekł to aktorowi. A słowa umiał dotrzymać.

– A ten pan obok to pański kolega?

– Tak.

– Czym się zajmuje?

– Goli, p……li, zęby wyrywa.

Pani profesorowa omdlała.

Znów Proust.

„Zapomnienie stanowi potężne narzędzie w przystosowaniu się do rzeczywistości, ponieważ stopniowo unicestwia jeszcze w nas żywą przeszłość".

„Prawie wszystko co w związku z nią w mojej pamięci przeszło już w drugą fazę chemiczną – gdy wspomnienia przestają uciskać serce i przynoszą ukojenie".

„Wyleczyć się z cierpienia można tylko pod warunkiem, że się go doświadczy do samego końca".

Król Salomon z pociągu relacji Warszawa-Gdańsk.

Pierwsza klasa.

Tylko my dwaj w przedziale.

On stateczny, szpakowaty mężczyzna.

Długa podróż jest okazją do zwierzeń.

– Jestem, proszę pana, „alfonsem" – mówi. – Tak, tak to można nazwać, ale nie takim prawdziwym. Nie. Raczej babiarzem, podrywaczem albo prowincjonalnym Casanovą, ale tylko na małolaty. Starego ciała się brzydzę. A im bardziej naiwna, niewinna i skromna, tym bardziej mnie pociąga. Bywam często w miejscowościach, gdzie jest duże bezrobocie, gdzie jest bieda, tam za parę groszy mam to, czego mi potrzeba. Mam swoje lata… Starość! To nie jest najgorsze, gdy jeszcze

ma się „stójkę". Wyglądu już nie mam, wstydzą się ze mną wyjść gdzieś do kina albo kawiarni... Nie słyszę. Co pan mówi? Jestem głuchy. Ale udaję, że mam zapalenie ucha i dlatego nie słyszę. Po co straszyć chorobami starości młodą dziewczynę. Ale jeszcze energia i siła jest. Biegam co rano, inni w moim wieku pociągają nogami. Nie piję, nie palę, dbam o cholesterol. Najważniejsze, że jest „stójka" i... kasa.

Prowadzę różne biznesy. Przepraszam, syn dzwoni z Niemiec. No, słucham cię? Tak... Świetnie. Tak trzymajcie!... Sprzedali dzisiaj towaru za cztery tysiące marek. Nieźle, co? Pan poszedł do toalety, a tu dawali poczęstunek. Ta kelnereczka bardzo przyjemna. Gosia ma na imię. Małe cycki? Mnie wszystko jedno. Duże, małe. Jak ma małe, to ja mówię, że lubię małe, jak duże – że lubię duże. A prawica nie może się zjednoczyć... Balcerowicz to mój idol. Dziura budżetowa? Bzdura! Dziura, bo tyle chcą. Pospólstwo nabrało wszystkiego na raty i teraz narzeka, swołocze. Mocny złoty? Bardzo dobrze. Po tym się poznaje gospodarkę kraju.

Jak jestem za granicą, to nie mówię, że jestem Polakiem, tylko Rumunem. Wstydzę się. Jaka ta młodzież jest teraz rozwydrzona. Przyszły takie dwie do mnie, wypiły trzy czwarte litra whisky, śmieją się, gadają, a mnie wszystko jedno, zapas w barze jest... ale więcej nie dałem. Po co miały mi zarzygać łazienkę.

Pytam kolegi, co ja mam robić na starość? Jeszcze rok, jeszcze dwa... Pracować więcej, żeby dzieci to przepuściły? To mi tylko zostało, trochę przyjemności z tymi młodymi. Dopóki „stójka" jest. Na nic innego nie liczę. Biorę małolaty, bo starsza zaraz do knajpy chce iść, bywać, do teatru, kina, na kolacje. A te małe się wstydzą i mnie to odpowiada. Rozkłada nogi za pięćdziesiąt złotych, bo chce kupić sobie rajstopy albo co innego.

Może przyjść tylko w tygodniu, bo piątek, sobota idzie do dyskoteki i żadne pieniądze jej nie skuszą. Wtedy sobie czytam zaległą prasę, tygodniki, bo bardzo dużo czytam. Nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam. I obracam się tylko wśród bogatych. Spod jakiego pan znaku? Też Baran? To dobry znak, idzie do przodu jak burza, aby „stójka" tylko była.

Proboszcz się na mnie obraził, bo syn obiecał, że zrobi mu kielich za tysiąc dolarów, a ja mu mówię, że poniżej dwóch nie oddam. Jestem jubilerem. A co? Cwaniaki. No i co pan o tym sądzi? O czym? Że najważniejsza „stójka" i kasa? Kopalnią tego towaru są szkoły

gastronomiczne. Chociaż mój kolega, też niezły alfons, mówi, że pielęgniarskie. Ja lubię proste dziewczyny. Niech pan spojrzy, jaka to miła buzia ta z Warsu. Zadzwoni do mnie dziś wieczorem. Jak pana nie było, podałem jej swój numer. Zadzwoni albo nie zadzwoni. Jak nie, to sobie poczytam „Politykę". Zawsze przychodzą do mnie po zamknięciu interesu. Po co mam się afiszować, że takie piękne dziewczyny na mnie jeszcze lecą. A raczej na moją kasę. Wiem o tym i niczego więcej od nich nie wymagam. I jestem grzeczny i wypłacalny, a one od razu to czują. Chociaż nie rozpuszczam. Bo dzisiaj nie jest łatwo o kasę. Ten kryzys narobił mi szkody w biznesie. Trzy kontrakty na sprzedaż bursztynu turystom ze Szwecji przeszły mi koło nosa. Wszystko odwołane. Nie chcą zagraniczni ruszać dupy z domu.

Mam piękne, piękne małolaty, później się żenią, piszą do mnie. Nie wstydzę się tego. Bo co ja mam robić w moim wieku? Król Salomon też młodymi dziewczynami na starość się obkładał, w Piśmie Świętym jest. Mądry był. Teraz to wszystkie wygolone, nie lubię tego. A pan? Przepraszam, głośniej, nie słyszę.

„Milczenie człowieka myślącego to jedynie niesłyszalne mówienie".

W warszawskich kamienicach zwykle było cicho. W określonych godzinach nie wolno było trzepać dywanów, po dziesiątej grać na patefonie albo głośno słuchać radia. Śpiewak czy grajek mógł też występować w określonych porach dnia.

Dźwięki miasta. Pamiętam z dzieciństwa błogosławiony stuk kopyt konia dorożkarskiego po powrocie z letniska do Warszawy. Padał lekki deszczyk, dorożkarz postawił skórzaną budę nad nami. Wsiedliśmy po wyjściu z Dworca Gdańskiego i jazda przez wybrukowane ulice. Klap... klap... Stukot tych klapań po mokrym bruku warszawskiej ulicy został mi w pamięci na całe życie. Powrót ze wsi, z lasów, łąk do miasta. Co słyszymy dzisiaj? Koń dorożkarski odpada, chyba że na moście Śląsko-

Dąbrowskim o piątej rano, gdy dorożkarze ze Starego Miasta wracają na Pragę. Za to jest sto innych dźwięków.

Awantury, płacz dzieci.

Windy.

Latem z otwartych okien muzyka.

Przeraźliwy zgrzyt tramwajów na szynach.

Dyskoteka.

Gra w piłkę na podwórku albo pod oknami bloku.

Wo łanie na dzieci: – Stasiuuuu! Do domu!!!

Reperacja samochodów, próby z silnikiem.

Ryk straży pożarnej.

Syreny policji.

Przejazd premiera na lotnisko.

Sygnał Erki. Budzi najgorsze myśli. Kiedy po mnie.

Ostatnio zwróciłem jednemu uwagę, że to nie warsztat, ale miejsce publiczne. Wychylił się spod otwartej maski samochodu i obcyndolił mnie od stóp do głów: A co ci się nie podoba, złodzieju! Kupiłeś sobie nówkę za kradzione pieniądze i co ode mnie chcesz?!

Złodziej jest dobry na wszystko i na wszystkich i we wszystkich dostępnych miejscach, tak w Sejmie, jak i na ulicy.

Paradoksalnie im wyżej się mieszka, tym więcej hałasu. Karetki pogotowia, straż pożarna... przejeżdżający w kolumnie dostojnik wytrącają cię z równowagi. W Nowym Jorku wyją bez przerwy, po pewnym czasie się tego nie słyszy. Tworzy się pewien poziom szumów, a właściwie nieustającego wycia syren, co zamienia się w normalne tło. Nas to jeszcze wytrąca... Coś się stało! Katastrofa! Wybuchł pożar! Tam cały czas coś się dzieje, nikt nie zwraca na to uwagi. Przez pewien czas było inaczej, po wrześniowej tragedii World Trade Center.

W blokach drażni nas spuszczanie wody w łazience u sąsiadów, odgłosy zbyt intensywnej rozkoszy płciowej, jęki chorego. Chociaż to ostatnie zdarza się coraz rzadziej. Mało kto choruje albo umiera w domu. Do tego są teraz specjalne miejsca...

Okna. Dźwiękoszczelne bronią nas przed hałasem miasta, ale wywołują we mnie jakieś poczucie sztuczności. Szum miasta działa na mnie kojąco. Najgorsze są dźwięki o zmiennym natężeniu i aplitudzie, nieoczekiwane, wystają z poziomu szumów. Są nieprzewidywalne i drażnią system nerwowy.

Stworzyć własną przestrzeń dźwiękową, barierę odgradzającą nas od innych, cień, w którym się możemy schronić na pustyni hałasów współczesnego świata.

Ale nie można przesadzać, bo maszyneria naszego organizmu i jej dźwięki mogłyby nas przerazić, gdybyśmy wyizolowali się z akustyki miasta. Byłem kiedyś w takiej komorze ciszy i przestraszyłem się tego, co słyszałem, a co działo się w moim ciele. To odgłosy pracującej fabryki na pełnych obrotach. Zgrzyty, szumy, syki, bulgotanie... horror!

Janusz Minkiewicz, literat i satyryk, kiedy nad ranem wracał do domu, włączał odkurzacz i spokojnie zasypiał. Nie przeszkadzała mu wtedy śmieciara, zrzucane z łomotem skrzynki z butelkami mleka, nawoływanie do kupna ziemniaków, poranna muzyka z radia zza ściany.

Gruchanie gołębi może doprowadzić człowieka wrażliwego do szaleństwa. Łączenie miasta z naturą jest nie do pogodzenia. Jak w nowoczesnej diecie: makaronu, chleba, ziemniaków pod żadnym pozorem nie łączyć z mięsem.

Ciągle nie doceniam monet. Wychowanie peerelowskie.

Przed wojną uchylano okna i rzucano artyście zawinięte w papierek monety. Monety miały wartość. Później przyszły czasy, kiedy stopniowo traciły. Prawie znikły z obiegu, zastąpiły je coraz mniej wartościowe papierki z wizerunkiem jakiegoś przodownika. Dziś znów wraca wartość monet.

Młodzież docenia monety. Ja ciągle mam trudności. Nie wiem, ile daję na przykład sąsiadowi, który czeka pod bramą na pomoc w zakupie puszki piwa. Dużo czy mało. Jakie daję napiwki kelnerom,

jałmużna to czy pożyczka, wsparcie, ze strachu, z litości i czasami z chęci pomocy.

Aby się zorientować, przeliczam na euro.

Łatwiej.

Rzucam zawsze artyście grającemu na ulicy. Jestem przesądny. Ja dam, mnie dadzą.

Mam poczucie bezpieczeństwa dzięki armii bezrobotnych na placach, parkingach, przed supermarketami... W dobie zagrożenia terrorystami to oni są gwarantem, że nikt obcy nam nie zagrozi.

Nie dopuszczą.

Podsłuchane.

– Nie mogę ! Nie mogę, same wieśniary na tym balu. I buraki. Rozstałam się z narzeczonym. Matka mnie z ojcem spakowali. Okazał się biseksem.

– Jak to?

– Tak. Cały czas był miły i tylko dawał mi w kakałko i mówił, że nienawidzi kobiet, ludzi i zwierząt.

– Ale miałaś przyjemność?

– Tak.

– No to co?

– Przymilał się do chłopaków, a mnie ubierał w buty wojskowe i kombinezony. Filmy same o wojnie oglądał, pożyczał z wypożyczalni. Takie ponure, w sepii, czy jak to się tam nazywa.

– To niczego nie dowodzi.

– Rzuciłam też swój program w Stacji z tymi burakami. Niech się bujają sami.

– To co będziesz robić?

– Mam ich gdzieś! Poznałam kogoś. Ma ksywę Człowiek ze Szramą.

– Żeby cię nie zajebał.

– Tego się boję. Opowiem ci o nim.

- Sorry, kończy mi się komórka. Cześć.
- Cześć. Dzwoni do drzwi Szrama. Lecę otworzyć, bo kopie w drzwi.

Takie to nocne młodych Polaków rozmowy.
Uśpienie kochanego kota.
Histeria.
Uspokojenie.
Przejazd przed dawnym jej mieszkaniem.
Kot siedzi w oknie.
Obłęd.
Powrót na miejsce kaźni.
Śledzenie, co tam się dzieje.
Opowieść kobiety z ukochanym kotem do uśpienia.
Lekarz weterynarz wynosi go w teczce.
Ona idzie za nim.
Lekarz wyrzuca go na śmietnik.
Ona płacze.
Przynosi martwego kota do domu.
Trzyma w zamrażalniku.

Anioły w mieście. Warlikowski. Mniszkówna tylko z chłopakami. Banał, gdyby nie polityka. Ethel Rosenberg chodzi po scenie i śpiewa w jidisz umierającemu adwokatowi z Nowego Jorku za czasów McCarthy'ego. Całość nie dla kucharek. Można by powiedzieć, że raczej dla pomocników kucharzy. Warlikowski na końcu wyskakuje na scenę w czapce, zgarbiony, gruźliczo blady i z odrobiną egzaltowanej cioty. Wstaję razem z publicznością, biję brawo. Jest kilka scen wspaniałych, chociaż Chyra leci Łomnickim. Mały z dużą głową. Zdolny.

Jeszcze nie widziałem *(A)pollonii* ani *Końca.*
Podobno świetne.
Też długie.

Nie chcę udzielać wywiadu małemu agentowi z prasy. Węszy jak pies dingo za padliną. Stać mnie na odmowę. Nie jestem pazerny na szkło albo wywiady. Dzwoni. Mam małą satysfakcję, że nie odpowiadam.

Codziennie inny numer. Dziś Wałęsa nazwał Kaczyńskiego... jakoś tak. Szykuje się smaczne mordobicie.

Potknąłem się na schodach i jak Fidel Castro na Kubie poleciałem kilka metrów na ziemię. Nic mi się nie stało, naruszyłem tylko kręgi szyjne. W pogotowiu założyli mi... chomąto ortopedyczne. Wyglądam jak pruski oficer. Przypiąłem sobie na środku krzyż Polonia Restituta, zwany przez niektórych „prostitutą".

Nie dostałem ani grosza odszkodowania, ale przypominam sobie Holoubka i jego stary szmonces.

Syn pyta ojca:

- Tato, czy ja jestem ubezpieczony?
- Tak, mój synu.
- A jakbym złamał rękę, to ile bym dostał?
- Tysiąc złotych.
- A drugą rękę?
- Dwa tysiące.
- A nogę?
- Pięć tysięcy.
- A nogę, rękę, jedną, drugą i cały bym się połamał?
- Och, ty mój mały marzycielu - odpowiada ojciec, gładząc dziecko po włosach.

**

Warszawskie pasaże.

Berberys. Dziwne słowo. Berberys to nazwa krzewu, którym jest obsadzony plac w środku stolicy. Dziś, a też i dawniej, plac Starynkiewicza. Kwitnie zdaje się na żółto, a może ma takie białe

kulki, które, naciśnięte, strzelają jak pękające kapiszony. Dla chłopca w wieku sześciu lat było to fascynujące. Berberys wrył mi się w pamięć z kilku powodów. Po pierwsze, gdy byłem na spacerze właśnie w tym miejscu, coś mi strzeliło do głowy i niepostrzeżenie oddaliłem się od rodziców. Ojciec z matką szukali mnie, zawiadomili komisariat policji, znaleziono mnie dopiero po dwóch godzinach. Sam wróciłem do domu. Pierwsze lanie od ojca.

Po drugie, na placu znajduje się pętla tramwajowa, kończyły tam swój bieg i zakręcały tramwaje jadące Alejami Jerozolimskimi i Żelazną. Zawsze wysiadał motorniczy i przestawiał szyny takim żelaznym drągiem, który trzymał przy motorze. Fascynowało mnie to, że jednym ruchem decydował o kierunku jazdy. Dziś pętla nikomu niepotrzebna.

Po trzecie, naprzeciwko pętli znajduje się słynna Izba Skarbowa. Budynek ten to dawna poczta. Nowoczesna, wybudowana tuż przed wojną, miała marmury, mahoniowe drzwi, klamki mosiężne – wszystko w najlepszym gatunku. Później, za komuny, Urząd Finansowy, stopniowa degrengolada. Winda stale w remoncie, drzwi ze szparami. Golgota chodzenia na czwarte piętro. Bieganina wśród pokoików zapchanych biurkami, sterty papierów, skoroszytów, segregatorów. Naczelnicy schowani za sekretarki, niedostępni, ściganie tak zwanej inicjatywy prywatnej. Płacenie pierwszych podatków. Zeznania o słynnym koncie „W", to znaczy gromadzenia gotówki w banku, aby nie wychodzić z nią na rynek, wówczas bez towaru. Jak czasy się zmieniają, zachęcano do... niekupowania!

Żądano dokumentów, rachunków za remonty. Zgromadziłem tego cały segregator, przyniosłem do urzędu, urzędniczka wrzuciła do szafy, gdzie na kupie leżały jakieś papiery. Nikt tego nie sprawdzał.

Znajomy, który prowadził jakiś interes, przychodził z kwiatami do urzędniczki, uśmiechał się, dawał wedlowskie, czyli „22 lipca" czekoladki i pożyczał teczkę z dokumentami do sprawdzenia, czy się wszystko zgadza. Darł na korytarzu kwity i w myśl zasady, że jak nie

ma dokumentów, to nie ma sprawy, z grzecznym uśmiechem oddawał teczkę z powrotem.

Dzisiaj musiałby wymontowywać twardy dysk. Chociaż okazuje się, że i to nie jest trudne.

Tuż obok urzędu kaplica, gdzie żegnano tych, którzy „zeszli" w szpitalu Dzieciątka Jezus. Nie wiem jak jest dzisiaj, ale dawniej oni tam mieli ostatnie pożegnanie po długiej chorobie. Pamiętam z dzieciństwa ponury obrzęd mszy żałobnej za jakiegoś krewnego, czerń i fiolety ornatu księdza i katafalk z wieńcami.

Do dzisiaj przejeżdżam obok tego miejsca z duszą na ramieniu. Nawet „Memento mori" nie łagodzi wściekłości na fiskusa.

Po tej samej stronie szpital. Z wejściem i podjazdem dla karetek. Architekura i czerwone cegły z dziewiętnastego wieku. A sam szpital jak małe miasto, olbrzymi teren, fabryka zdrowia. Miałem szczęście raz tylko zagłębić się w to miasto.

Naprzeciwko, po drugiej stronie „berberysu", po stronie spokojniejszej – porodówka. Zdzisław Maklakiewicz opowiadał, że jak nie było już żadnej możliwości zakupu alkoholu nad ranem, zawsze ostatnią deską ratunku było to miejsce. Wchodziło się do pomieszczenia dla ojców oczekujących na narodziny potomka, siadało się, udając stroskanego małżonka. Każdy z ojców miał przy sobie zawsze coś na wiadomość o ojcostwie. Po kilku szczęśliwych rozwiązaniach można było wyjść stamtąd nad ranem w stanie kompletnego upojenia.

Od strony Koszykowej mur i wieża warszawskich filtrów. Jako dziecko zawsze byłem ciekawy, co jest za tym murem. Jak wróciłem do Warszawy po latach i byłem wysokim blondynem, z łatwością mogłem oglądać, co jest za tym ogrodzeniem. Filtry pana Lindleya.

Przy wjeździe na plac z „berberysem" był olbrzymi gmach z napisem „Trybuna Ludu". Tajemniczy i niedostępny przeciętnemu mieszkańcowi. Przejeżdżało się obok tramwajem, autobusem, samochodem. Co działo się w tym gmachu, można się było domyślać po tytułach i zdjęciach przywódców w tak zwanym organie. Ośmieliłem się wejść do tego

gmachu, dopiero gdy zmienił się napis na frontonie. Otrzymałem kartę z napisem po angielsku „visitor".

W środku „berberysu" stało ogromne drzewo, chyba tam jest do dzisiaj, może to już jego wnuk. Drzewa w stolicy przeszły taką samą gehennę podczas powstania jak mieszkańcy Warszawy. Ranione, postrzelane z karabinów maszynowych, połamane wybuchami granatów, nadpalone pożarami.

Mało kto o tym pamięta.

U Zygmunta Krasińskiego nieoczekiwanie świetne sformułowanie o krytykach. Krytyka jest siłą o dwóch kierunkach. Pierwszy uznaje piękność, drugi tylko jej brak wytyka. Tym drugim: „Zajadłe pogańskie serce wre im w piersiach, miłością chrześcijan nie przepoili się dotąd, kochają się wściekle w ujemnym siły swojej kierunku. Ten ujemny kierunek nie za część, za środek, ale za całość uważają - gnani tej pomyłki wiatrem, gdy wysuną się z portu, gdy rozpuszczą żagle, płyną wprawdzie, ale po wielkiej n i c o ś c i".

Dotyczy to krytyków Juliusza Słowackiego. A co o dzisiejszych tandeciarzach i pseudoartystach? Czy można być chrześcijaninem i recenzentem?

Również znalazłem tam czasownik stary, a jakże aktualny: „znieznacznieć się". Ilu z nas to czeka i jakie jest to przykre, okrutne i bolesne. Z n i e z n a c z n i ł e m się ostatnio całkowicie. Istnieję tylko jako numer w ZUS-ie.

Ale „sytuacja ma zawsze rację". Podpieprzył mi to pewien pisarz, gdy używałem tego określenia przed laty w „Ścieku" u filmowców. Zatytułował tak swoją książkę.

Moje złote myśli z tombaku:

„Odpowiadać na niezadawane pytania. Oto czym jest prawdziwa sztuka".

„Daszek czapki bejsbolówki, uniemożliwia «grę wstępną». Nawet pocałunek na powitanie odpada".

„Najtrudniej jest uzyskać artyście popularność, później ją utrzymać, a po zejściu ze sceny życia przedłużać jej trwanie za pomocą kaset wideo i płyt DVD".

„On jest kompletnie pozbawiony talentu, ale nie można tego wywnioskować z jego dzieł".

„Czasami coś dobrego zaskakuje nie tylko widzów, ale i samego twórcę".

Zwykle felietoniści czytają jakąś książkę, oglądają film albo otwierają telewizor i przypadkowo natrafiają na jakiś program, wtedy mogą wystukać około pięciu tysięcy znaków na swoim laptopie bez problemu i zbędnego kontaktu z życiem. Manuela Gretkowska zachwyciła się amerykańskim filozofem i mistykiem Kenem Wilberem. Wszedłem do księgarni, żeby kupić książkę tego autora, ale przypomniałem sobie nagle, że Gretkowska napisała już na ten temat felieton. Więc po co to będę czytał! Kupiłem inną: *Dzieje pochlebstwa.* Z miejsca wpadłem w depresję, bo okazało się, że robię wszystko odwrotnie, niż zaleca autor tego podręcznika sukcesu, osiąganego przez nieustanne rozdawanie komplementów.

Moim oknem na świat nie są książki. Ostatnio mieści się ono na szybie samochodu. Nie podczas jazdy, kiedy mógłbym obserwować to, co się dzieje na świecie, ale gdy samochód stoi, a ja wyjmuję zza wycieraczki kolejny anons agencji towarzyskiej. Staram się na tym polu analizować styl, hasła, propozycje i język, w którym ktoś nieznany stara się zachęcić innego nieznanego do używania życia na różne sposoby, coraz bardziej rozszerzając zakres usług. Odgaduje tęsknoty, marzenia i chęci właścicieli samochodów.

Ma się chcieć żyć, a nie nudzić się życiem!

Gdyby starczyło finansów, może być „całodobowo". A zwykle odbywa się to w przerwie na lunch. W mieszkaniach blokowych, co jest zupełnie pozbawione uroku. Podobno w godzinach lunchu kolejki stoją na schodach. W środku M4 pracują dziewczyny pełną parą. Wejście, wybór, kasa, łazienka blokowa, mycie, prezerwatywa, numer i powrót za biurko zrelaksowanego biznesmana.

Ciekawa jest obserwacja rozwoju technik reklamy tych agencji. Dawniej cienka karteczka, czarno-biały druk, prymitywny rysunek wypiętych pośladków. Dziś wabią kolorowymi zdjęciami na błyszczącym papierze w atrakcyjnych pozach półnagie dziewczyny. Ogłoszenia prześcigają się w wymyślnych hasłach mających zagrać na wyobraźni mężczyzn. Konkurencja działa ostro. Już rano widzę, jak młodzi ludzie idą po dwóch stronach ulicy i wkładają za wycieraczki anonsy. Bezrobocie. Po półgodzinie widzę, że znowu coś wkładają, tym razem starsi wiekiem. Może „Kursy hiszpańskiego", zastanawiam się, „Xero całodobowo" albo „Szkoła profesjonalnego nurkowania". Okazuje się, że nie w k ł a d a j ą, ale z a b i e r a j ą tamte anonsy. Są to dozorcy z okolicznych domów, którzy w ten sposób oszczędzają sobie pracy zamiatania ulicy. Bo co robi kierowca, gdy ma za wycieraczką cztery anonsy „Różowej piątki", „Czerwonej Venus" albo „Księżycowej bajki"? Wyjmuje świstek i rzuca na chodnik. Dozorca go sprytnie wyprzedza.

Nie jestem tak niekulturalny, żeby zaśmiecać kolorowymi karteczkami moją ulicę, chowam je grzecznie do kieszeni. Żona je znajduje i następuje kolejna awantura.

Ostatnio zauważyłem pewną charakterystyczną zmianę w tych małych arcydziełkach reklamy. Oczywiście poza pojawieniem się koszulek przeciwdeszczowych, mających chronić przed zawirowaniami pogody. Zresztą pomysł wzięty z mandatów wtykanych nam za wycieraczkę przez służby miejskie.

Reklamuje się „Czarna pantera". Obok efektownie wypiętych pośladków „Czarnej pantery" jest napis „Zdjęcie autentyczne!!!". Widocznie było sporo rozczarowanych kierowców, którzy udali się pod

wskazane adresy i skonfrontowali panie na zachęcających zdjęciach z rzeczywistością. Zdjęcie autentyczne! Oświadczenie to ma budzić zaufanie. U amatorów. Ale my wiemy, że sztuka fotograficzna potrafi kłamać jak z nut. Był taki okres w Polsce, kiedy Zofia Nasierowska fotografowała panie z towarzystwa na potrzeby towarzystwa, na zdjęciach starsze kobiety wyglądały na podlotki. Do dzisiaj w prasie krążą tego typu zdjęcia znanych osób. Nazywa się to techniką „high key" i polega na świeceniu wszystkimi posiadanymi reflektorami prosto w twarz, aby zniknęły zmarszczki, deformacje i kurze łapki, a pozostała... biała plama.

Sam kiedyś w młodym wieku, wystarczająco naiwny, padłem ofiarą takich mistyfikacji. Zwabiony zdjęciem efektownej, półnagiej blondynki z długimi włosami, trzymającej w ręku długą cygarniczkę z papierosem, a wychowany na *Błękitnym aniele* z Marleną Dietrich, niejako odtworzyłem w PRL-u scenariusz tamtego klasycznego filmu.

Otóż w Warszawie, w reprezentacyjnej restauracji „Kongresowa" ze słynną fontanną, która do dziś tam egzystuje, odbywał się po raz pierwszy w stolicy prawdziwy striptiz. Był to szok dla młodego człowieka, który okres dojrzewania przechodził w normach wyznaczanych przez socjalistyczne społeczeństwo. W tej pani, co się publicznie rozbierała i paliła w światłach ultrafioletowych papierosa à la Marlena, zakochałem się bez pamięci. Wystawałem co wieczór obok przejścia, którym wychodziła na scenę ponętna, tajemnicza i ekscytująca swoją śmiałością w eksponowaniu nagiego ciała. Często wśród kelnerów wnoszących schabowe z kapustą podawałem jej nieśmiało bukiecik kwiatów po występie. Uśmiechała się na mój widok i znikała na zapleczu kuchni, gdzie w pokoju kierownika przebierała się do następnego występu. Była Jugosłowianką. Polki jeszcze nie odważały się występować bez majtek.

Po dłuższym czasie tego romansu na odległość zrezygnowałem, podejrzewając że kierownik ma więcej szans niż ja. Pewnego dnia, gdy szedłem ulicą, spostrzegłem, że ktoś do mnie kiwa ręką.

– Dobre utro!

Zaraz, kto to?

Widzę przed sobą jakąś babuszkę dźwigającą siatki z kartoflami, bochenkiem chleba i główką kapusty.

To moja Marlena!

Szok.

Gdzie rzęsy?

Nogi?

Długie blond włosy? Bezwstyd? Seks?

A więc oszustwo! Była z długimi blond włosami, ma krótkie, zmierzwione, czarne, charakteryzacja, światło, kostium i muzyka wyczarowały dla mnie bóstwo. Odarty z iluzji, załamałem się, i do dzisiaj nie wierzę gwiazdom show-biznesu, aktorkom i śpiewaczkom z plakatów i fotografii.

A swoją drogą, trzeba by może sprawdzić, jak dalece autentyczne jest zdjęcie „Czarnej pantery" z placu Mirowskiego w Warszawie. Gdyby któryś z czytelników miał szansę konfrontacji, proszę o wiadomość.

Złote myśli z tombaku. Dalszy ciąg.

„Mój znajomy jest selfmademanem. Wart swego kreatora".

„Nikt nie może go wyżej cenić niż ja. Uważam, że jest skończonym bałwanem".

„Często wydaje się, że krytycy oglądają filmy dopiero po napisaniu recenzji".

„Poszukując «straconego czasu» tracę nie tylko czas, ale i pieniądze".

„Piękno Sukcesu! Jest taki rzeczywiście: pieniądze, kobiety, sława, zdrowie, wygląd, włosy, sylwetka, cera. Własne wyspy, rezydencje, jety, jachty, brylanty, oklaski.

Ale też: dolina łez (wory pod oczyma), zbyt duży mięsień lewej komory (zapadnięta klatka), pośladki (obwisłe), łydki (rachityczne). To trzeba i można poprawiać i reperować".

Koniecznie.

Inaczej nie ma piękna.

Mistrzostwa świata w RPA.

W reprezentacji Meksyku nie ma ani jednego czarnego zawodnika. W reprezentacji Francji połowa. Co na to Le Pen?

Jeżeli będzie druga tura wyborów prezydenckich, „to ja się włączę fizycznie" – przestrzega Wałęsa.

„Niech dłoń nie zadrży twa – wybierz Bronisława Ka", pisze asystent noblistki Wisławy Szymborskiej w Krakowie.

Arcybiskup Paetz jest przedstawiany jako pedofil. Molestował kleryków. Ale nie w przedszkolu? Jakie to pedofilstwo?!

Na razie współcelebruje.

Otóż to! Dzisiaj rozmowa z Bohdanem Łazuką o gwiazdorstwie. Mówiliśmy poprzednio, że radio działa głównie na wyobraźnię. Showman w miarę upływu czasu się zmienia: czasami tyje, zakola, pulchne policzki. Występy w radiu to korzystna sytuacja dla gwiazdora, taki ostatni bastion. A w ogóle, jak to jest z gwiazdorem po latach działania w gwiazdorstwie?

Różnica między radiem a telewizją? Telewizja to jest medium dla ludzi, którzy nie mają nic do roboty i patrzą na tych, co robią cokolwiek. Przy radiu można robić wszystko: pracować, uczyć się, kochać, czytać, spać... też.

Otóż to!

Kim jest gwiazdor? Gwiazdor to jest ten, na którego sprzedają bilety do kina.

Powiększa oglądalność w TV, słyszalność w radiu, ściąga tłumy na stadion? Twoja słynna anegdota o Hitlerze w gigantycznej Hali Ludowej we Wrocławiu: „Tylko on i ja mieliśmy tu komplet na widowni".

Jaka jest różnica między idolem i gwiazdorem? Czy tylko liczba wysłanych esemesów? Jakie były dawniej kryteria?

„Gwiazdorów dzisiaj już nie ma" - powiedziała Isabelle Adjani. Co ty na to? Czy spotkałeś innych gwiazdorów show-biznesu poza sobą?

„Gwiazdorstwo? Nie można tego zdzierżyć, jeżeli się tego... nie kocha" - powiedział John Wayne.

Kochałeś być gwiazdorem?

Otóż to! Otóż to, proszę państwa.

„Sukces to niewybaczalny grzech w stosunku do kolegi".

Poczucie humoru jest wybawieniem. Tak często mnie ratuje. Jeżeli nie możesz się już śmiać, jesteś martwy.

Chociaż drażni, gdy ktoś śmieje się z byle czego. Na przykład: ze mnie.

Pożądanie:

„Pożądanie kieruje się zawsze w stronę tego, co jest nam najbardziej przeciwne; każe nam kochać istotę, przez którą będziemy cierpieć".

„Z punktu widzenia moralności jest absolutnie obojętne, czy się znajduje rozkosz u mężczyzny, czy u kobiety. Rzeczą aż nadto naturalną i ludzką jest szukanie jej tam, gdzie ją można znaleźć".

„Dość długo żył, aby wiedzieć, że nie istnieją żadne ważne sprawy oprócz przyjemności".

„Od czasu jak spostrzegł, iż wielu mężczyznom wydaje się ona czarująca i pożądana, działanie jej urody na innych obudziło w nim

bolesną potrzebę opanowania kochanki całkowicie".

Skąd ja to wszystko wziąłem?!
To jakieś totalne bzdury. W dodatku z czegoś zerżnięte.
Aha, Proust.

W latach dziewięćdziesiątych w Stanach potentat medialny Josh Harris zamknął około stu osób w bunkrze i filmował je noc i dzień. Na szczęście policja przerwała ten eksperyment. Niezrażony tym Harris zamknął się ze swoją dziewczyną na trzy miesiące i żył z nią na oczach publiczności internetowej, która brała udział w ich sprzeczkach, seksie i gadulstwie. Dostał za to nagrodę na jakimś festiwalu. Nazywało się to: „Żyjemy publicznie".

Ciągle mamy problem, co jest publiczne, a co prywatne, jaka jest granica, gdzie kończy się prywatność, co może być publiczne? Walczymy z tym problemem na Facebooku, ale ciągle bronimy się przed ekstremą w tej materii.

A przecież czynienie publicznym tego, co jest prywatne, nawet *top secret,* od dawna było uprawiane. Tylko w innych mniej dosłownych mediach. Dramat, literatura... *Cierpienia młodego Wertera* to właśnie przekraczanie prywatności, chyba w ogóle pisanie o kobiecie i mężczyźnie i ich relacjach to właśnie to, tylko nie na ekranie.

Literatura robiła to od lat.

W telewizji rekiny finansowe odpytują ludzi w sprawie nowych pomysłów na zrobienie dużych pieniędzy. Ci nie ryzykują. Chodzi o inwestycje. Nie chcą dać kasy na produkcję. Podważają każdy śmielszy projekt.

I tu fantastyczne pomyłki z historii wielkich pomysłów biznesowych.

Poniżej, dla znających angielski.

- *Computers in the future may weigh no more than 1.5 tons* – Popular Mechanics, 1949

- *I think there is a world market for maybe five computers* - Thomas Watson, Chairman of IBM, 1943

- *But what... is it good for?* - Engineer at the Advanced Computing Systems Division of IBM, 1968, commenting on the microchip

- *There is no reason anyone would want a computer in their home* - Chairman and founder of Digital Equipment Corp., 1977

- *The wireless music box has no imaginable commercial value. Who would pay for a message sent to nobody in particular?* - David Sarnoff's in response for investment in the radio in the 1920s.

- *Who the hell wants to hear actors talk?* - H.M. Warner, Warner Brothers, 1927

- *We don't like their sound, and guitar music is on the way out* - Decca Recording Co. rejecting the Beatles, 1962

- *Heavier-than-air flying machines are impossible* - Lord Kelvin, president, Royal Society, 1895

- *Drill for oil? You mean drill into the ground to try and find oil? You're crazy* - 1859
- *Airplanes are interesting toys but of no military value* - Marechal Ferdinand Foch, Professor of Strategy, Ecole Superieure de Guerre

- *Everything that can be invented has been invented* - Charles H. Duell, Commissioner, U.S. Office of Patents, 1899

Ktoś przy drugim stoliku, odkładając gazetę:

- Powinniśmy traktować ludzi w Polsce jak Anglicy traktowali tubylców w koloniach. I, broń Boże, nie wtrącać się do Ojczyzny.

Jako tubylec chciałem trafić dzidą w faceta.

Trybuna na placu Defilad już dawno poszła w zapomnienie. Z szarego granitu, odpowiednio wysoka, z wykutym orłem piastowskim na cokole, dla bezpieczeństwa z bardzo wysoką balustradą, dawała poczucie hierarchii i dystansu. Poza tym miała w podziemiach wszystkie konieczne urządzenia dla relaksu po męczącym wystawaniu przed wiwatującymi tłumami. Toalety, bary, pokój „zwierzeń" między dostojnikami a wielkim Pierwszym Bratem. Po latach zrobiono tam piwny pub, potem miejską toaletę, z braku opłacalności po jakimś czasie też zamkniętą. Pozostały tylko tabliczki „Panie", „Panowie". Zwabieni nimi turyści zwiedzający Pałac im. Józefa Stalina i klienci z okolicznych targowisk oddawali tam mocz na solidne mahoniowe drzwi, pozostałość dawnych lat.

Pamiętałem, że w pięćdziesiątym szóstym, będąc w stutysięcznym tłumie warszawiaków, śpiewałem stojącemu na trybunie człowiekowi „Sto lat".

Skąd te wspomnienia? W prasie nowy projekt zabudowy Pałacu Kultury. Stare błędy. Chcą go zakryć zamiast odsłonić. Trzeba dodać mu wspaniałe wieżowce i budynki, ale w stylu r e a l i z m u s o c j a l i s t y c z n e g o doprowadzonego do absurdu! Cały plac dookoła jako wielka wystawa Potężnego Cukiernika. Nowoczesność oblana lukrem pałacowego stylu, figurki, rzeźby, galeryjki, portale, okna, wieżyczki... i kolorowe światła.

Wtedy światowa sensacja! Turyści zjeżdżaliby z pięciu kontynentów! Ale na to trzeba by wizjonera, a nie wyrobników z kolejnymi pudełkami ustawionymi dookoła tego zabytku Stalina. Mają go przysłonić. A on i tak wylizie.

Zapomnieli też o sraczu. W ogóle architekci zapominają, że człowiek potrzebuje czasami „wysadzić małego" jak mówił pewien aktor z dawnego teatru „Syrena".

„Pan ze szkoły" to wspomnienia pewnej pani o swoim panu ze szkoły.

– Dziewczęta, chowajcie się, a pan łapie!

Mężczyzna zakłada opaskę na oczy, dziewczęta rozbiegają się po sali zaciemnionej materacami w oknach. Pan łapie, puszcza, dłużej przetrzymuje dziewczęta z dużym biustem. Niektóre się nadstawiają.

– Idziemy popływać!

– Ale my nie mamy kostiumów.

– Nic nie szkodzi. Każdy się kąpie w tym, co ma, albo w ogóle bez niczego.

– Jak to?

– Ja kąpię się bez.

Pan zdejmuje szybko spodenki i wskakuje do wody.

– No, hop! Do wody.

Pływa, ochlapuje dziewczęta, te piszczą.

– Ale my się wstydzimy.

– Nie ma czego. Wszyscy mamy to samo.

Stoją zażenowane i jakby skamieniałe. Każda na swój sposób.

Któraś odważniejsza dla żartu zabiera panu gatki leżące na brzegu i odrzuca je w krzaki.

– Dziewczęta, oddajcie mi spodenki!

– Nie oddamy.

– Oddajcie, bo wyjdę z wody tak jak stoję.

– Niech pan wyjdzie.

Powoli wychodzi, zakrywając jądra i ptaka. Ale niedokładnie. Widzą męskie genitalia po raz pierwszy w życiu.

Zabierają ten obraz ze sobą do domu. Długo się zastanawiają, czy powiedzieć rodzicom. Matka by nie uwierzyła. Jedna wreszcie się decyduje powiedzieć dziadkowi:

– Dziadku, a dzisiaj pan kąpał się bez majtek.

– Lekcje odrobiłaś?

Następnego dnia była lekcja przysposobienia wojskowego. Pan pokazywał, jak się ratuje człowieka systemem usta-usta. Do demonstracji wziął najładniejszą uczennicę.

Inne były śmiertelnie zazdrosne.

Wszystkie kochały się w panu.

Do dzisiaj go pamiętają.

Na You Tube świetny wideoklip z Afryki Południowej z mistrzostw świata w piłce. Piękne, obłędnie zgrabne dziewczyny, świetni chłopcy i dobra dynamiczna muzyka.

Śpiewają w jakimś afrykańskim języku, może suahili, ale po dłuższym wsłuchiwaniu się nieoczekiwanie wychodzi, że to po polsku!

Ktoś sprytnie dał pod tekstem piosenki podpisy zgodne z tym, co się mniej więcej tam słyszy.

Refren jest taki:

Ala nie wali mu pały

Nie ma pan kutasa

Nie ma pan grzyba

I nie ma pan czym pchać!

Klip ma setki tysięcy wejść na portalu You Tube.

Co za świat!

„Ala nie wali mu pały...".

Dzisiaj w Czytelniku razem z Głową doprowadzaliśmy do furii Henryka Berezę. Opowiadał, jak został zmuszony do zdawania egzaminu z łaciny za jakiegoś głąba, który z nim mieszkał.

Zmusiło go do tego sześciu drabów, kolegów z pokoju akademickiego. Podchwytliwymi pytaniami chcieliśmy dojść, czy była tam przemoc seksualna. Długo nie puszczał farby, wreszcie wyrwało mu się coś takiego, co mogło sugerować sytuację gwałtu... Zdenerwowany, krzyknął wreszcie:

– Mam was w dupie, cynicy i chamy!

Mundial.

Sprawozdawca:

– Będzie strzelał… Będzie! Przerzuca na drugą nogę… żona spodziewa się drugiego dziecka… Strzela, nie trafia.

Co ma do drugiej nogi drugie dziecko?

Rozpleniły się książki, tak zwane wywiady – rzeki.

Druga powódź!

Setki.

Otwieram w księgarni jedną z nich o fascynującym tytule, już widzę wstrząsającą historię człowieka… typu… Pytanie: „Jak pan dojrzał do małżeństwa?". W odpowiedzi cały długi rozdział zapisany drobnym, gęstym maczkiem.

Trzeba być desperado, aby to studiować.

Nowobogaccy.

„Żadna kobieta nie wychodzi za mąż dla pieniędzy bogatego, ona najpierw się zakochuje".

„Żony były od początku".

„Potem szukanie satysfakcji na innych polach: sztuki, sponsoringu, pomagania chorym młodym artystom".

„Bóg pokazuje swoją pogardę dla bogactwa przez wybór ludzi, których nim obdarza".

„Bogaci zawsze radzą biednym".

„Niedogodnością bycia bogatym jest to, że żyjesz wśród bogatych".

„Nie bądźmy tacy nieprzejednani. Lepiej mieć brylanty second hand, niż nie mieć ich wcale".

„Wybitny ekonomista: bogactwo nie jest rzeczą pozbawioną pewnych dobrych stron, chociaż zdobycie go może nie być szeroko akceptowane".

„Ezop, *Bajki* «Bogactwo nieużywane to tak, jakby go nie było»".

„Przychodzi czas, kiedy człowiek zaczyna odróżniać szczęście od bogactwa".

„Bogactwo też daje skrzydła, aby można unieść się daleko i wysoko".

Zwykle lecą po więcej bogactw.

Zakochanie.

Dowiedziałem się ostatnio, że ta krótka fascynacja miłosna o niesłychanej intensywności działania może być zapisana wzorem chemicznym. Jest z gatunku amfetaminy! Potem słabnie i receptory z trudem ją zauważają. To okres znudzenia partnerów. Idziesz?... To idź... Przyjdę później... Okej! Zmęczony jestem, śpij, zobaczymy się jutro... zadzwoń... nie dzwoń, będę zajęty w robocie... Po południu mam spotkanie biznesowe... Muszę się uczyć, pisać, spać. Zdycham. Boli mnie głowa, dupa, mam zatartego chuja. Mam sraczkę po tym sushi.

Itd.

Misja Polski wśród arabstwa.

Poprzedni turnus wycieczkowy do Tunezji zaowocował taką wymianą jezykową. Jakiś Polak pomógł napisać sprzedawcy na bazarze hasło reklamowe.

Ten w dobrej wierze umieścił je nad sklepem dużymi literami.

SKÓRA GAZELA CHUJA WARTA

Już lepiej wyszedł inny sprzedawca na ofercie:

TU PIERDOLIĆ ZA KOŻUSZKI

Znów przy krzyżu.

Ale same pomyłki.

Idziemy po drugiej stronie chodnika. Rozmawiamy głośno, biorą nas za przeciwników.

Dwie starsze kobiety: „Wy, młodzi, idźcie tam do młodych i krzyczcie sobie!".

To był jedyny komplement tego wieczoru.

A potem inna pani: „I co tam, panie reżyserze? Nakręcił pan już księdza Popiełuszkę w walce z bolszewikami w trzy de? Rozmawiam z Jerzym Hoffmanem, prawda? Pan też tu, z nami? Brawo!".

Hoffman ma sto lat.

Jeszcze mi dużo brakuje do jego wyglądu.

Dwadzieścia kilo.

Jakiś facet: „Dzisiaj pan nie na rowerze?".

Kurwa, kiedy ja jeździłem na rowerze?

Rzeczywiście, pełno tu rowerzystów.

Staję na ławce, aby z góry lepiej widzieć, co się dzieje po drugiej stronie.

Nagle dopada do mnie człowiek w koszuli: „Dawaj to! – zaczyna mnie szarpać za kurtkę. – Mam cię! Łobuzie!". Zeskakuję z ławki. Zaczynam uciekać. Podbiega jakaś pani: „Bardzo przepraszam. Brat wziął pana za kogoś innego. Bardzo pana, panie Andrzeju, przepraszam. Bardzo".

Hoffman, rowerzysta, Andrzej... Do kogo jestem podobny?

‚Who am I?" – jak śpiewa Jean Valjean w *Les Miserables.*

Z wściekłości łapię z tyłu znajomego: „Jesteście aresztowani!" – krzyczę.

O mało nie zemdlał.

Powódź, powódź... Płyną trumny pod Krakowem. Żeby nie wdarła się woda na Wawel!

Mogłoby się spełnić życzenie niektórych.

Ktoś mógłby wrócić do stolicy wodą.

W *Wiadomościach* telewizyjnych oglądam migawkę z Ukrainy.

Przy uroczystym skłonie przed pomnikiem ofiar stalinizmu nowo wybrany prezydent Janu-kowycz nagle dostaje w głowę potężnym wieńcem popchniętym wiatrem.

Przewraca się.

Stalin z zaświatów karze prezydenta Ukrainy.

Wąsaty tyran jeszcze gryzie.

Wypadek jak z filmów Chaplina.

Zbliża się pokaz samolotowy w Góraszce.

Zbliża się też deszczowa pogoda.

Nie ma szczęścia Niemczycki.

Nikt nie ma szczęścia w tym parszywym roku Osła.

Po wodzie upały.

I komary.

Premier czyściutki, w dobrze skrojonym garniturze, o komarach:

„Wytłuczemy ich co do jednego".

Kaczyński zamiast o Polsce, Ojczyźnie... nudnie stara się radzić, co robić z powodzią, wdając się w jakieś techniczne szczegóły. Czy Obama, który ma problem z wyciekiem ropy, zajmuje się technologią?

Może.

TVN szuka miejsca, gdzie Kaczyński zasadził młodego dąbczaka, najpierw nie może znaleźć, potem pokazuje jakiś badyl z domniemaniem, że chuj z tej inscenizacji z sadzenia drzewa wyszło. Nie ścigają tak Komorowskiego. Przekupieni?

Czekam, kiedy komarami zajmie się PiS.

Na ekranie telewizyjnym seria reklam środków na zaparcia. Skarżą się zwykle młode, piękne i apetyczne kobietki.

Siostra Becia oświadcza, że najlepszym lekarstwem na brak wypróżnień jest kostka lodu w tyłku.

Długa dyskusja, jakie formaty lodu są najbardziej sprzyjające w tej operacji: okrągłe, czółenka, kwadraty czy wklęsłe...

Stanęło na czółenkach.

Zegar przestał chodzić, mimo że ja żyję. Nakręcę go po powrocie z łykendu.

„Religia to jedyna inwestycja, która przynosi dywidendy w życiu wiecznym".

Nie moje.

Stary lwowiak.

Co to za pączki teraz?! Przed wojną we Lwowie były pączki wyśmienite. W środku konfitura z płatków róży i nie było lukru. Posypane były białym sproszkowanym cukrem. Nikt wtedy nie zjadłby pączka z lukrem.

A fe!

Wybór na najwyższy urząd w państwie. Wybieramy prezydenta. Podpisujemy się do góry nogami przy głosowaniu. Pani za stołem nie chce się odwracać karty. Tak wygodniej i bez straty czasu. Cała Polska tak podpisuje swój akt głosowania.

Czy to nie bez znaczenia?

Kraj do góry nogami.

„Musimy dążyć do demokracji i jednocześnie z całej siły zapobiegać jej urzeczywistnieniu" (Robert Musil).

Każdy porządek polityczny wie, czym jest pokusa totalitarna.

Żydowski zwyczaj nakazuje położyć krzywo cegłę w nowym budynku na świadectwo ludzkiej niedoskonałości. Persowie celowo robią błąd przy tkaniu dywanów, gdyż nie chcą konkurować z doskonałością Boga.

Czasami mylę się celowo albo wydaję się bardziej chory, albo biedny. Ale to tylko egoizm. Tak jak jadę tramwajem, a samochód przechowuję w garażu. I tłoczę się, mając chorą satysfakcję ze swego położenia.

Palikot chce zastrzelić Kaczyńskiego, wypatroszyć, a skórę wystawić na sprzedaż.

A podobno przestrogi, że „Pierwsza Dama będzie sikała w pałacu do kuwety" po wyborze Kaczyńskiego na prezydenta, lansują w Krakowie.

Komorowska rusza „Bronkobusem" w Polskę. „500 dni spokoju i szansy na zgodę".

Znów „wszystkie ręce na pokład". Kaczyński nawołuje ulubionym określeniem Lisa. Jeżeli jeszcze powie, że Komorowski „dostanie w plecy", tak jak często popisuje się takim określeniem Redaktor w swoich programach, odbiorę mu mandat inteligenta.

Dostałem takiego esmesa:

Lepiej boso wleźć w psie gówno
Pod sufitem mieć nierówno
Pod kościołem być staruszką
Ze staruszką dzielić łóżko
Budzić śmiech wyrazem gęby
Stracić naraz wszystkie zęby
Lepiej czuć do siebie wstręta
Niż mieć Jarka - Prezydenta.

Wieczór wyborczy. Pierwsza tura.

Telewizja publiczna siermiężna jak dawniej. TVN elegancka, nowoczesna, duże przestrzenie, wykresy, triki, kto, gdzie, jak kobiety, jak mężczyźni, które rejony kraju dla kogo...

Komorowski na wierzchu, tuż za nim Kaczyński.

Rozentuzjazmowane twarze w sztabach wyborczych, ludzie podskakują z rękoma w górze jak bokserzy na ringu tuż przed

ogłoszeniem werdyktu.

Olejnik w studiu, długonoga, z obcasami dziewięciocentymetrowymi. Pochanke młodsza niż starsza.

W publicznej Kraśko z trochę wychudłą twarzą.

Główni kandydaci walczą i podlizują się Napieralskiemu.

Kwach przysięga, że SLD nie pójdzie z PiS-em pod rękę. Pawlak spokojny po rozmowach z Komorowskim w sprawie poparcia.

Wśród ruchliwych, rozgorączkowanych entuzjastów Zwycięzcy nagle nieruchoma, olbrzymia w zbliżeniu głowa Stanisława Tyma. Jakaś pauza, długi moment przed odpowiedzią, chyba dla jakiejś dziennikarki. Stasio zastanawia się i milczy. Pewnie przelatuje mu po głowie, kogo teraz bić, kogo chlastać biczem satyry... gdy rządzić będą sami swoi. Komuchy się skończyły, jeden Kaczor zginął pod Smoleńskiem, drugi przegrywa, za chwilę będzie w dupie, o czym pisać w felietonach, co mówić w słynnych monologach, czym bawić publiczność na chałturach... w kogo uderzać... W Donalda, Mirka? Eleganckiego Sławka? Palikota?

Będzie trudno.

Ale ktoś mądry powiedział : „Nie ma rządzenia bez winy".

Dalszy ciąg zaimka.

- Co to jest zaimek?

Młody kompozytor.

- Ja nie mam wykształcenia humanistycznego. Nie wiem, co to zaimek.

Ktoś z elity.

- „Ojcze nasz, który jesteś w niebie"... O! któryś... to jest zaimek.

A zaimek jest podobno naszym prajęzykiem. Na początku było wskazywanie palcem, ręką, ruchem głowy, oczyma... Później dźwięk... Ooo. Eeee... I dopiero następny etap nazywania łącznie ze wskazaniem: On... Ten... Ona... Tam oni...

My God! Jak mało wiemy o zaimku.

Zresztą, po co nam to.

Imieniny Janka Nowickiego.

Polska!... Przy stole zagrałem pisowca, co ma w głowie tylko to jedno zawołanie. Pękają, gdy idziesz na całość z takim mocnym hasłem. Polska! Pękają, bo nie wiedzą, co powiedzieć. Poseł PO coś próbuje, ale dźwięk słowa Polska paraliżuje go, więc próbuje coś bałakać, ale wobec brzmienia tego słowa, raz po raz wykrzykiwanego w różnych intencjach, brzmieniach i akcentach, robi się z niego łagodny, bezbronny baranek. Bo za tym stoi historia... powstanie... warszawskie, styczniowe, listopadowe, Poznań. Nie umieją się z tego otrząsnąć. A ja gram, używając języka, któremu nie mogą nic przeciwstawić. To mnie śmieszy i widzę ich bezbronność. Za chwilę wybory na prezydenta. Trochę się boją, że mogą dać dupy.

Słowo „Polska" hipnotyzuje...

Jakub Wojewódzki mówi, że jest Polakiem tylko geograficznie.

Wśród gości znajomy rzeźbiarz z Rzymu. Zrobił monument na grobie Felliniego, grał u mnie jako aktor amator w nieznanym dla Polaków filmie *Noc poślubna w biały dzień*. Zdolny fenomenalnie. Robi teraz pomnik Chopina w Wiedniu, opowiada o nim. Chopin uderza skrzydłem w klawiaturę.

Bardzo zdolny.

Ale włoska żona, gdy budzi się rano, patrzy na niego i mówi: „Miłość jest ślepa".

Za to Janek w porządku.

Ma anegdoty zabawne i poruszające. Złagodniał w małżeństwie z Małgosią Potocką.

Koniec z alkoholem. Koniec!

Do jutra.

W drugim programie radia seria wspomnień słuchaczy:

– Akurat rodzice wrócili z balu, wybuchła wojna i wszystko się skończyło.

– Ojciec grał do rana w brydża. Wybuchła wojna, wszystko się skończyło...

– W salonie był taki rozsuwany stół na 24 osoby, wybuchła wojna... Wszystko się skończyło.

– Mama lubiła jeździć do Juraty, wybuchła wojna, w następne lato już tam nie pojechała.

– My z siostrą miałyśmy jechać do Włoch na studia. Wybuchła wojna, wszystko się skończyło...

– Brat doszedł do finału w Lawn Tenis Club. Wybuchła wojna, wszystko się skończyło...

Dlaczego nie ma wspomnień tych, którym z wybuchem wojny wszystko się zaczęło?

Będzie druga runda.

A swoją drogą, jak miła była ta cisza przedwyborcza. Ile ciekawych programów w telewizjach, jakie interesujące rozmowy, ile mądrych filmów nagle... a nie w kółko bełkot interesów i sympatii politycznych.

I znów na ekranach Komorowski, Kaczyński, Napieralski...

Basta, basta!

W telewizji publicznej nie chcą postarzałego Kopiczyńskiego w dalszym ciągu życia *Czterdziestolatka.* Projekt „Studenci trzeciego wieku", nie! Młodych, młodych... potrzeba, ale już więcej jest nas starych!

Chciałem tylko zrobić moich bohaterów z *Czterdziestolatka* emerytami i studentami. Nakręciłem odcinek próbny: Seniukowa świetna, Kopiczyński zabawny. Brak decyzji.

Do kogo iść na skargę?

Do Komorowskiego?

Do Ojca Dyrektora?

Chyba tam się udam. Dzwoniłem kiedyś do nich jako „Stefan z Łodzi".

Może pamiętają.

Może w You Tube puszczać dalsze losy faceta czekającego na Dariusza z *Gulczasa?*

– Halo, kto?... Kto, umarł Dariusz?... To niemożliwe. Nie! – Mężczyzna rzuca słuchawkę.

– Słyszałeś, podobno umarł Dariusz.

– Nie był młody.

– Co znaczy nie był młody?! Kto jest stary, a kto jest młody? Kto? Ja jestem stary? Ty jesteś młody?

Młody kiwa głową.

– Bzdura. Trzeba to sprawdzić. Tylko u kogo? O, u tego kucharza z Mariotta...

Dzwoni.

– Zajęte.

– Ouuoo... – Młody wydaje niezrozumiały bełkot.

– Co? Znów piwo? *(product placement).*

Młody kiwa głową.

– W żubra się zamienisz! – podaje mu butelkę *(product placement).*

– Halo? Patryk? Podobno coś z Dariuszem się dzieje?... Nie słyszałeś? Aha. Najważniejsze, że żyje. Gdzie jest? Co? Wyjechał z Witem? Odetchnąłem.

Młody człowiek kiwa głową ze zrozumieniem i pociąga łyk piwa *(product placement).*

– Byliśmy z Witem na Malcie. Stoi tam pomnik św. Pawła. Było bardzo przyjemnie.

Młody się krzywi.

– Święty Paweł w drodze do Jerozolimy rozbił się tam o skały. Statek w drebiezgi, a on uratowany. Cud! Cuda się zdarzają częściej, niż myślisz. Ale ty w ogóle nie myślisz. Chyba że o piwie.

Kiwa głową.

Dzwoni telefon.

– Halo? Dariusz? Żyjesz?!

Młody krzywi się z niesmakiem.

Butem zgniata pustą puszkę. Ale tak, że widoczny jest napis *(product placement).*

„Żubr" obiecał, że to sfinansuje.

Trzeba się trzymać chronologii. Dziś niedziela, ostatnia przed wyborami. Debata dwóch kandydatów i jednocześnie mecz Anglia–Niemcy, gdzie grają Polacy.

Jesteśmy dumni z tego powodu, że Podolski, Trochowski i inni opuścili naszą ojczyznę i wybrali niemiecką ojczyznę, i jak godnie ją reprezentują. W ich dawnej ojczyźnie potworne rozdarcie, co oglądać: debatę czy mecz.

Sam nie wiem. „Homo homini". „Człowiek człowiekowi", agencja badania opinii podaje, że 39 procent nic nie chce oglądać. Na co patrzą? Na dzieci, na żonę, może czytają książki, uprawiają miłość, tańczą w klubach, modlą się... Co można robić o godzinie ósmej wieczorem w niedzielę?

Oglądać amerykański film, teleturniej, pornosa, stać w korku, wracając z weekendu.

Ja za pomocą pilota będę przerzucał się z kanału na kanał.

Okazuje się, że „Niemcopolacy" grali już po południu.

Po debacie.

Następnego dnia w „Gazecie": zwycięża Komorowski.

W „Rzepie": Kaczyński.

Podobno słowo debata, twierdzi moja znajoma, pochodzi z francuskiego. *Deux... de... dwóch.* Musi być co najmiej dwóch.

Uciekać!

Gdzie?

Samolot do Grecji rano o ósmej.

Last minute.

Ostatnio byłem tam kilka lat temu. Przesiedziałem w piwnicy przez dwa tygodnie, taki był upał. Napisałem powieść, przez nikogo nie wydaną, nie mówiąc o przeczytaniu. Tytuł: *Na przekór.*

Głosuję rano parę minut po szóstej.

Nie wiem, czy jestem pierwszy? Za komuny dawali takiemu kwiaty. Tu lista do góry nogami, żeby było wygodniej... pani siedzącej za stołem. Znów wybór prezydenta, jakby miał stać na głowie. Podpisuję.

I w taksówkę.

Biorę komputer do samolotu.

Mam nadzieję na całkowitą ciszę wyborczą.

**

Chmury, a później czyste niebo i małe stateczki w dole. Białe smużki fal. Poszarpane kontury wybrzeża Grecji. I maciupka wyspa Zakynthos.

Przylot.

Grecja. Aby zaznać trochę chłodu po upałach w Polsce.

Czekanie na bagaże trwa dłużej niż cały lot. Ludzie rzucają się z jednego tunelu do drugiego, skąd wysypują się walizki i torby. Obserwuję ich. Polacy wyglądają na Europejczyków, a tamci na troglodytów. Szczególnie Skandynawowie. Grube dupy, nagie wstrętne brzuchy na wierzchu, grube karki, kolczyki i tatuaże w ilościach przemysłowych. Gdzie wysocy, jaśni skandynawscy żeglarze i ich piękne blond Wenus? Jakieś gimnazjum ze Szwecji. Co druga to kaleka przez tę tuszę. McDonald's wcześniej u nich o pięćdziesiąt lat niż u nas.

Na dupie tatuaż, orzeł rozpościera skrzydła, na brzuchu strzeże dojścia do cipy tatuaż nietoperza – to pani nauczycielka.

Gdzie ten chuj, który mówił, że żałuje, bo McDonald's mógłby być u nas dużo wcześniej. My też tak będziemy wyglądali za kilka lat.

Za Stalina nie było w Rosji śladu chorób wieńcowych. Brak mięsa, tłuszczu, głód i ani śladu cholesterolu. Chociaż przyznaję, że wolę francuskie sposoby na cholesterol – czerwone wino.

Bagaże odnalezione, czekamy na jakiegoś pana Bożka, który się zgubił na przestrzeni dwudziestu metrów. Znajduje się wreszcie.

Pierwsza informacja przewodnika polskiego na temat Grecji: nie wolno wrzucać papieru toaletowego do miski klozetowej. W Grecji jest bardzo trudno o dobrego hydraulika. Tutaj to zawód na wagę złota.

Przyjmujemy tę turystyczną informację bez zdziwienia.

Woody Allen mówił: „Boga nie ma! Gdyby był, to można by było znaleźć hydraulika w sobotę lub niedzielę, kiedy zalewa ci mieszkanie albo zatkała się rura w toalecie".

Dobra wiadomość. W związku ze strajkami jest bardzo mało turystów z zachodnich krajów. Dlatego będziecie państwo zadowoleni z obsługi, będą dla Polaków bardzo mili.

Pocieszające.

Brak innych turystów zwiększa naszą szansę na lepsze traktowanie.

Wyspę Zakynthos okupowali różni. Dla mnie okupacja to Wehrmacht, SS i listy rozstrzelanych, a tu okazuje się, że okupanci to Wenecjanie... Plac św. Marka, gołębie... A to byli okrutni okupanci – niemal coś gorszego niż Niemcy.

Wyspa Zakynthos.

Jest piękniej niż na folderze. Zwykle jest odwrotnie, zawsze dostawałem pokój z widokiem na śmietnik, a tu na trzy baseny schodzące kaskadowo, a w tle błękit morza.

Natychmiastowe po jednym dniu rozkoszy zapalenie oskrzeli, gorączka, kaszel. Klima w samolocie i temperatura w kabinie.

Leżę w łóżku z widokiem na morze.

Dwaj lekarze o orientacji. Obaj przemili i fachowi. Ładniejszy mierzy temperaturę i bada obieg oxygenu, drugi, starszy, wybucha

entuzjazmem na każde moje oświadczenie.

- Kaszlę.
- Fanastycznie, super!
- Mam by-passy.
- Cudownie, super!
- Bóle przepony od kaszlu.
- Bomba, cudownie.
- Gardło, chyba angina.
- Świetnie.
- Duszę się.
- Wonderful, kończyłem medycynę w Anglii. Daję panu antybiotyk. Czy jest pan na coś uczulony?
- Nie.
- Pysznie. Wspaniale! Połączę się teraz z pana agentem ubezpieczeniowym. To będzie ich zdrowo kosztować. Pan nic nie płaci.
- To świetnie, super!... - charczę, szczęśliwy, że nie kasują mnie na miejscu.

Lekarz zdumiony moją znajomością leków i ich działania.

Pytam, czy nie chciałby mnie wziąć na asystenta.

Rzuca zakochane spojrzenie na swego pomagiera.

- Achilles jest niezastąpiony.

Leżę znudzony i lazurem, i palmami. Otwieram telewizor. Gra aktor Duchovny (jak oni wynajdują takie nazwiska żydowsko-polskie?), gra nauczyciela w amerykańskiej high school. „Lepiej jest pragnąć niż mieć. A teraz jazda stąd! Przeczytajcie książkę, najlepiej moją - mówi do studentów. - Kumacie, amigos? Jesteśmy zwierzętami. Faceci pukają w pewnych sytuacjach mężczyzn. To jest znane. Więzienia, szkoły, zakony".

Oglądam Duchovnego zamiast *Anny Kareniny* w amerykańskim wydaniu. Annę gra Sophie Marceau. Źle oświetlona przy pierwszym spotkaniu z Wrońskim, wygląda niekorzystnie.

Holoubek opowiadał mi kiedyś, że spojrzenie Grety Garbo w scenie, w której pierwszy raz spotyka późniejszego kochanka, pamiętać będzie do końca życia. Spojrzenie, w którym było zatrzymane w kadrze wszystko, co jest między kobietą a mężczyzną od początku świata.

Na drugim kanale znów amerykański aktor Duchovny.

„Czy fantazjujesz o gwałcie?".

„Of course".

„Wagina nie kłamie. Zbliżamy się do wielkiego skalistego orgazmu".

Nagle koniec.

Okazuje się, że to serial.

Anna Karenina rodzi.

Chłopiec.

A może to nie Anna...

Granie dzieckiem...

Zośka, czyli Sophie źle wygląda... nie ma nic z pięknej Rosjanki. Jest jakaś pospolita.

Wroński wygląda jak zawodnik hokeja na lodzie.

Na innym kanale Kaczyński z Komorowskim.

Też w nie swoich rolach, jakby dobrani przez niezdolnego agenta castingu.

Przerzucam przypadkowo kanał. Western. Gra amerykański man podobny do Wrońskiego. Taki sam shit. Główna bohaterka natomiast podobna do Kareniny.

Satysfakcję ma chyba tylko Andrzej Żuławski, Zośka słaba i banalna.

Grecja.

Pięknie, zastanawiam się, jak oni to wszystko wymyślali o świecie, jak kombinowali z tymi bogami, pół ludźmi, pół bogami, zwierzętami.

Nigdy nie mogłem przebić się przez tę zastraszającą liczbę nazw, imion, alegorii.

Wziąłem ze sobą Kubiaka, jego książkę *Mitologia Greków i Rzymian.* Do lasu z drzewem.

Choruję i czytam. Staram się. Profesor Kubiak nie może się powstrzymać od zalewania czytelnika potęgą swojej wiedzy, nie dość, że mnoży imiona, podaje ich etymologię, różne warianty dla wymowy, znaczenia, ale też pochodzenie tych nazw.

Można zwariować. Za dużo wie. Ale ja nie chcę tyle wiedzieć. Nie dam rady, za duży ładunek informacji. Przerzucam kartki w poszukiwaniu czegoś na dzisiaj... co by się mieściło w ramach tabloidu. Potentat prasowy, który wymyślił tabloid, Murdoch, powinien żyć w tamtych czasach. Tyle taniej sensacji nie spotkałem nigdzie. On by zrobił dopiero pieniądze na tych historiach.

Małego Dionizosa, który urodził się jako wcześniak, chce ukatrupić zazdrosna Hera. Zeus ukrywa noworodka w udzie, nosi jako ciążę, rodzi i ukrywa dziecko na górze Nysa pod opieką nimf.

Dobry kawałek dla „Faktu"?

Zakynthos to wyspa żółwi *Caretta caretta.* Przypływają z dalekich oceanów, aby tu się spotykać i kochać. Pożądanie. Tak jak na Ibizie podrywacze i dziewczyny. Tu też pełno młodzieży w związku z dogodnym miejscem do dymania.

Odlot samolotu z Katowic opóźniony o dwanaście godzin, żeby przylecieli na Zakynthos po godzinie 18.00. Bo wtedy zapłodnione żółwice wędrują na plaże, aby złożyć tam jaja. Mogliby je przestraszyć. Plaża jest obok lotniska. Przylatują następnego dnia. To się nazywa troska o naturę i ekologię! Wolontariusze budują specjalne ogrodzenia nad tymi jajami, aby przypadkiem ich nie nadepnąć. Nie mamy się czego wstydzić, u nas tak ochrania się mrowiska.

Też jesteśmy zieloni.

Rano.

- O czym myślisz?

- O tym Urynosie, co w tej ich mitologii coś tam...

- Chyba Orynosie... Urynos znaczy coś innego...

- Tyle mają tych bogów. U nas Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty. Chwatit.

- Nie Urosan i nie Urynos, ale Uranos. Wiesz, jak zginął? Za karę został przygnieciony górą, która nazywa się teraz Sycylia. Byłem tam i nie wiedziałem, że pod nią leży przygnieciony Uranos.

- Ale za co? Co takiego zrobił?

- Jeszcze nie doczytałem. Ale zdaje się, że został złapany, gdy położył się na Matce Ziemi i ją... Jego sperma wpadła do morza i wtedy wyłoniła się z niej Wenus...

- O, kurwa!

- A z zemsty albo z zazdrości syn obciął ojcu jaja kamiennym sierpem.

Nad basenem polska rodzinka. On, ona i synek, kopia tatusia. Tatuś o sylwetce bramkarza z dyskoteki, mięśnie, tatuaże, głowa wystrzyżona na czeskiego piłkarza, syn to samo. Tatuś skacze do wody, wykonując salto w powietrzu, synek go naśladuje. Mama mówi, że polubili wino. Jako wyższy standard życia i rozrywki, czują się Europejczykami pełną gębą. Dodaje, że najlepiej jej smakuje teraz wino czerwone wymieszane z coca-colą (!).

Synek piekielny Piotruś.

Na wycieczce do żółwi *Caretta caretta.* Znajoma opowiada mu historię małego Dionizosa zasłyszaną ode mnie. Jak to Ojciec Jowisz trzymał małego Dionizosa w udzie, aż się urodził. Mały jest szczerze zainteresowany... mitologią. Patrzy na muskularne udo ojca.

- Tata, a ty byś mógł mnie tak w udzie trzymać?

Wierzę, że można by było tego małego potwora wciągnąć w historie bogów greckich, a po pewnym czasie, gdyby się chciało zamienić jego witalność na refleksję nad światem i rolę bogów greckich, zrobić z niego profesora Kubiaka.

Stoimy przy kiosku, gdzie sprzedają różne gadżety. Jest książka dla dzieci z mitami greckimi, bogato ilustrowana. Synek nagle zainteresowany.

– Który to ten Dionizos? Tata, kup mi tę ksiażkę.

– Czekaj, Kuba, lepiej kupimy tego żółwia na pamiątkę. *Caretta caretta.* Pokażemy po powrocie Kalinowskim. Władek lubi zwierzęta.

I tak mały Kuba nie zostanie nigdy profesorem Kubiakiem.

Biorę się znów do lektury. Dowiaduję się, że na początku był chaos. I jest rodzaju nijakiego, etymologicznie chaos jest bliski słowa „ziewam".

Dlaczego?

Cholera wie. Kubiak nie wyjaśnia.

Ziewam, otwieram szeroko usta, dziura, pustka... nic nie ma.

Barman barmana zawsze pozna i się zaprzyjaźni.

– Pitagoras – woła ironicznie „polski milioner". – Nalej nam jeszcze tego dwudziestoczteroletniego chiwasa.

Pitagoras śmieje się i melduje:

– Yes, sir!

– Wynająłem go na cały pobyt – informuje mnie polski turysta, z którym się zaprzyjaźniam. – Dałem barmanowi pseudo Pitagoras i trochę dzięgów na wstępie i jest do dyspozycji dwadzieścia cztery „ha".

– Super.

– Powiem ci, artysto, że też byłem bliski tego zawodu. Miałem iść na polonistykę na UW. Ale w ostatniej chwili Baśka mnie uratowała. Mówi do mnie:

– Staszek, zaczyna się dwumiesięczny kurs na barmanów w Orbisie. To będzie dla ciebie lepsze. Trzeba tylko dać komu trzeba.

Nawet się nie zastanawiałem. Daliśmy i skończyłem z odznaczeniem, zaangażowałem się do „Forum" i wygrałem los na loterii.

– To znaczy jesteś barmanem?

– Już z tym dawno skończyłem. Otwieram wery wery ekskluziw lokal. W Warszawie, ale na razie o tym sza. Pitagoras, daj no na popitkę coca-coli. „Forum" to była złota żyła. Kawior z Rosji po dwadzieścia dolców od Ruskich, a Francuzom i Niemcom po dwieście. A po polonistyce to bym *Ojca zadżżżżżżżżżżumionych...* – zakrztusił się na samo wspomnienie –...mógł Baśce recytować.

– Ja podróżuję tylko tam, gdzie są hotele pięciogwiazdkowe. Powiedziałem dzisiaj temu frajerowi z biura Tui. Ten tutaj pięciogwiazdkowy to może był, ale dziś to bym nawet dwóch gwiazdek nie dał. Lis mi smuży.

– Co?

– Lis mi smuży, na ekranie telewizora.

– Aha, rozumiem.

– Lecimy z Baśką na Haiti jeszcze w tym miesiącu. Tam jest luksus i ciekawie. Lawa płynie wokoło... Ty sobie stoisz rozkraczony i sikasz na nią, a tu nic, wszystko paruje. Sikasz, a tego nie ma, znika, bo tak gorąco... Musicie tam pojechać, bomba. Jest co robić.

Tymczasem jego Baśka siedzi z moją znajomą przy stoliku.

Nagle kiwa dyskretnie ręką, wstaje i ciągnie ją na stronę.

– Coś ci powiem, ale tylko tobie, bo cię polubiłam. A to jest wielka tajemnica. Czy myślisz, że ta mała, co się bawi przy basenie, to jest moja córka? – Wskazuje na miłą, ładną dziewczynkę.

– No, mówi do ciebie mamo...

– Bo tak jej kazałam.

Baśka rozgląda się podejrzliwie na wszystkie strony. Ścisza głos do szeptu:

– To wnuczka... A co, zdziwiłaś się? Jestem babką. Ale nikomu ani słowa.

Nagle zmienia ton.

– Bo tu jeszcze jest, prawda? – Podciąga obiema rękami obfity biust. – Jest jeszcze! – oznajmuje wkoło pełnym głosem. – Co!? Jest? Jest pełna szóstka? Mam rację?

– Absolutnie. A gdzie ją robiłaś, u doktora Różyckiego w „Afrodycie"?

Zabawa w poszukiwanie drugiego do trójki. *Mélange à trois.*

Żona polskiego milionera chodzi od rana po plaży. Chce sprawdzić, jak to, co słyszała od koleżanek, wygląda naprawdę, a nie w powieściach.

Jeden student.

Drugi inżynier.

Trzeci rozpustnik. Pokazuje jej członek i mówi, że robi seks po śródziemnomorsku.

Jeden nie przychodzi, drugi nudny jak flaki z olejem, trzeci brudny.

Ona spotyka przystojnego ratownika, który rozkłada na plaży dywanik i każe jej usiąść.

Nadchodzi mąż. Witają się.

Umawiają się na wieczór.

Ratownik nie pije, nie pali, tylko pierdoli, ale w pojedynkę.

Hotel. Przeprawa. Ratownik całuje się z portierami i obstawą.

Raczej ciota.

Zachodzą do pokoju.

Chcą się popisać polską telewizją.

Otwierają kanał TVP Polonia.

Przez piętnaście minut reklamy o środkach na rozwolnienie, wzdęcia, bóle brzucha.

Ratownik rozkłada ręcznik na podłodze w łazience, mąż ma czekać na balkonie. Będzie w łazience uprawiał seks. Mąż się boi, że się ciężko zaziębi, bo jest zimno, wieje lodowaty wiatr i nie chce wyjść z pokoju.

Ratownik chyba naoglądał się filmu *Kochanek Lady Chatterley,* który telewizja pokazywała wczoraj. Gajowy pierdolił Lady, rozkładając zawsze dywanik na ziemi w gajówce.

Mówi, że wstydzi się męża, bo albo może z mężem, albo z żoną.

Mąż: „Nie wstydź się, nie wstydź".

Ten się wstydzi.

W końcu mąż wściekły każe mu natychmiast wyjść z pokoju, bo go nudzi od dwóch godzin, zjadł dobrą kolację z lobsterem, wypił trzy kawy i cztery drinki owocowe i z pewnością ma HIV-a.

Ratownik ucieka na korytarz jak diabeł przed święconą wodą.

Mąż opowiada przy śniadaniu.

- Zrobiłem błąd, ja pierwszy powinienem się rozebrać, aby go ośmielić. Panie, ale na te koszty, co miałem, to jeszcze mam stać na balkonie, a on posuwać mi żonę w łazience na podłodze. No way!

**

„Jajko sadzone na talerzu, bez talerza" - Salvador Dali.

Ledwie Pandora otworzyła beczkę (nie puszkę, nie puszkę!), wysypały się wszelkie utrapienia i choroby, poleciały w świat i osaczyły ludzi. Jedna tylko Elpis, Nadzieja została pod pokrywą nieruchoma. Ale też jest w jakimś sensie klęską dla nas... l u d z i. Przez nikogo niewołane choroby i nieszczęścia same do ludzi przychodzą, nieoczekiwanie, w ciszy, przynosząc im niedolę.

Zeus odebrał im głos.

Konkluzja o Pandorze: nie ma ucieczki od woli Zeusa.

Ludzie doświadczają tego na każdym kroku.

Aby nie było tak poważnie. Często się słyszy przemawiających polityków: „I otworzyliście puszkę z Pandorą... to teraz pijcie, coście nawarzyli".

Powinno być beczkę.

„Arcyciekawa" rozmowa ze Szwedami i Niemcem.

– Ja tylko jeżdżę do Szkocji. Tu jesteśmy pierwszy raz. Tam jest piwo, przeliczając na euro po... zaraz, ile to będzie... na nasze korony... bo my mamy korony. Moja żona jest emerytowaną nauczycielką przedszkolną. Znam Polaków, robili dach u mnie w country... na wsi. Ty też może robisz dachy? Nie? Wzięli 450 euro... ile to będzie...w koronach szwedzkich... bardzo tanio, dach cały zrobili... rozumiem angielski i duński.

Niemiec wtrąca się do rozmowy głosem niemieckiego papieża: „Polska krowa idzie po mleko do obory". *Ich speeche nicht mehr polnische Sprache.*

– Genau. Pasztetofa, volkswagen, kartofel – odpowiadam.

Bóg daje człowiekowi poznać, że sfera boska jest nie do zgłębienia, szalona, kapryśna, wyniosła... A wróżka Sybilla przekazuje człowiekowi z głębi bezwładu, z magmy nawiedzenia takie oto reguły: „Nic ponad miarę" albo „Poznaj samego siebie". Narzucając kontrolę, umiarkowanie, granice, rozsądek, konieczność.

Boję się, że nie będę mógł tego wszystkiego spamiętać, zapisać, a tyle za mną.

„Pamięć wyłoni się w snach, w czas bezsenności, w chwili odwracania stronic książki, mijania rogu ulicy. Trzeba zachować cierpliwość i nie wymyślać wspomnień. Przypadek może to wszystko wywołać lub opóźnić, zgodnie ze swym tajemnym działaniem".

Borges.

Ludzie dzisiaj zamienili prawdziwą śmierć na tę na ekranie telewizyjnym. Ile tego codziennie się pokazuje! I tak, i tak, i strzał z przodu, i w tył głowy, i na leżąco, i na siedząco, i z jedną dziurą w piersi, i z całą serią... Leją się całe litry czerwonej farby i ketchupu. A tak niedawno było wszystko dyskretniej. Stali naprzeciw siebie szeryf i bandyta. Szeryf był szybszy, a samą śmierć fotografowano z daleka.

Kiedyś, kiedyś... ludzie ciągnęli z odległych miasteczek, aby zobaczyć śmierć skazańców. Anglia, Francja, Rosja... Tłumy stały godzinami w oczekiwaniu na śmierć tych, co się zbuntowali. Był taki wypadek, że ten, którego wieszano, dwa razy urwał się ze sznura przy aplauzie tłumów, aż wreszcie carski kat uwiesił się u jego nóg i tak spełnił się wyrok.

Dziś nie chcemy patrzeć na śmierć ani bliskich, ani dalekich, ani w szpitalu, ani w domu, ani gdziekolwiek. Ale w telewizji tak, w każdej postaci.

Jest taki zapis opinii Dostojewskiego, któremu kiedyś zgotowano inscenizację wstrząsającą; stał już pod murem, czekając na rozstrzelanie, gdy na sekundę przed egzekucją pojawił się posłaniec z ułaskawieniem. A po latach sam był świadkiem stracenia rosyjskiego zamachowca. Patrzył do końca. Kpił z Turgieniewa, że ten, będąc w podobnej sytuacji w Paryżu, nie wytrzymał i ze strachu w ostatniej chwili odwrócił głowę.

„Najkomiczniejsze jest to – pisze Dostojewski – że Turgieniew odwraca się i nie widzi ostatniego momentu egzekucji. Popatrzcie, panowie, jaki jestem delikatny, nie mogłem tego znieść! Pedantyczna troska o siebie i swój spokój".

Za kim być? Odwracać głowę? Na szczęście jeszcze nie wykonuje się wyroków śmierci publicznie. W ogóle nie skazuje się na śmierć w Polsce.

Chyba że... p o w o l n ą, ale to już nie interesuje nikogo.

**

Do kraju!

Tydzień minął, jak z bata strzelił.

Na ostatnie dwa dni wylazłem z łóżka i wyszedłem na słońce.

Od lekarza Greka otrzymałem w recepcji hotelu kopertę. A w niej certyfikat o „Zdolności do podróży samolotem". Bardzo to miłe, czytam,

zrozumiałem, że można to wykorzystać dla uzyskania osobnego miejsca w samolocie w podróży do kraju.

Przedstawiam to stewardesie, a ta sadza mnie osobno w trzyczęściowym rzędzie foteli.

Po kilku minutach zjawia się kapitan samolotu z główną stewardesą.

– Dzień dobry panu, chcieliśmy pana poznać. Według tego zaświadczenia jest pan najzdrowszym pasażerem, jakiego miałem przyjemność gościć na pokładzie od początku mojej pracy w lotnictwie cywilnym.

Okazuje się, że mój lekarz na wszystkie pytania tej zdrowotnej ankiety odpowiadał w samych superlatywach.

A więc:

Czy potrzebuję towarzystwa wykwalikowanej pielęgniarki? – NIE.

Czy trzeba mnie wnieść do samolotu na noszach? – NIE.

Czy potrzebuję maski tlenowej? – NIE.

Czy trzeba mi dostarczyć nocnik... lub inne pojemniki? – NIE.

I tak dalej, i tak dalej...

Na końcu:

Ja, doktor taki a taki, oświadczam, że w mojej opinii pacjent może lecieć samolotem i nie spowoduje żadnego ambarasu.

Okazało się, że nie tylko nie potrzebuję wygodnego osobnego siedzenia, ale mogę stać przez całą podróż do Warszawy.

Nie spowodowałem żadnego ambarasu, tylko upiłem się i śpiewałem do końca lotu, tańcząc zorbę w kolejce do toalety, szczęśliwy, że nie potrzebuję pokładowego nocnika.

Już w samolocie po tygodniu diety medialnej dorywam się do polskiej gazety. Młoda reżyserka, specjalistka od umierania w trzydziestu trzech scenach, kręci nowy film. O polskich prostytutkach uprawiających ten proceder w Paryżu.

„To nie są właściwie prostytutki, to są studentki, ekspedientki dorabiające sobie do studiów, na potrzeby materialne, takie jak:

mieszkanie, jedzenie, kosmetyki i temu podobne".

Cele mogą być różne, Reżyserko, ale dawanie dupy za pieniądze zawsze tak samo się nazywa.

Złapali w Anglii rosyjskich agentów. Teściowa jednej z głównych agentek zeznaje: „Syn pojechał do Rosji na wycieczkę. Przestrzegałam go: możesz się bawić, korzystać z usług tych dziewcząt, ale się nie żeń. Niestety zakochał się, ożenił, przywiózł ją tutaj... i teraz wstyd na cały świat. Takie są teraz dzieci".

To znaczy Anglik może jechać do Rosji, dymać za pół darmo, radzi moralna mamusia, ale się nie zakochaj. Możesz je traktować tylko jak zwykłe kurwy.

Ale KGB czuwała. I mamusia, i synek zostali ukarani. Piękna Rosjanka odwzajemniła im się z naddatkiem. Jako agent przekazywała cenne informacje Putinowi.

Brawo!

Powrót. Boże, jakie nudy. Tak jakbym w ogóle nigdzie nie wyjeżdżał.

W telewizji ci sami ludzie mędlą te same tematy.

Walka o krzyż, z krzyżem, na krzyżu.

Dzień świstaka!

Przy stoliku próbuję złośliwie sprowadzić rozmowę na Protagorasa. Nie słyszeli o kimś takim. Cytuję im po grecku (dla wrażenia) jego słynne powiedzenie... *Anthropos metron panton.* Andrzej F. na to coś pierdoli od rzeczy. Wszyscy się śmieją. Mówi, na przykład, że według niego każdy człowiek jest... Bogiem. Tak jak tu siedzimy.

Proszę księdza L., aby zajrzał do Ojców Kościoła, którzy, wydaje mi się, nie popierają tego hasła: „Człowiek jest wszystkich rzeczy miarą".

Jutro ma mi dać odpowiedź. Kiedy będzie miał czas na szukanie, skoro są dwa przyjęcia z różnych okazji?

Andrzej F. znów zjeżdża w dół i pyta, czy Greczynki mają duże piersi? Szóstki, siódemki?

Krzyczę: „To dlatego Głowacki nie chce tu siedzieć i wybiera inny stolik. Przez ciebie... ty...” – Ale nie kończę.

Prezydent wybrany. Zawsze jestem za słabszym, ale musi pięknie grać... Na Mundialu kibicowałem pięknie grającym, chociaż przegrywali sromotnie, ale zasługiwali na aplauz i pamięć.

Niestety, tu słabo. Podobno, bo nie widziałem ostatniej rundy prezydenckiej.

Przypomina mi się takie zdarzenie sprzed lat. Razem z Adamem Hanuszkiewiczem próbowaliśmy zmierzyć się w grze w tenisa.

Adam przegrał.

– No widzisz, sześć dwa, sześć dwa to jest ta różnica między nami. Cyfry nie kłamią – mówię.

– Tak, ale ja byłem dużo piękniejszy w ruchu.

Niestety, był.

Ulegam natrętnej reklamie. Myję „okolice intymne” specjalnym żelem. Nie widzę żadnej różnicy między nim a zwykłym mydłem.

„Czad, cichy zabójca!”.

Znów mnie straszą.

Hiszpania po trudnym i pełnym zaskakujących zwrotów i szans meczu mistrzem świata. Ten, który strzelił decydującego gola, jest jak na Hiszpana i mistrza świata brzydki.

Cóż, tak bywa.

Kuzyn, którego nie widziałem całe lata, nagle podaje mnie w szpitalu jako jedyny kontakt. Dzwonią ze szpitala. Chory jest w ciężkim stanie.

Następnego dnia idę.

– Nareszcie pan przyszedł! Gdyby szło o przejęcie mieszkania i spadku, byłby pan szybszy.

Fałszywe oskarżenia wkurwiają najbardziej.

Chory błaga o lody.

Lekarz pozwala.

Kupuję mu trzy porcje czekoladowych na patyku.

I nie chcę jego mieszkania.

Ściągają z całej Polski celebrytów do Międzyzdrojów. Podobno mają jakiś Jubileusz Przyjazdu Celebrytów do tego kurortu. Nie będę oglądał. Trochę tak, jak w teatrze Syrena przed laty. Na scenie był Dymsza i za chwilę miały się rozlec brawa dla niego, a w toalecie czekał w napięciu jego przyjaciel Tadeusz Olsza... i w tym momencie spuszczał wodę, aby zagłuszyć owację dla kolegi.

W tym roku byłem w Międzyzdrojach poza sezonem, w zimie. Biała tafla zamarzniętego morza w zachodzącym słońcu. Niesamowite wrażenie. Po lodzie można było dojść do Szwecji. A później kolacja w tym hotelu, gdzie odbywa się zlot gwiazd.

Pusto i smutno.

Jutro będzie gwarno, wesoło i fantastycznie. Dzieci turystów i miejscowych będą wlepiać oczy przez szyby, wypatrując swoich ulubieńców z kolorowych magazynów i telewizji. Krzysztof Zanussi z profesorem Bralczykiem będzie uczył młodzież rozmowy. Nikt nie uczy, jak trzeba rozmawiać z Zanussim.

Mnie czeka „znieznaczenie" (Słowacki).

Jako odtrutkę traktuję wizytę w szpitalu u dalekiego kuzyna, również z mocno zaawansowanym Parkinsonem.

To jest dopiero dół.

Trzeba go karmić, podnosić, myć, golić i przekonywać, że jutro będzie lepiej.

Ta wizyta pomaga.

Na razie w Międzyzdrojach rozdają autografy, ale u starszych czai się już...

Ile tego jeszcze?

Może sobie czasami tak myślą.

Znów wraca Smoleńsk. Witam się przy stoliku z siedzącymi tam celebrytami.

– Przepraszam, że tak długo trzymam wasze dłonie, ale badam, czy czasem nie macie krwi na rękach.

**

Nowy prezydent na pewno nie zawetuje ustawy, że *stalking* jest przestępstwem. Złośliwe nagabywanie, naprzykrzanie się, nękanie przez telefon, wywołujące uczucie zagrożenia, będzie karane.

Znów w telefonie mam esemesa: „Obrzezam cię zębami albo sztuczną szczęką".

To jest propozycja ewidentnego naruszenia mojej prywatności... Art. 190 paragraf 1...

Co prawda, najpierw trzeba umieścić tam członek. Czy to nie współudział w przestępstwie?

Dziś decyzja sądu. Polański nie będzie wydany Ameryce.

Ulga.

Może przyjechać do Polski.

Nie oddamy go!

Najpierw niech nam przyślą Mazura.

Cytaty wyciśnięte z Prousta.

„Dobra reputacja pokrywa złe obyczaje, nie pozwalając się ich nawet domyślać".

„Począwszy od pewnego wieku, przez ambicję i przez przezorność udajemy, że nie zależy nam na rzeczach, na których nam najbardziej zależy".

„Daleko głębiej niż psychologia sięga w psychikę cierpienie".

„Są ludzie, którzy z łatwością odrzucają fortuny i rezygnują z życia, chociaż wszyscy myślą, że światem rządzi tylko pieniądz i strach przed śmiercią".

„Czas płynie i powoli powtarzane kłamstwa nabieraj ą cech prawdy".

„Ze słabości ciągnącej się nieraz latami wytryska czasem promień energii".

„Myśl o własnej śmierci jest bardziej okrutna niż sama śmierć".

„Na odległość rzeczy wydają się nam bardziej nikłe, niepewne, mniej niebezpieczne".

„Nasze umiłowanie życia to tylko stary związek, z którego nie umiemy się wydostać. Jego siła tkwi w długotrwałym istnieniu. Śmierć, która go zerwie, wyleczy nas z pożądania nieśmiertelności".

„Instynkt wskazuje nam obowiązki, inteligencja zaś dostarcza pretekstów, by uchylać się od nich".

„Tam gdzie życie wznosi mur, inteligencja przebija wyjście. Inteligencja nie zna owych zamkniętych sytuacji bez wyjścia z życia beznadziejnego".

„Chętnie się pogardza celem, do którego nie można dotrzeć lub który w końcu został osiągnięty".

„Wszystkie rzeczy, które już raz istniały, w życiu dążą do tego, aby się odrodzić".

„Szczęście jest zbawienne dla ciała, zgryzota rozwija siłę ducha".

„Istota jest tak źle ukształtowana, że nie umie kochać, nie cierpiąc przy tym, i że musi cierpieć, by nauczyć się prawdy. Lata szczęśliwe to

lata stracone, oczekujemy cierpienia, żeby pracować. Cierpienie to najlepsza rzecz, jaką można spotkać w życiu".

„Nie zawsze człowiek dobrze znosi łzy, które wyciska komuś z oczu".

Za dużo tego Prousta! Ale to mądrzejsze od moich myśli z tombaku, a jakie to trudne dla dzisiejszego pospiesznego czytelnika dotrzeć do nich w siedmiotomowym tekście wielkiego pisarza.

Motyw jak z Gogola. Pod koniec życia, za ostatnie pieniądze mężczyzna kupuje sobie drogie i luksusowe auto. Ale gdzie ma nim jeździć, żeby się pokazać? W mieście ciągle przebudowa dróg. Poza tym ma coraz mniej znajomych. Najbardziej boli to, że gdy prowadzi to cacko, to nie widzi się z zewnątrz, jak w nim pięknie i okazale wygląda.

Wiadomość z Internetu.
„Marek Kondrat stracił sens życia!"

„Miałem sen. Taką wizję. Gdybym zrobił film albo coś innego, co by mi przyniósło wielką kasę... włożyłbym ją do banku na dobry procent. I gdybym był już bardzo stary, chodziłbym do tego banku odwiedzać moje pieniądze" - Mel Brooks.

„Jest mi bardzo smutno ze wszystkich powodów" - Esemes.

Na Śniadeckich pod osiemnastką klepsydra i świeczki, znicze i kwiaty przed bramą.
Mieszkała tu Hanka Bielicka.
Miała niespożyte zdrowie do dziewięćdziesiątki.
Umarła zdrowa.

Masażysta przechodni.
Bogata dzielnica willowa. Przyjęcie urodzinowe. Wśród gości krępy człowiek o obojętnym wyrazie twarzy. Z napiętą uwagą obserwuje pana

domu, który wita gości, zabawia ich, bryluje... Wychodzi z paniami do ogrodu, gdzie stoją bary wśród oświetlonych drzew. Chłód jesienny. Wtedy na twarzy krępego mężczyzny pojawia się wyraz troski i głębokiego smutku.

– Znów mi się zaziębi i będzie kasłał – szepcze.

Masażysta masuje też sąsiada. Opowiada mu o każdym ruchu swego pacjenta.

– Kaszle, rzęzi, gdy go masuję... Pan to co innego. Pan nie pali? O, a tamten pali jak smok. A ja nie znoszę oddechu palacza. Dlatego od pana biorę mniej niż od niego. A jak tutaj pod żebrem przycisnę, to jęczy. Jakieś zrosty w płucach. Niech pan się odwróci na plecy. On sam się nie odwróci, muszę mu pomagać. Ale trzeba przyznać, że ma dobry gust. Ten obraz, który kupił w zeszłym tygodniu, no, zapłacił niezłą kasę. Ale tak jak się prowadzi, długo nie pociągnie. I komu on to przekaże wszystko? Masuję go już dwa lata. Dał mi mieszkanie u siebie. Dobrze nam się żyje. Żona jego tylko czasami niezadowolona, że jego lepiej dociskam. I bardziej troszczę się o niego niż o nią. Chciała, żebym był niewidomy. Zakładałem okulary jak Jaruzelski.

Następne przyjęcie.

– O, znowu mi pije. Zabiorę mu kieliszek. Ale może mnie opierdolić. Niech pije, proszę bardzo. Co mnie to obchodzi! Tylko jutro na masażu będzie mi rzęził.

Mężczyzna obserwuje gospodarza zza rogu salonu.

Znów urodziny.

– Żona odeszła od niego dla młodszego. On coraz bardziej kaszle i pije. Zostaliśmy sami. Niech mi pan doradzi. Czy mam jakieś szanse na te obrazy, meble, porcelany... Zaznaczam, że nie ma między nami seksu. Nic. Bo podobno teraz takie prawo szykują, że związki nieformalne są honorowane przy śmierci partnera. Ale jaki on dla mnie partner?

Chociaż masuję go już dobrych parę lat... Jestem jak żona tego tam... Puty... coś.

Dwie kolejne rocznice urodzinowe.

– Kaszle, niech kaszle. Bardzo dobrze. Obiecał, że mi zapisze trochę z tego, co mu z litości zostawiła żona. Dla mnie to i tak jest dużo. Ja nie jestem łapczywy, też mam już swoje lata. A moje życie było tylko dla niego, bo i kogo tu znam? Tylko tych, którzy chcą, żebym ich masował. Pana, który nie kaszle, tamtego, który nie ma kasy, a kaszle, to wszystko. Był też taki jeden, co podczas zabiegu trzymał mnie cały czas za krocze. Ale go spławiłem. Niech się pan odwróci na plecy.

– On już nie kaszle. I nigdy więcej nie zakaszle. Zostałem sam w tym domu. Ale będę się musiał za tydzień wyprowadzić. Czy u pana mógłbym trochę zamieszkać? Będę pana i żonę masował za darmo dwa razy dziennie, tylko za mieszkanie?

Zamieszkał.

Zenon Laskowik wraca nad ranem z jakiejś chałtury, śmiertelnie zmęczony. Przed domem dozorca. Obok jego stary pies. Dozorca miotłą na kiju leniwie zamiata. Już powoli świta. Pies leży na chodniku.

– O, pan Laskowik. Późno... późno się wraca. A ile tak tam zarabiacie, wy, artyści...

– To zależy...

– A na przykład ile pan dzisiaj zarobił?

Laskowik wkurwiony:

– Tysiąc złotych.

– Za jeden wieczór?

– Za jeden, panie Kaziu. Za jeden – powtarza prowokacyjnie Laskowik.

W dozorcę jakby zły duch wstąpił. Zrywa się i z miotłą w górze wali z całej siły Bogu ducha winnego psa.

– Do budy, Azor! Do budy! Do budy, ty! – Goni psa i wali go po głowie, plecach, dupie.

– Do budy!!!

Pies ze skowytem ucieka.

A Caruso zawsze mówił: „Za darmo to tylko ptak śpiewa".

Wątroba. Badanie popularnego aktora.

Lekarz.

– To ile tam macie panowie w tym show-biznesie? – Jeb na końcu w wątrobę, gdy się dowiedział, że ta suma to za dzień zdjęciowy.

Egoizm.

– Przeczytałem twoją książkę. Bardzo ciekawa. Dam ci swoją, też ciekawą napisałem.

– Nie!!! Nie po to piszę swoje, żeby czytać innych.

– Co u Stefana?

– Nie chcę go znać.

– A jak ci dawał role królowych, cesarzowych, monarchiń, to chciałaś go znać? A miałaś emploi na kucharkę i córkę stróża. To, że nie chce już więcej z tobą spać, to powód, żeby zapomnieć o kimś, z którym się było przez tyle lat?!

– Miałam raka! Nie było go wtedy.

– Mężczyzna nie lubi chorób żony. Żaden.

Droga, kochana Ireno!

(przemówienie na jubileuszu dziewięćdziesiątych urodzin Ireny Kwiatkowskiej, przerwane w połowie przez znudzoną jubilatkę).

Droga Irenko!

Czasami utrwala się coś w pamięci człowieka zupełnie marginalnego, i zostaje na całe życie. Bo człowiek ogląda świat w ciągu błysków wrażeń, a nie w logicznym porządku i hierarchii.

Teatr Syrena przed laty. Skecz Juliana Tuwima. Dekoracja: salonik w prowincjonalnym mieście. Ty jako córka aptekarza.

Brzdęk, brzdęk... jednym palcem grasz na rozstrojonym pianinie, a obok stoi światowiec ze stolicy i wabi pannę kolorowym życiem w Warszawie - Adolf Dymsza.

Gdy skończyłaś grać, Dymsza podsumował:

- Muzyka to potęga!

Właściwie skecz był dla Dymszy. Ale to przede wszystkim ty, prawie nic nie mówiąc, istniałaś na scenie ze swoimi reakcjami, uległa, wpadająca w panikę przed wielkim światem, którego blaski rozsnuwał przed tobą stołeczny łowca posagów.

Nie zapomnę tej miniaturowej kreacji. Skecz nazywał się „Co nieco Szopena". Ale nie było Szopena, nie było Dymszy... była tylko Irena Kwiatkowska.

Irenko!

W tym roku obchodzisz swoje dziewięćdziesiąte urodziny. Fenomenalne!

Jako młody człowiek dostałem od Ciebie niezłą szkołę. Najpierw przy realizacji *Wojny domowej,* a później przy *Czterdziestolatku.* Szkołę punktualności, profesjonalizmu i odpowiedzialności.

Przyjeżdżałaś na plan pierwsza. Wiedziałaś zawsze, co się w scenie mówi, co robi, dlaczego to się mówi i po co.

W czasie prób z innymi aktorami:

- Ja mówię to, to i to... a teraz pan mówi.
- Ja mówię?
- Tak. A potem ja... mówię. I znów pan.
- Teraz?
- Tak, teraz.

Dla kolegów aktorów, którzy uczyli się tekstu w taksówce, w drodze na plan, to był szok. Pracowałaś nad tekstem na długo przed zdjęciami, czasami zmieniałaś puenty, korygowałaś zbytnią literackość,

konstruowałaś go po swojemu. A znałaś się na śmiechu sto razy lepiej od nas, raczkujących wówczas w tej dziedzinie.

Ale też jako „kobieta pracująca" miałaś sporo do gadania, jak to nazywałaś po swojemu, całe „pecyny tekstu". Dzisiaj aktor teksty filmowe opanowuje z powodzeniem, gdy na chwilę przed wejściem na plan doklejają mu wąsy albo malują nos. Zresztą większość dialogów filmowych zaczyna się na *ka* ... i kończy na *ka* ... A to przecież każdy zna z życia. Nawet rodzinnego.

Ale nie tylko mnie się dostawało. Pion operatorski też miał pouczające lekcje.

– Panie Mieczysławie, dlaczego pan oświetla tak pieczołowicie ściany zamiast aktorkę.

Stałaś cierpliwie na planie, kiedy profesor Jahoda (ten od *Krzyżaków)* pieścił efekty świetlne na ścianach, firankach, rekwizytach...

– Panie Stasiu, zapal pan więcej tu, na ten kaktus! – wołał do elektryka siedzącego na drabinie, nad dekoracją.

– A na mnie? – prosiłaś cichutkim głosem.

– Chwileczkę! Stasiu, zapal mi jeszcze szczeniaka na firankę od tyłu.

Irenko!

Przez wszystkie długie lata twojej pracy burze historii przewalały się nad nami, ale ty nie podlegałaś żadnym kampaniom, politycznym zawirowaniom, zmianom systemu, wiatrom polityki – twoja wielka sztuka celnego portretowania nas, Polaków, jest ponadczasowa. Od Hermenegildy Kociubińskiej z czasów młodości, teatru radiowego ETEREK, teatru Syrena, kabaretu Dudek, Kabaretu Starszych Panów, głównych ról w moich serialach: *Wojnie domowej* i *Czterdziestolatku,* do dzisiejszych kreacji w teatrach dramatycznych – budziłaś zachwyt nas wszystkich przez tyle lat.

A poza tym jesteś człowiekiem wielkiego serca dla naprawdę potrzebujących.

Irena Kwiatkowska kończy 98 (!). Zrobili w Skolimowie w parku „ławeczkę Ireny". Siadasz i Irena z głośnika śpiewa cały swój repertuar między kwiatami, krzewami, drzewami i ptakami.

Znów zabrałem głos. Dużo mówiłem o sobie.

Śpiewał pewien przypadkowy tenor, zamiast *Sto lat,* co mogło być wymogiem dosyć skromnym. Ja zaintonowałem „Sto trzydzieści pięć". Było to bardziej stosowne.

W klubie Czytelnika prowokacyjnie gram przy stoliku rolę „Rycerza Medalika Najświętszej Marii Panny". Mówię, że z racji swojej funkcji jestem upoważniony do zdyscyplinowania tego księdza, który przekracza granice księżowskiego zachowania. Głośno się śmieje, głośno mówi i biega po całej sali, przysiadając się raz przy tym, raz przy innym stoliku. Wszędzie prowadzi świeckie rozmowy, ani słowa o duchowości czy zbawieniu.

Przerażeni. Nie wiedzą, czy to żart, czy ja na poważnie.

I to, i to.

Henryk Bereza na moją uwagę, że na ulicy Widok powstał świetny barek z wietnamskim jedzeniem, zaprzecza i wymienia wszystkie sklepy, restauracje na Widok, poczynając od publicznej toalety męskiej, której poświęca najwięcej czasu.

Nie dość, że źle słyszy, to źle widzi i uparty jak kozioł. Ma popleczników siedzących obok.

Czuję, że rzucam perły przed ślepe kury.

W domu lektura odciągająca od bieżączki towarzyskiej.

Rosja koniec dziewiętnastego wieku.

Tout va au diable – mówi Dostojewski zaproszony na obiad z synami cara. Ciekawy jestem, czy jest w Polsce pisarz godny zaproszenia do Belwederu, aby spotkać się z synami prezydenta.

I czy to może mieć jakiś sens.

Synów to interesuje?

A takiego pisarza nie ma.

Masłowska?

Śniła mi się Ela Czyżewska. Przyszła do mnie taka niewinna, czysta jak Matka Boska. Uśmiechała się swoim lekko ironicznym uśmiechem Mony Lizy, z wszystkowiedzącym spojrzeniem. Była jakaś święta. Bo umarła. Wyglądała tak jak na okładce „Wysokich Obcasów".

Zaczęliśmy się całować. Najpierw konwencjonalnie, jak na powitanie, a później dosłownie. Miałem nieokreślone poczucie czegoś niestosownego. Z nieboszczką?! Bo wiedziałem, że umarła, ale była taka piękna, pociągająca jak nigdy.

W tym samym numerze „Wysokich Obcasów" druga aktorka uważa, że prawo i sprawiedliwość to jedno. Boże, tyle wypadków, gdy sprawiedliwość przeczyła prawu. Apartheid, stalinizm, hitleryzm, nie mówiąc o pomyłkach sądowych dotykających zwykłych ludzi.

Antygonę chyba aktorka zna?

**

Wolę tamtą aktorkę, mimo że nie żyje.

Przed laty Ela dzwoniła do mnie przez wiele miesięcy jako „druhna drużynowa", grając naiwną udającą niewinność, ale już sugerując tajne pragnienia erotycznie. Jeszcze nieuświadomione, ale rozpalające mnie do białości. Nie miałem pojęcia, kto to jest. Dopiero po roku przyznała się, że tak bawiły się mną z koleżanką, u której mieszkała.

Kogo dzisiaj, jaką Kożuchowską stać by było na takie zabawy? Aby grać taką trudną i ciekawą rolę „druhny drużynowej", podszytej budzącym się erosem, bez tłustego kontraktu? To była telenowela lepsza od dzisiejszych największych osiągnięć na polu ich plastikowych namiętności.

Znaki.

Młoda kobieta ustępuje mi miejsca w autobusie! Samochód postawiłem do garażu. Nie chcę, aby topił się w prażącym słońcu. Wolę zagotować siebie niż taki elegancki pojazd, wytwór niemieckiej myśli konserwatywnej, narazić na polskie barbarzyńskie upały.

Znak drugi.

Idzie ulicą dwóch moich znajomych. Ja stanąłem i oglądam tablicę pamiątkową Kazimierza... mniejsza z tym.. aha, Kazimierza Kamińskiego, aktora i reżysera, umieszczoną na ścianie kamienicy przy Wiejskiej.

Jeden z nich:

– O, cześć! Patrzę, stoi jakiś mężczyzna w ciąży, a to ty...

Niby żart, ale bolesny.

Muszę się wziąć za siebie.

Przy okazji towarzysz tamtego serwuje mi taki żarcik:

Dwóch siedzi na ławce, jeden czyta gazetę.

– Ty, stary, tu piszą, że ma podrożeć woda mineralna „Cisowianka"!

– Tak? I bardzo dobrze. Wzięli się, kurwa, nareszcie i za abstynentów.

Odeszli.

Zostałem w ciąży sam na sam z tablicą o wielkim aktorze i twórcy. Jak upamiętniać teraz na domach „znanych i lubianych". Dzisiaj gwiazdy posiadają po kilkanaście mieszkań „pod wynajem". Każde opatrywać tablicą? Odciskiem ręki, stopy lub informacją: tu wynajmował lokal aktor „znany i lubiany"...

Trochę mizoginizmu.

Holistyczne SPA. *Sanus per aquam.*

Znajoma kręci dla telewizji program sponsorowany przez właścicielkę holistycznego SPA. Najpierw wywiad, a później debata.

– A więc powita pani widzów... Powie pani, kim pani jest... Wyjaśni, co to znaczy „holistyczne" i co pani proponuje... jak pani mówi, dla

duszy, dla ciała i dla umysłu.

– Okej! Super.

– Kamera, łączyć!

– Już mówić?

– Tak, mówić.

– Dzińdobry!

– Stop! Nie dzińdobry, ale dzień dobry.

– Aha. Dobrze. Z tym, że ja jestem raczej współwłaścielką. Założycielką.

– Proszę, niech pani to powie. Kamera!

– Dzińdobry.

– Dzień dobry.

– A jak ja mówię?

– Dzińdobry.

– Mówię dokładnie tak jak pani. Dzińdobry.

– To proszę zacząć... może: „Witamy...".

– To nie mówić „dzińdobry"?

– Nie! Od razu: Witam państwa... i tak dalej... o ciele, duszy i umyśle. Holistycznie.

– Ale lepiej zróbmy teraz przerwę. Stawiam wszystkim pizzę. Na dzińdobry.

Dalszy ciąg o modelce, która stale pytała: „O co tu chodzi?", „O co tu chodzi?". Kiedyś miała jechać na ulicę Widok, a zadysponowała taksówkę na Oczki.

Jej kuzyn opowiada, że w liceum przed maturą kazano jej koniecznie przeczytać trzecią część *Dziadów.* Przeczytała.

Drugi tom *Chłopów.*

Zdała.

Znajoma.

– Kiedyś nie znosiłam zapachu mężczyzn. Murzyna, Żyda, Ruskiego, Polaka też. Miałam wypadek, straciłam węch.

– Tak?

– Dziś mogę się położyć do łóżka z każdym. Przestałam być rasistką.

Spóźniłem się na spotkanie w jaskini Agory na Czerskiej, akurat podczas przepychanek na Krakowskim Przedmieściu.

Mówię, że byłem przykuty do krzyża przed pałacem i rozkułem się dopiero po komunikacie, że krzyż na razie pozostanie na miejscu. R o z k u w a n i e jest trudniejsze niż przykuwanie. Do wszystkiego… żony, poglądów, wiary, ulubionego krawatu, autora, gazety, zapachu…

Może to, co powiedziałem, ma jakiś ukryty głębszy sens.

Często podejrzewam, że to, co piszę, ma jakiś inny, ważniejszy podtekst.

Jak ten, że rozkuwanie jest trudniejsze jako zabieg. Odrywanie się od czegoś, kogoś…

Megalomania?

Tak.

I nagle we „Wprost" znajoma twarz. Ks. Andrzej L. Przyszły kapelan, spowiednik i zaufany prezydenta Komorowskiego!

Rany boskie, a ja tak niefrasobliwie o nim pisałem! Przecież on mnie może… teraz… ja wiem… z wysokości pałacu, tej małej kapliczki pozostawionej przez Wałęsę, Kwaśniewskich, Kaczyńskiego, zniszczyć, pozbawić wszystkiego.

Przestraszyłem się nie na żarty. Całą noc nie spałem. A jak usnąłem, to śniłem, że wtrącają mnie do podziemia… i diabły dźgają mnie widłami.

Następnego dnia czytam w „Rzepie", że są trudności z tym awansem, że jeszcze nie wiadomo, że jeszcze nie wszystko zdecydowane i zależy od Łowicza, Nycza i innych hierarchów…

Zastaję przy stoliku zwolenników księdza L. w jakimś pomieszaniu ducha… Nie wiadomo, czy to stypa, czy żal, że w naszym gronie nie

będziemy mieli człowieka, który na ucho będzie odbierał od Pierwszej Osoby w państwie zwierzenia i wyznania grzechów.

To by nas podniosło.

On ci z nas! On ci od nas! Nasz człowiek w pałacu.

Ksiądz L. odbiera dziesiątki telefonów z gratulacjami od tych, którzy nie czytali „Rzepy".

Zostajemy sami przy stoliku, z Krysią Paryżanką, która zamawia dwa koniaki: dla siebie 25 gram, dla księdza 50 gram. Boli go głowa.

Wykorzystuję chwilę słabości i proszę o interwencję w dyrekcji Teatru Wielkiego, by przysyłali mi czasami zaproszenia na mniej znaczące premiery.

Nie odmówią przyszłemu kapelanowi prezydenta.

Wychodzimy na zewnątrz.

Niebo zasnute czarnymi chmurami.

Nadciąga burza.

Po tygodniu tłumaczy się, że oni tam w Teatrze Wielkim odbierają teraz zaproszenia, a nie dają.

Nie wszystkim.

Syn króla Krezusa od dziecka był niemową. Kiedyś miasto, w którym był król i syn, zostało zdobyte. Żołdak zamierzył się mieczem na króla. I wtedy syn krzyknął: „To jest król, mój ojciec, nie zabijaj go!". Po raz pierwszy w życiu przemówił.

Gustaw opowiadał przy stoliku taką anegdotę.

W pewnej rodzinie żydowskiej w Galicji też był syn niemowa. Ale kiedyś przy śniadaniu nagle powiedział:

– Gdzie jest cukier? Dlaczego nie ma cukru do herbaty?

Cała rodzina skoczyła na równe nogi.

– Synu, to ty mówisz?! Ty mówisz? Dlaczego wcześniej nic nie mówiłeś?

– Co miałem mówić? Zawsze na stole był cukier.

Kwestia bodźców.

Nikt nie mówi bez powodu.

Czasami – bo musi.

Rano przy goleniu.

– Co z tego, że pogoda jest ładna, jak jestem stary i brzydki!

– Mężczyzna nie potrzebuje być ładny. A jak już, to może być interesująco brzydki.

– A jak jest bez pieniędzy?

– To tylko ładny. Ciacho.

Im bardziej walczymy z mitem, tym bardziej go uzdrawiamy.

Dzwonią ze szpitala.

Kuzyn zaciska usta. Głoduje. Chce umrzeć. Leży na łóżku szpitalnym tyłem do świata, do mnie, do lekarzy, do wszystkiego.

Karmią go przez rurkę wprowadzoną przez nos.

Zadziwiająca jest troska o chorego bez szans.

Tyle jest kłamstw na temat lekarzy.

Doktor. Młody człowiek. Rzeczowy, budzący zaufanie, walczy ze śmiercią kogoś obcego do samego końca, ale musi mieć współpracownika. W osobie chorego.

Tu go nie ma.

Wzruszył mnie, gdy przy rozmowie założył nogę na nogę.

Miał szarobure skarpety i jednocześnie na upał sandały.

Doktor Judym.

Zawsze takim zazdroszczę. Skromności i bezinteresownego oddania innym.

Nie odważyłem się dać mu zwyczajowo jakiegoś prezentu czy nawet kwiatów. Jego codzienna praca zasługuje na wdzięczność przeogromną wobec tego, co się dzieje dookoła.

„Nic nie jest na swoim miejscu!". To nie jest jeszcze tragedia. Wszystko na swoim miejscu, i to jest wtedy przerażające. „Umysł budzi

się z drzemki, gdy napotyka nieporządek i niesprawiedliwość: to, co «jest na swoim miejscu», co jest naturalne - pozostawia go obojętnym i sennym, ożywia go natomiast frustracja".

„Nigdy opatrzność nie jest bardziej widzialna, jak wtedy, gdy działanie człowieka stara się zastąpić działaniem siły wyższej".

„Każdy wielki charakter ma skłonność do przesady", pisze de Maistre, osiemnastowieczny autor.

„Pojedynek z ideą wyzwala w nas szaleństwo, umysłowi odbiera równowagę, dumie zaś spokój. Nasze zaburzenia i aberracje są konsekwencją walki, jaką toczymy z nierealnym, abstrakcją, owocem naszego pragnienia, aby odnieść zwycięstwo nad tym czego nie ma" - Cioran.

Kogo nam to w naszej polityce przypomina?

Patrząc na dzisiejsze sądy, wyroki, kruczki adwokackie, przekupstwa, polityczne „względy", opcje, komisje śledcze, ataki mediów... zastanawia mnie zdanie z le Maistre'a: „..nie ma nic mądrzejszego i bardziej nieprzekupnego od wielkich trybunałów hiszpańskich.... Najbardziej przezorną i naturalnie ludzką instytucją na świecie był trybunał Inkwizycji" (!).

Trochę mi to przypomina gorzki żart o Stalinie, że na sto strzałów podczas swego panowania miał jednak jakiś procent słusznie wystrzelonych.

„Ci, którzy przynależą do jednej partii, myślą, że różnią się od tych, którzy należą do innej partii, tymczasem już w chwili wyboru są do siebie podobni i odróżniają się od siebie jedynie pozorami, maskami, jakie zakładają".

Co by było najzdrowsze?

Cioran:

„Wszelki akces, wszelkie opowiedzenie się po czyjejś stronie jest symptomem alarmującym. Nie ma ani zbawienia, ani zdrowia poza bytem czystym, równie czystym jak pustka".

Ale tak w życiu nie ma!

Mówi mi facet na ucho:

- Proszę pana, większość zdolnych Żydów dawno już wyjechała z Polski, wracają niezdolni. Jest, jest jeden rodzynek: Suskind. Zaprojektował ten budynek Żagiel, ale go chcą zadeptać.

Nie wiadomo: antysemita czy filosemita?

Cioran:

„W chwilach, gdy uświadamiamy sobie bezcelowość wszystkiego, co robimy, los utożsamiamy bądź z Opatrznością, bądź to z mechaniczną, bezosobową grą sił, automatycznie decydującą o naszych czynach, a nawet wierzeniach".

Zgadzam się. Zmieniłbym tylko to: „bezosobową", na jak najbardziej: „osobową". Jak najbardziej!!! Mam kilka nazwisk w notesie.

Czekam.

Ale się chyba nie doczekam.

Cioran opisuje pewną hiszpańską rzeźbę Chrystusa. Był zakrwawiony, zniekształcony, powykręcany i szalenie... u r a d o w a n y tym, że wisi na krzyżu.

Jak się tak zastanowić, to właściwie rzeźba ta oddaje sens całej jego ofiary.

Bez pokrętnych przekłamań.

Im bardziej Pan Bóg przedstawiany jest jako dobrotliwy staruszek, tym podobno mniej ludzi w kościołach. „Deiści obniżyli znaczenie Boga do poziomu idei i symbolu, do abstrakcyjnego wyobrażenia dobra i mądrości. Nie wie nic o religii ten, kto myśli, że człowiek ucieka przed

kapryśnym, złym, a nawet okrutnym bóstwem; kto zapomina, że człowiek do szaleństwa uwielbia się bać".

Strach przed Bogiem powstrzymywał mnie wiele razy w młodości przed grzechem. Ale stopniowo zanikał i jestem teraz starym grzesznikiem, który ma coraz mniej czasu na poprawę.

Ale wciąż nie tracę nadziei, że dokonam czegoś wielce ekspiacyjnego.

Wyspowiadam się u księdza L.!

Na razie przy stoliku.

Telefon od wariatki.

Odpowiadam, żeby ją zbyć.

- Nie dzwoń do mnie, bo jestem za granicą i będziesz płaciła straszne sumy za połączenie.

- Jak to za granicą?

- Tak, ludzie czasami wyjeżdżają za granicę.

- Przecież masz być na Centralnym o zero i jedna minuta. Wracam z Juraty.

- Jestem za granicą.

Jakby nie było innego powodu, żeby nie być o północy na dworcu w Warszawie.

- Gdzie? Za granicą?

- W Ameryce - kłamię bez zająknięcia.

- To jak? To nie będziesz dziś na Centralnym?

- Nie będę.

- Dlaczego?

- Bo jestem w Ameryce.

- A co mnie to obchodzi!?

- Spieprzaj!

„Obarczanie winą jest domeną Boga i małych dzieci".

Film *Papillon*

Umarł kuzyn.

- Potrzeba sześć tysięcy.

- Przecież ZUS płaci za wszystko.

- Tak, ale ZUS nie płaci, tylko zwraca. Tusk chce obciąć do czterech. Trzeba się spieszyć.

- To wyłóżcie. Zwrócę po pogrzebie.

- Garnitur trzeba kupić i pantofle. Bo jego zaginęły gdzieś po szpitalach.

- To kupcie. Co ty tak mówisz, jakbyś coś jadł?

- Posilamy się na grobie jego matki. Kopią. A my nic nie jedliśmy od rana.

Poczułem się dziwnie upokorzony. Jak można rozmawiać z kanapką w ustach nad otwartym grobem.

Najbardziej przejmujący fragment wiersza Mirona Białoszewskiego.

„Patrzę na Janka z rurą tlenową
Zasypia
Co to będzie?

Patrzę z rurą tlenową
Zasypia

Pytam przez telefon
- co z Jankiem?
a to już".

Były takie fale reklam w polskiej telewizji. Najpierw zadziwienie, że coś takiego na ekranie TV obok Holoubka, Świderskiego, Śląskiej... Jak tak można, tu Sztuka przez duże S, a tu proszek do prania Ixi. A potem szło coraz łatwiej, aż do podpasek higienicznych w trakcie kolacji, kremy, lekarstwa bez recept na starość, a teraz fala środków na wzdęcia!

Piękne, smukłe kobiety oznajmiają kilka razy na dzień, że mają wzdęcia i puszczają gazy... Cała seria teraz tych reklam. Czy dawniej nie miały wzdęć? Czy można to nam oznajmiać tak bez żenady? Przy śniadaniu, obiedzie albo kolacji?

Jako mały chłopiec dorwałem się kiedyś do niemieckiego wydania *Encyklopedii erotycznej.* I tam był taki obrazek, który wstrząsnął mną całkowicie. Zawody między dwiema gołymi grubaskami, które z pewnej odległości gasiły świece puszczaniem potężnych bąków. Wszystko narysowane z niemiecką dokładnością.

Za każdym razem, gdy pojawia się w TV reklamówka środków na wzdęcia, widzę dwie potężne niemieckie gołe dupy i zdmuchnięty płomień świecy. I jakby słyszę entuzjastyczne okrzyki ich kochanków: *Das ist schon, wunderbar! Das ist perfekt. Bravo!*

Były to pierwsze zawody sportowe, jakie widziałem w życiu.

Dziś nie wystarcza już strzał w głowę na ekranie telewizora. Interesujący sposób zabijania pojawił się dopiero teraz. Walenie w głowę bronią. Bicie rękojeścią rewolwera w głowę ofiary, aż zostanie miazga. Trwa to filmowo dłużej, efektowniej i z większym cierpieniem mordowanego.

I dopiero na finał - strzał.

- Czy pan jest artystą?
- Tak, ale z powodzeniem mógłbym nie być.
- To pan nie jest artystą.
- Trudno.

Posuwam się w latach, ale stale utrzymuję swą żywotność.

Tylko ciało słabnące mnie nie opuszcza.

Niestety.

Trzeba bardzo uważać, aby umrzeć we właściwym momencie i na modną chorobę. Ilu odeszło, przykrytych inną, bardziej medialną

śmiercią i na chorobę ukrywaną od dłuższego czasu. Wszystko można obrócić na pierwszoplanowy *news* i *cover story* w kolorowym magazynie.

Trzeba tylko mieć szczęście.

Dziś był pogrzeb kuzyna.

W jednym grobie na babce leży dziadek, na ojcu córka, na córce, czyli matce, teraz syn.

Requiescat in pace!

„Dziadek za rzepkę, babcia za dziadka, wnuczek za babcię...".

Jak z Tuwima.

Tak bym chciał pisać, jak pewien Anglik o dziwnym nazwisku czy pseudonimie Sako (?).

Kto to jest?

Pisze krótkie nowele.

Mam jego książkę *The Best of Sako.* Chciałbym kiedyś doczekać się „The Best of me". Ile trzeba napisać książek, aby wydać „The Best of..."? Chyba to wie tylko Hen i Konwicki.

Jedna nie wystarczy.

Nowela Sako: *Otwarte drzwi na ogród.*

Facet zjawia się w angielskim *country.* Czym jest dzisiaj *country* w Polsce? Chyba było przed wojną... Jest nerwowo wyczerpany życiem w Londynie. Chce wypocząć, wyciszyć się, zrelaksować... Odwiedza jeden z okolicznych domów.

Czeka na panią domu. Towarzyszy mu siostrzenica gospodyni, która opowiada o strasznej tragedii, jaka się wydarzyła kilka lat temu. Mąż ciotki i dwóch jego braci wyszli na polowanie i nie wrócili do tej pory. Ciotka trzyma cały czas otwarte drzwi z nadzieją, że kiedyś wrócą.

Rzeczywiście, drzwi na taras są otwarte mimo późnej pory roku.

Zjawia się ciotka. Konwencjonalna rozmowa, ona opowiada, że mąż wyszedł na polowanie z braćmi, jest już późno, a oni spóźniają się na

herbatę. Gość myśli, że ona kontynuuje swoje dziwactwo, wciąż czekając na ukochanego męża i nie przyjmując do wiadomości jego tragicznego zaginięcia.

Rozmowa: on o sobie, gospodyni o mężu. On wie, że tamten zaginął trzy lata temu. Jest przekonany, że kobieta jest psychicznie chora. Trzyma drzwi otwarte na ogród, wierzy, że oni kiedyś wrócą.

Nagle na trawniku w oddali widać trzech mężczyzn w strojach do polowania. Wchodzą do domu.

Witają się, jakby nigdy nic się nie stało.

Szok. Facet myśli, że śni. Komu wierzyć? Kto tu zwariował? Siostrzenica, on czy ciotka?

Zrywa się. Ucieka. Bez pożegnania.

Ciotka informuje męża, że to ktoś nerwowo chory. Wymaga spokoju.

Wszystko na dwie strony maszynopisu.

The Best of...

Chciałbym tak pisać.

W filozofii łatwiej jest zadawać pytania niż formułować odpowiedzi.

„Czy jeden człowiek może zajmować się handlem, gdy jest tylko jeden?".

Ludwig Wittgenstein

Telefon z Luksemburga. Polski ambasador.

- Czy mógłby pan udzielić wywiadu do telewizji (nie wiadomo jakiej) o kolacji z Marleną Dietrich w Warszawie.

- Nigdy nie byłem na kolacji z Marleną Dietrich, ale chętnie udzielę takiego wywiadu, tym bardziej że to dla Luksemburga.

- Czy może to być w okolicy 2 sierpnia.

- Proszę bardzo.

Już wiem, skąd to się wzięło. Pisałem kiedyś o takiej kolacji, która odbyła się w warszawskim Spatifie po koncercie Marleny w Sali

Kongresowej. Inicjatorem był Andrzej Łapicki, ówczesny prezes związku.

Zaprosił kilku kolegów i Marlenę, przecież też aktorkę, i to wielką, a nie tylko od śpiewania „Ja jestem tylko po to, żeby kochać mnie...". Co wspaniale naśladowała Alina Janowska w kabarecie Szpak na półpiętrze hotelu Bristol. Była nawet lepsza. Rozumiałem, co śpiewa.

Opisywałem, jak Marlena, siedząca obok Łapickiego, który na tamte czasy był jedyną osobą mówiącą po francusku, bo miał bonę Francuzkę przed wojną.

Otóż, gdy przy stole, chcąc spróbować przystawki, Marlena wzięła do ręki wyszczerbiony i pozbawiony dwóch zębów widelec, z uśmiechem powiedziała do Andrzeja:

– Ustrój to wy może macie najlepszy na świecie, ale nakrycia słabe.

Co odpowiedział Andrzej, nie wiem, ale pewnie zaczerwienił się ze wstydu za ustrój, za Klub Artystów, któremu prezesował, i kazał kelnerce natychmiast zamienić widelec szczerbaty na pełnozębny.

I teraz mam mieć wywiad na temat kolacji z Marleną...

Z tą wielką artystką mieliśmy jeszcze dodatkową zabawę. Otóż nasz przyjaciel Zbigniew Cybulski, który grywał w filmach zagranicznych, spotykał się z gwiazdą w Paryżu. Rozeszła się wieść, a nie było jeszcze kolorowych magazynów, że Zbyszek rozkochał Marlenę do obłędu i szykuje się wielka sensacja. Bogumił Kobiela, który był najbliższym kolegą Zbyszka – gdy romans osiągnął szczytowy moment – przewidywał jego dramatyczny koniec z powodu pewnego powiedzenia, którego stale używał Zbyszek. Otóż ten zwracał się do większości przyjaciół bardzo familiarnie, klepiąc po ramieniu albo obejmując, i mówił: „Cześć, Starenia" albo: „Jak idzie, Starenia?". „No i co, Starenia?". „Podaj mi to, Starenia". „Podoba ci się, Starenia?". „Idziemy, Starenia?".

Kobiela słusznie przewidywał, że jeżeli ktoś kiedyś przetłumaczy Marlenie na francuski to, co stale powtarza Cybulski, zwracając się do

ukochanej: „Starenia" – wszystko się skończy. Marlena miała wówczas 85 lat.

I tak się stało.

Chyba udzielę im tego wywiadu, jak nie jadłem kolacji ze Starenią.

Nie dzwonią.

Wdowy.

– I co ja mam robić? Wszystkie wdowy na cmentarz sobie chodzą, a ja sama z nim w domu.

Zapowiadaczka pogody w BBC w ciąży. Bardzo apetyczna.

Na razie w TVN są zgrabne, wspaniale zbudowane, pełne seksu i wdzięku. Kiedyś zastanawiałem się, kto je selekcjonuje. Myślałem, że sam Mariusz Walter, i zazdrościłem mu, ale teraz wiem, że to niemożliwe, za dużo ich jest.

Sejm chce zabierać prawo jazdy ludziom starszym. Podobno są wypadki przez nich powodowane. A ile wypadków powodują młodzi? Pijani, na dopalaczach, zdragowani albo bezmyślni?...

Najlepiej wszystkim zabrać w s z y s t k o!

Telefon do księdza L.

– Cześć, Zbyszku. – Ksiądz wstaje i odchodzi od stolika.

– Kto to jest Zbyszek? – pytam Henryka Berezę.

– To nowy pseudonim Bronka.

Przy stoliku:

– Czy czcigodna błogosławiona była dziewicą?

– Tak, od urodzenia do śmierci. Trzykrotnie.

Aktorka w rozmowie z dziennikarzem:

– Jeszcze nie mam osobowości. Mam za małe piersi.

Premiera *Les Miserables* w Romie.

Full house. Nie zapomniał o mnie dyrektor Romy i reżyser Wojciech Kępczyński. Dzięki.

Jakie to miłe i zaskakujące dzisiaj! Dyrektor wspomniał w swoim przemówieniu przed spektaklem, że to ja reżyserowałem w Teatrze Gdyńskim przed dwudziestu laty *Les Miserables* z wielkim sukcesem i szło to przedstawienie 600 razy.

Były brawa. Wstałem wzruszony i zacząłem z głupia frant pozdrawiać klaszczącą publiczność. Jak Jean Valjean, doznając czegoś dobrego, sam stałem się dobry i chwaliłem przedstawienie, obejmowałem się z artystami, dziękowałem wszystkim dookoła, nawet tym dziewczętom, które w nim nie grały, ale były wystarczająco atrakcyjne.

W domu sięgnąłem po *Pasaże* Waltera Benjamina, opisującego Paryż dziewiętnastego wieku.

Przeczytałem rozdział, który nie wszedł do ostatecznej wersji *Les Miserables* Wiktora Hugo.

„Gałązka Białego Bzu".

We Francji w więzieniu Saint-Lazare w dziewiętnastym wieku więźniowie zawsze szukali rysownika wśród współnieszczęśników. Znajdowali i przynosili mu kartkę papieru. Miał za zadanie namalować bukiet złożony z różnych kwiatów. Malował, gotowa kartka była opatrywana numerami więźniów, każdy wybierał sobie inny kwiat. Jeden z nich, skazany za poważne przestępstwo, wybrał gałązkę białego bzu. Oznaczył ją cyfrą 1056, jego numerem więziennym.

Kartka wędrowała jakimiś znanymi tylko nielicznym sposobami przekazania jej do więzienia kobiecego. Tam niektóre z kobiet wybierały kwiat i numer nieznanego więźnia, podpisywały swoje imię pod którymś z kwiatów. Pod gałązką białego bzu podpisała się więźniarka Isabelle. Kartka z rysunkami wracała do mężczyzn. Odtąd Isabelle, podpisana pod gałązką białego bzu, stała się kobietą numeru 1056.

Myślą o sobie, tęsknią do siebie, kochają się, mają kogoś do kochania, myślenia i tęsknoty. Nigdy się nie widzieli, nigdy ze sobą nie spali, nigdy się nie dotykali. Ale kochają mocno... beznadziejnie.

Kobieta wychodzi z więzienia. Wiedzie skromny, biedny żywot samotnej szwaczki, ale ma kogoś, do kogo bardzo tęskni. Na wiosnę, kiedy wszystko kwitnie, zrywa gałązkę białego bzu.

Przyczepia ją do oparcia łóżka. Gałązka tkwi tam długo, wreszcie więdnie, kwiaty opadają, zasycha, ale ciągle tkwi...

Jest czwarta rano. Kobieta siedzi na łóżku i wpatruje się w nią... Jej miłość.

Nagle na gałązce zaczyna się formować coś ciemnego... kropla... odrywa się i spada na białe prześcieradło... krew.

Dokładnie o tej porze na więźniu numer 1056 wykonano karę śmierci.

Gilotyna.

Na tej historii mógłby być oparty cały film.

Ale francuski.

Dziś dalszy ciąg sprawy kapelana Jego Ekscelencji Prezydenta. Przy stoliku snujemy sny o potędze stolika, gdy już ksiądz L. będzie mieszkał w pałacu. Ile będzie zarabiał, jakim samochodem jeździł, jakie kraje zwiedzał z dostojnikami. To jest kariera! Gdy on będzie bujał po świecie z dworem prezydenckim, my stopniowo sczeźniemy przy stoliku za słupem.

Żona i dzieci żałowały, że nie jestem księdzem. Umiałem tak pięknie recytować po łacinie „Ojcze nasz"... „Pater noster qui es in caelis"... I znałem na pamięć wiele pieśni nabożnych. Chociaż najbardziej lubiłem, gdy ksiądz mówił: „Ite missa est". Idźcie, msza skończona, dokonana...

Może jak ksiądz L. zostanie kapelanem, popchnie gdzie trzeba moje projekty serialowe „Studenci trzeciego wieku", inżynier Karwowski na emeryturze.

Dam mu scenariusz do przeczytania. Jak już wyrzucą wszystkich pisowców z telewizji publicznej, może będzie jakaś szansa dostać się tam po latach przez katolickiego księdza. Albo szepnie przy spowiedzi prezydentowi na ucho o tym projekcie?

Taki „zausznik", w dobrym tego słowa znaczeniu, jest dla stolika na wagę złota.

Wobec nowych, jakże odpowiedzialnych dla Polski wyzwań, wzmocnię moją „adopcję duchową", którą go kiedyś bezinteresownie otoczyłem.

Tylko to nazwisko? Luter z dojściem tak bliskim do prezydenta Rzeczypospolitej?! Jakież to pole do ironicznych komentarzy tych spod krzyża.

Czytam biografię księcia Potiomkina, kochanka Katarzyny Wielkiej, którego przez wiele lat przedstawiano jako idiotę i oszusta.

Książę Potiomkin był filosemitą, w odróżnieniu od niektórych członków panującej rodziny carów. Na przykład cesarzowa Maria Teresa do tego stopnia nie znosiła Żydów, że rozmawiała ze swoim bankierem, który prowadził jej interesy, przez parawan.

Książę zawsze miał przy sobie Joszuę Zeitlina, który mu doradzał, prowadził jego interesy, czytał z nim święte księgi. Wybudował na Białorusi piękny pałac, gdzie umieścił bibliotekę z hebraikami i laboratorium przyrodnicze. Potiomkin wyjednał u Katarzyny zarządzenie, aby zabronić nazywać Żydów „parchami", a jedynie „jewrejami", czyli „hebrajczykami".

Proust też paryskich Żydów nazywa „hebrajczykami".

Film z Di Caprio *Incepcja.*

Daje popalić. Sen i w śnie inny sen, a w tym śnie czyjś sen i nie wiadomo, co jest rzeczywistością, a co snem. Jest podobno kilka poziomów takiego doświadczenia.

Nie wolno dać się uwieść i pomylić sen ze snem albo żyć snem, a rzeczywistość brać za sen lub vice versa.

W filmie za dużo strzelaniny. I fruwania w powietrzu, jak to się często zdarza we śnie. Kończy się zwykle spadaniem.

Ja śnię na ogół o tym, że pakuję rzeczy przed jakąś podróżą pociągiem, samolotem, statkiem i nie mieszczą się wszystkie w walizce... Spóźniam się, a pociąg, samolot, statek nie czekają na mnie... Coś to znaczy. Na wszystko jestem spóźniony. Przepraszam za banalność moich snów.

Co prawda, ostatnio miałem sen na tak zwanym drugim poziomie.

Spadłem podczas snu z łóżka, przewróciłem stolik, lampa uderza mnie w głowę, a ja śpię dalej na podłodze. Wiem, że boli mnie głowa po uderzeniu lampą, ale gdy otwieram oczy, owszem, leżę na podłodze, ale stolik stoi jak stał obok łóżka, a lampa na stoliku.

Wszystko na swoim miejscu.

A stary Louis B. Meyer z Goldwyn Mayer: „Nie lubię, gdy w kinie za moje pieniądze komuś obcemu coś się śni".

Urodziny Gwiazdora.

Cały klub pełen. Z miejsca dosiada się do mnie jakiś wał. Opowiada mi, co zrobi, jak mu się wiedzie, co zarobi. Uciekam w podróż dookoła barów. Spotykam jakąś osobę w krótkiej spódniczce, o sympatycznej twarzy. Pytam jak zawsze w takiej sytuacji:

– Kiedy pani będzie śpiewać?

– Ja nie jestem śpiewaczką. Jestem modelką. Studiuję marketing i zarządzanie. Byłam we Włoszech przez rok i we Francji przez trzy miesiące. Tam jakoś ludzie czują się swobodniej, każdy mówi drugiemu po imieniu. Jak masz na imię? Bo ja Asia, z tym, że Włosi wymawiają to Azia, powtórz. Powtarzam: Azia. Bardzo dobrze. A ty? Jerzy. Giorgio po włosku. Lubię Włochów. Teraz wróciłam do Polski. Tu też jest nieźle, ale ludzie bez luzu. Ty jesteś pierwszy z luzem. Podszedłeś do mnie tak na luzie. Znasz Frytkę? Chiałabym ją poznać. Mało znam takich

ważnych osobistości. Kończę pisać licencjat o zarządzaniu. Jak się spotkamy, porozmawiamy o Italii. Chciałabym tam wrócić, ale jak napiszę pracę dyplomową. Zadzwoń. Moje koleżanki też modelostudentki. Ta wróciła z Anglii, ale zaraz jedzie z powrotem. Nie podoba jej się w Polsce. Szczególnie muzyka. Pracowała tam w barze. Mieli najnowsze nagrania.

– Idziemy tańczyć z koleżankami.

Inna siedzi z nogą na nodze, odsłaniając prawie wszystko. Cud inżynierii genetycznej. Wygląda jak moja najmłodsza córka, gdybym miał córki. Znam ją dwadzieścia kilka lat. Ma czterdzieści dwa plus VAT. Co pół roku nowa operacja kosmetyczna. Cofa się w latach w zastraszającym tempie. Z trudem ją poznaję. Za każdym razem jakby ktoś inny, młodszy i bardziej seksowny. Kilkoro dzieci i jakieś dyplomy uniwersyteckie. Obok niej nieświadomy niczego młody człowiek, zadowolony z partnerki. Ona informuje mnie szeptem, że to nowy dyrektor telewizji publicznej.

Na stole butelka chiwasa, lód, cola... Usta napompowane botoksem.

Odchodzę.

Przedstawia mi się facet i mówi, że jest kimś bardzo ważnym. A potem, że może wypić, ile chce, bo zna taki środek na kaca, który wymyślili Rosjanie. A właściwie wywiad rosyjski.

– Natychmiast trzeźwiejesz, a można go kupić w Polsce na stacjach benzynowych. Nazywa się „Antykatz". Jest zupełnie nieszkodliwy. Wypijesz i możesz szpiegować, jakbyś był trzeźwy i przytomny niczym dziecko. Niech pan spróbuje. Ja dzisiaj będę pił do rana, ale potem jadę zaraz na stację Orlenu, wypijam „Antykatz", bo wcześnie, o ósmej mam *very important meeting.*

Spotykam też młodego twórcę, któremu mówię, że jego szef jest skończonym wałem.

On odbija, że to wysokiej kultury człowiek. Ja, że nie odpisał mi ani słowa na moją propozycję scenariuszową. Może jest do dupy, ale można i trzeba mieć odwagę powiedzieć nie. Jak go spotkam, dam mu w mordę. Co uczynię z przyjemnością, na własne ryzyko, ponieważ jestem w podeszłym wieku.

Odchodzę.

**

Na słupie z kulturą na rogu Marszałkowskiej i Szucha: Chopin i jego Europa, (A)pollonia, Chór Aleksandrowa, Teatr Wielki, jubileusz Awdiejewa, film *Incepcja* – i na to dolepione ogłoszenie wielkimi literami: „Ceny oszalały! Pizza na wynos".

Na ekranie telewizyjnym jakieś schody. Idzie dwóch w garniturach, ubraniach szarych jak ich twarze. Okazuje się, że jeden to Brutus. Rozmawiają o Cezarze. Przerzucam kanał. Ile razy ich widziałem, jak udawali kogoś innego. Na drugim nagle ci sami z Narodowego jako bohaterowie Moliera. Walczą ze świętoszkowatością. Za chwilę w *Wiadomościach* siedzą i dyskutują o czymkolwiek. Bez twarzy, a raczej ludzie o stu twarzach. A w *Wiadomościach* sportowych Cezar jeszcze może wygrać turniej tenisowy i odbierać główną nagrodę.

Warszawski ping-pong towarzyski: telewizja, Narodowy, Akademia Teatralna, Bryza, Pałac Prezydencki, niezależnie kto w nim mieszka, front page w „Vivie".

Jest ich niewielu. Ale jak się zręcznie obracają, udając stale kogoś innego. Celebryci tzw. kultury wyższej.

Przy stoliku pytam Kazia Kutza o artykuł w „Rzepie" na temat autonomii Śląska. Czytał i mówi, że on jest pierwszym, który rzucił takie hasło. Holoubek od dawna twierdził, że Kazio to śląski agent przy naszym warszawskim stoliku. Naraz wszyscy siedzący wokół opowiadają, że ten pracował na Śląsku, ten się tam urodził, ciotka była

Ślązaczką, ktoś niemal z dumą mówi, że jego dziadek był w Wehrmachcie... Nawet Krysia Paryżanka urodziła się w Gliwicach.

I zamówiła natychmiast drugą butelkę wina, bo przyszedł zaaferowany, ale i szczęśliwy ksiądz L. Mówi, że później będą decyzje o kapelanie, pociesza się kapelan. Musi zwyciężyć!

Daj Boże, daj Boże...

W teatrze Bajka świetna Edyta Olszówka. Długo jej nie widziałem. Na przyjęciu popremierowym o mało co nie gratuluję aktorce łudząco do niej podobnej. Nazywa się Socha. Gratulacje przyjęłaby bez zdziwienia. Jest o niej w kolorowych magazynach więcej niż o Edycie. Olszówka w spektaklu *Wariatka* wzbija się na wyżyny aktorskie, stosując prosty system wypowiadania kwestii: szybko – wolno, cicho – głośno. Z tym, że ona wspaniale wie, kiedy, co i dlaczego: głośno, cicho, wolno, szybko.

Talent.

Znów natykam się na to samo zdanie, tym razem u Borgesa: „Po upływie lat człowiek może udawać wiele, ale nie to, że jest szczęśliwy".

Jak napisał Spinoza: „Wszystkie rzeczy chcą trwać w swej istocie: kamień chce być kamieniem, tygrys tygrysem". A ja? *Je suis rien.* Tak oświadczyła pewna pani wobec innych pań.

Kto mi co dał? Kto? Nic. Wszystko wyszarpane. Może dlatego, że oczka w sieci były jeszcze względnie duże i można się było prześlizgnąć. Dzisiaj już byłoby to niemożliwe. Sieć za gęsta.

Byłeś robolem, zostaniesz robolem, stoisz pod budką z piwem, syn też będzie stał, urodziłeś się w rezydencji, umrzesz w ekskluzywnym szpitalu w Szwajcarii, byłeś nauczycielem, będziesz czekał na swoją kolej na stół operacyjny pół roku. Rządziłeś Polską... możesz stać z

reklamówką na przystanku, czekając w deszczu na autobus. Też tak się zdarza.

Na szczęście!

Na szczęście.

Uroczyste zaprzysiężenie prezydenta w sejmie. Najbardziej zabawna część uroczystości to sprawozdanie pani poseł protokólant.

„Działo się to – jakby opowiadała wnuczkom o jakichś odległych czasach i zdarzeniach. – Pan Marszałek uderzył trzy razy laską marszałkowską... w podłogę: Na koniec: «Poseł protokólantka podeszła do mównicy i odczytała protokół z zaprzysiężenia prezydenta»".

To coś w rodzaju nowej prozy mieszającej płaszczyzny tego, co się opisuje i tego, co się dzieje w rzeczywistości. Bo bohaterka idzie do mównicy i jednocześnie relacjonuje podchodzenie do mównicy w formie pisanej, dokonanej. Ciekawe i zaskakujące.

Działo się to 6 sierpnia 2010 roku... Tak mi dopomóż Bóg!

A później na ulicach syreny limuzyn wiozących dostojników.

Na uroczystą mszę do Pana Boga.

Kazimierz nad Wisłą, festiwal Dwóch Brzegów. Byłem tylko na końcówce na jednym brzegu. W namiocie Empiku trzysta osób, śmiech, dowcipnie i na luzie. Kiedy przyszło do podpisywania mojej książki, okazało się, że mieli tylko pięć egzemplarzy, później przepraszali. To po co ta inscenizacja? Autor nieznany. A raczej znany z czego innego. Trudno się szybko przebranżowić w tej dziedzinie.

Mają swoich artystów.

A przecież Marlon Brando mówił, że ostatni artysta umarł jakieś sto, dwieście lat temu.

Biografii ludzi żyjących było kilka półek. Jeszcze chodzi po ziemi, a już ma biografię!

Tacy cwani.

W Warszawie w nocy przed pałacem:

„Tu jest Polska!”

„Do kościoła!”

„Tu jest Polska!”

„Do kościoła!”

„Tu jest Polska!”

„Do kościoła!”

I tak do pierwszej w nocy.

Boli mnie krzyż.

Jakaś pani użala się, że została „wyłokciowana”... Ciągle nowe słowa!

Ja stoję przy barierce, naprzeciwko policjanta z długą pałką i ze smutnym okiem oraz zrezygnowanym wyrazem twarzy, w strachu, że go pokażą w telewizji. Może zobaczy go matka na wsi. Albo sąsiedzi.

A przecież w niedzielę suma i kazanie.

Będziemy pisać biografię Henryka Berezy. Ja i Głowacki, ale dopiero po śmierci. Jego albo naszej.

Obwiniamy go za nieudaną akcję kucharza z Europejskiego, pseudonim Rambo, który miał usunąć krzyż. Jest wściekły. Odgraża się, że odkryje moją religię. Bo umie czytać między wierszami.

Ciekawe.

Przysiada się kobieta, podobno wybitny filolog i krytyk. Skarżymy się, że Henio nie wnosi teraz nic ponad to, co przeczytał w gazetach.

Czerwienieje i blednie na zmianę.

Ja ni z tego, ni z owego, aby błysnąć przed panią krytyk, tłumaczem i profesorem, mówię, że zrobił na mnie duże wrażenie pewien dwuwiersz Safony.

Henio próbuje zatuszować moje wejście w starożytność, chwali się, że pisze albo też pisał słynne swoje trzywierszowe limeryki. Chce cytować, ale go uprzedzam.

„Miłość spada na człowieka jak gwałtowny

powiew wiatru w górach, szumiąc i zginając drzewa...”.

To moja wersja Safony, z pamięci, a w oryginale brzmi to tak:

„Eros potrząsnął moim
Sercem, jak górski wicher na dęby wpada".

Lepsze. Trochę zaniżyłem cytat z Safony, przypominajac sobie, że jadąc kolejką linową w Zakopanem, też obserwowałem takie gwałtowne z niczego powstałe zawirowania wiatru, gnącego świerki do ziemi.

Pani krytyk przywołuje Księgę Rodzaju, gdy Adam postąpił tak nielojalnie i skosztował jabłko z drzewa wiadomości złego i dobrego. Zbliżał się Pan Bóg, ale nadejście JHW było poprzedzone właśnie takim podobnym pojawieniem się podmuchu wiatru. Pani krytyk pokazuje mi panto-mimicznie drżenie liści poprzedzające nadejście Pana Boga.

Po tym Henio zamilkł z wściekłości i tak pozostał do końca naszych dywagacji.

„Nie będziesz poznawał", usłyszał pierwszy człowiek od Boga.

A Nietzsche dodaje: „Reszta wynika z tego".

***

Ksiądz L. zniknął. Nie wiadomo, czy zapadła już decyzja - jest czy nie jest kapelanem prezydenta?

Głowacki mówi, że dzwonił do niego wczoraj wieczorem. Był rozbawiony i pełen wigoru.

Może już stolik w Czytelniku to dla niego fiume. Szybuje w innych rejonach.

Obawiam się, że posada „księdza Skargi" nie dla niego jest szykowana.

Usunęli krzyż z Krakowskiego Przedmieścia. Wpadam do klubu. Przy stoliku, gdzie siedzą wszyscy.

- Czy to prawda, że obraz Matki Boskiej w Częstochowie też usuną i wstawią tam portret Wałęsy z piórem, którym podpisywał Porozumienia

Sierpniowe?! - pytam dramatycznie.

Zapada głuche milczenie.

Po dłuższej chwili odzywa się Henio:

- Nigdy nie byłem tajnym współpracownikiem. Wielokrotnie mi proponowano. Zawsze odmawiałem.

Ni w pięć, ni w dziewięć.

Z prasy:

„Amerykanie kupują najmniej od sześćdziesięciu lat, bezrobocie utrzymuje się na poziomie 9,5 procent, a co tydzień po zasiłek dla bezrobotnych zgłasza się po raz pierwszy z grubsza pół miliona Amerykanów".

Z Apokalipsy św. Jana.

„I kupcy ziemi płakać będą i smucić się, bo już nikt nie kupuje od nich towaru" - Ezech. 27,31,36.

„Towaru ze złota i srebra, i drogich kamieni, i pereł, i bisioru, i purpury, i jedwabiu, i szkarłatu, i żadnego drzewa tujowego, i żadnego przedmiotu z kości słoniowej, i żadnego sprzętu z najkosztowniejszego drzewa, i z miedzi, i z żelaza, i z marmuru" - Ezech. 27,12-13,22.

Taksówka w Warszawie.

Czeka.

Mówię nazwisko:

- Kowalski.

Zdziwienie w oku starszego, łysego kierowcy.

- Tak. Kowalski. - A co mają szargać moje prawdziwe nazwisko po taksówkarzach całej korporacji. - Do Anina, proszę.

Zawraca w stronę Wilanowa.

- Chwileczkę, gdzie pan jedzie?

- O, kurwa! Bardzo przepraszam. Sam nie wiem, co robię. Wie pan, poznałem i chyba się zakochałem w młodej dupie. Teraz jestem jak

zakręcony. Przepraszam, już zawracam. Tak to jest, gdy w tym wieku człowieka dupa zakręci. Bardzo przepraszam.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia trzy. Z dzieckiem.

– Zgrabna, ładna?

– Ja już na ładność nie patrzę. Żonę miałem ładną. Zostawiłem ją dla tej. Niczego z domu nie wziąłem, niczego. Wszystko zostawiłem, tylko ekspres do kawy zabrałem.

– ?

– Bo lubię kawę. A ona nawet kawy w nim nie umiała zaparzyć.

– I dlatego wyprowadził się pan z domu?

– Nie tylko. We łbie jej się przewróciło, jak została biznesłumen.

– A tamta?

– Co ja będę mówił. Widzi pan, jaki jestem zakręcony. Wczoraj samochód rozbiłem. A mieliśmy jechać na urlop do Czarnogóry. To może pan sobie wyobrazić, jaka jest. Ciągle o niej myślę.

– Ale niech pan, na litość boską, teraz o niej zapomni, bo się w coś wpierdolimy po drodze.

– Spokojnie. Co, boli pana brzuch?

– Trochę. Zjadłem coś w knajpie.

– To jada pan po knajpach?!

– Niestety. Zupę soliankę, którą zapamiętałem z pobytu w Rosji jako świetną.

– To jest problem pamięci i prawdy. Co pamiętamy, a co jest prawdą wartą zapamiętania? Chcę nie pamiętać nic z wczoraj, a dzisiaj, choć rozbiłem nieubezpieczony samochód, to jestem zakręcony i szczęśliwy.

– Zazdroszczę panu.

– Radzę panu tylko nie jeść po knajpach, a gotować samemu. Powiem panu, co zrobiłem sobie dziś na śniadanie. Płatki owsiane z daktylami, rodzynkami i suszonymi śliwkami, na koniec kawę z mojego ulubionego ekspresu włoskiego. Obiad. Ryba panga duszona w rękawie parowym z jarzynami, takimi jak marchewka, zielony groszek, kapustka,

a na koniec kawa z ekspresu. Chce się pan dowiedzieć, co zrobię sobie na kolację?

– Z najwyższym zainteresowaniem.

– Naleśniki z serem półtłustym z rodzynkami i do tego oczywiście kawa z ekspresu, którego nie potrafiła uruchomić moja była żona.

– Super! Zazdroszczę panu.

– Pana też kiedyś tak zakręci. Widzę to po zainteresowaniu tematem.

– Mam nadzieję.

– A temat ten stoi przed każdym z nas, mężczyzn, w pewnym wieku.

– Wiem coś o tym.

– Nie lękajcie się... zakręcenia. Wtedy warto żyć.

Anin.

Wizyta w odnowionym Instytucie Kardiologii. Po remoncie pełna kultura! Drewniane drzwi w jasnym jesionie albo gruszy, wszystko przemodelowane, meble, okna, aparaturę sprawdzę, jak mnie tam, nie daj Boże, znów położą.

Na razie jest Euro, NATO i Europa razem z Japonią.

Pani docent przeczytała moją książkę. Chce mi zapisać leki na depresję.

– Ależ, pani docent, jest tam tyle zabawnych anegdot!

– Owszem, ale wyłazi pesymizm i niepokój.

W holu instytutu kupuję medyczne skarpetki bezuciskowe, niestety, w kolorze czarnym.

Powrót.

Wsiadam do taksówki innej korporacji.

Kierowca ogląda się, chwilę mnie obserwuje.

– Jest pan ezoterykiem?

– Nie.

– Ale nosi pan pierścionek Atlantów.

– Kupiłem go przypadkowo.

– Nie ma przypadków. Wszystko dzieje się według pewnego planu. Ja, na przykład, noszę obrączkę Om. Atlanta już mnie nie chroni. Za silny jestem. Om modli się za mnie.

Pokazuje obrączkę na palcu.

Rzucam adres.

Rusza.

– Taksówkarzem też jestem nieprzypadkowo. Chcę poznać jak najwięcej ludzi. Ale zaczynają mnie nudzić.

– Bardzo pana przepraszam.

– Zmienię niedługo pracę. Mogę leczyć. Ale wolę usuwać złą energię. Ja sam mam taką aurę, że niczego się nie boję. Jeżdżę po nocy z największymi bandytami albo zboczeńcami. Chyba rzucę taksówkę i będę walczyć ze złą aurą u ludzi. Ale to też może być nudne. Nie ma dziś ciekawych ludzi. Nawet złych. Miernota. Z wykształcenia jestem właściwie egzorcystą. Ale mało jest teraz tych przypadków. Tak jak mówi Benedykt XVI, papież – konsumpcjonizm niszczy wszystko. Brak duchowości. Dwadzieścia osiem złotych.

– Reszty nie trzeba.

Znany krytyk pisze, że bohater filmu woła żonę w izbie wytrzeźwień: Elu! Elu!... To jest tak, jakby Chrystus wzywał Boga: „Eli, Eli, lama sabachthani!", „Panie, czemuś mnie opuścił!". Co robić w takim świecie ocen i skojarzeń?

Jakaś baba mówi w telewizji, że wyrwali jej „transparment". A znowu rzecznik prasowy ministerstwa, że zagubione zarodki ludzkie można oskarżyć na podstawie ustawy o ochronie danych osobowych.

„Po co kręcić filmy, kiedy można to przeżywać naprawdę" – Greenaway.

– Czy mogę zwiedzić twój krajobraz...

– Nie – odpowiada kobieta młodemu mężczyźnie. – Twoje ciało jest za proste, za mało zużyte i przez to mniej interesujące. Wolałam twojego ojca.

„Orgazmy. Zamiast strachu przed sensem życia" – Woody Allen.

Mgła nad morzem. Gdzie są wszyscy? Sopot jeszcze przed sezonem. Pustka. W Spatifie jakiś lotnik z młodą dupą. Studiuje genetykę. Jest szansa, że spotkamy swój duplikat za parę lat, sklonowany z genów DNA, które można nawet wziąć z odcisku dłoni na kuflu od piwa. Przerażające, a może optymistyczne. Jeszcze raz spotkać Kobielę, Cybulskiego, Maklakiewicza.

Przypomina mi się wierszyk, który Gustaw Holoubek przy stoliku zarecytował, gdy zobaczył moje zdjęcie z Teneryfy na jachcie na tle błękitnego morza:

„Marynarzem chce mi się być!
Na wanty wchodzić, wypinać, przypinać
Cumować. Relingi zwijać, kotwice zrzucać, wciągać!".
I nagle pełen dramatyzmu okrzyk jak wołanie zbolałego serca:
„Dajcie mi szkuner do ręki!".

Szkunera nie dostałem, wróciłem do brudnych i nagrzanych ulic Śródmieścia.

Pewna pani zaczęła malować. Przebrała się za klowna z wczesnego okresu Picassa i mówi, że „tylko dobry człowiek może być dobrym artystą".

Żona jako kura domowa! Zaczęło się zwyczajnie. Najpierw drobne: ko...koo! A później pazurki. Jeszcze później: „Jajeczko ci zniosę". W kinie: „Poproszę bilety w środku, mogą być na dziesiątej grzędzie". Oglądanie filmów *Kura na wietrze, Uciekające kurczaki...* Każe mu piać jak kogutowi. Pierdolić jak kogut, waląc ją szczęką w tył głowy. Boi się ptasiej grypy. Zapada na nią. Prosi, żeby ją zabił i spalił.

Mąż oddaje żonę do zakładu dla psychicznie chorych. Stoi pod szpitalem rano i pieje, zanim pójdzie do pracy.

Żaden wielki pisarz nie wniósł do literatury wielkich odkrywczych idei. Wielka literatura polega tylko na języku, słowie i jego brzmieniu.

Umarł Stanisław Lem. Przestał „artykułować", jak grzecznie zawiadamiała o śmierci księżnej Jej Wysokość królowa w telegramach do koronowanych głów. To Firbank. Mój ukochany pisarz angielski, o którym mało kto wie. Pisał sztuki i powieści na kartkach pocztowych. Wersalikami. Jak go jakiś autor zapytał, co sądzi o jego powieści, po dłuższej chwili namysłu powiedział: „Lubię bardzo pana kursywę".

Reklama w telewizji powieści polskiego literata. „Bohater kłamie, oszukuje, mataczy, zabija, gwałci". Ma to zachęcić widzów do kupowania książki. Mają to na ekranie. Po co im powieść?

Seria molestowań. Prasa codziennie publikuje wspomnienia staruszek molestowanych w dzieciństwie. Zwykle robił to ktoś z rodziny. Ojciec, dziadek. Nikt nie wspomina o odwrotnej sytuacji. Na przykład d z i a d e k m o l e s t o w a n y. Chciałem zamieścić takie symulowane wspomnienia pod pseudonimem: Roman.

Zeznania dziadka Romana.

„Pewnego razu spałem sobie smacznie po wypiciu trzech piw i ćwiartki wódki Absolwent, nagle czuję, ktoś podnosi mi koszulę nocną i zarzuca na głowę. Zdrętwiałem. Czyjaś ręka wsuwa się w moje nieruszane od lat krocze. W prasie zwykle jest: „nienaruszona dotychczas dziewczęca niewinność". Chcę spojrzeć kto to, ale nic nie widzę. Czuje tylko, że to Emilka, moja ukochana wnuczka. Poznałem po zapachu perfum, które dostała na walentynki od jakiegoś nieznajomego starszego pana w parku, gdy byliśmy na spacerze".

Nie wydrukują.

W Radiu Maryja.

- Jak pan ma na imię?
- Proszę ojca, mógłbym nie mówić?
- Ale dlaczego?
- Nie powiem.
- Proszę pana, żadne imię nie hańbi.
- To trudno, powiem. Urban.
- Bardzo pięknie, jak papież Urban X.

Jest tak, że większość sztuk, filmów, historii, aby wzbudzić żal i trwogę, kończy się śmiercią bohatera, gdy ten odnosi właśnie kolosalny sukces w jakiejś dziedzinie: praca, twórczość, dzieło, talent, nowe dziecko, wynalazek... Wtedy wszyscy doznają czegoś w rodzaju bólu, dlaczego właśnie teraz, dlaczego nie wcześniej, później, ale właśnie w chwili triumfu okrutny los pozbawia go życia.

Do kurwy nędzy, a jak los pozbawia życia faceta, który nie ma talentu, sukcesu, żadnego wynalazku na swoim koncie, jest grafomanem albo leniem, wpada pod samochód przez nieuwagę, i nic nie napisał, co by było bestsellerem, niczego nie odkrył, co by było światową sensacją, nie nakręcił *Śniadania u Tiffany'ego,* to co?

Niewart jest łzy?

Rachunek.

Mieszkanie po zmarłym kuzynie do oddania urzędowi. Ostatni rzut na pozostałości.

Jakieś resztki biednych zapasów. Ubrania w szafie. Stary czarno-biały telewizor, na stole resztki niewykorzystanych pastylek na gardło. Jakby na to umarł. Posłane świeżo łóżko pod ścianą oklejoną grubą tekturą, aby się chronić przed odgłosami zza ściany.

Okna na widok szpitala Bonifratrów. Zasłonięte do połowy. I książki, sterty książek. Może chce pan coś wziąć? Nie. Ale przeglądam, zakurzony po łokcie. Dwie grupy, można to tak podzielić: książki o duszy i o ciele.

Arystoteles obok choroby nerek. Nietzsche i zapalenie oskrzeli, dramat starożytny i astma, Szekspir i ziołolecznictwo, Pismo Święte na drugiej półce obok *Atlasu kostnego człowieka,* Parkinson - początki, leży na *Końcówce* Becketta... itd.

Gdy go odwiedzałem, zwykle siedział przy stole z otwartym słownikiem niemiecko-polskim, grubym jak jubileuszowe wydanie Biblii. Uczył się niemieckiego. Ale tylko słówek. „Jestem już przy *moglich, unmoglich".*

„A na chuj ci to?". „A co mam robić? Nauczyłem się słówek angielskich, teraz wziąłem się do niemieckich". Opasły słownik leży ciągle na stole, otwarty na literze R... Mimo choroby posunął się do przodu. Do słowa: *Die Rechnung* - rachunek.

Już zapłacił.

Od lat nie ruszał się poza dzielnicę, w której mieszkał. Nigdzie nie wyjeżdżał, nawet poza miasto, nie mówiąc o kraju. I nagle na dolnej półce: *Rozmówki polsko-holenderskie.* Skąd? Dlaczego? *Rozmówki polsko-holenderskie?* Spotkał jakiegoś Holendra? Holenderkę? Chciał tam jechać? Rembrandta zobaczyć? Czerwone latarnie skonsumować? Nie mam pojęcia.

Tę jedną zakurzoną książeczkę zabrałem. Rozmówki... w języku, który jest mi najdalszy. Jeszcze do niej nie zajrzałem.

Ale śniło mi się już, że jestem w Holandii i trzymam w ręku tę maleńką jasnoniebieską książeczkę wydaną w PRL-u w serii właśnie rozmówek. To zamiast możliwości wyjazdu za granicę. Kto jeździł wtedy do Holandii? I po co? Historyk sztuki, żeby odwiedzić Rijsk Museum. I zobaczyć na własne oczy *Nocną wartę.* Może on też o tym marzył?

We śnie rozmawiam swobodnie po holendersku z dziewczyną z filmu *Dziewczyna z perłą.*

- *Kunt u mij de weg op de kaart aanduiden?*
- *Wie bent ut?*
- *Ik kom uit Polen.*

Festiwal Filmowy w Wenecji. Nagroda specjalna dla Skolimowskiego. Niektóre włoskie gazety nazywają go „weteranem".

To przerażające. Yurek w e t e r a n e m?! Nie ma na to zgody! Nie przyjmuję tego do wiadomości. Jest młodszy ode mnie tylko cztery lata, może sześć...

Koncert Solidarności w rocznicę.

Ostatni akcent po półgodzinnej orgii sztucznych ogni nad Stocznią Gdańską.

Jakby występ na grobie w rozbłyskach kolorowych świateł.

I ciemność.

W telewizji natychmiast po zakończeniu transmisji, bez sekundy przerwy, pojawia się aktorka popularnego serialu z reklamowym tekstem: „Resztki jedzenia, które często gromadzą się pod protezą, skutecznie usuwamy dzięki paście...".

Parter.

Kiedy l i c z y m y, wynik jest nieprzewidywalny. W wypadku o d l i c z a n i a, wynik jest z góry przewidziany. Trochę jak w życiu. Nie wiadomo tylko kiedy los zaczyna swoje końcowe... dziesięć... dziewięć, osiem, siedem... i nul!

Ulica Wiejska nasłoneczniona, pustawa, wakacyjna . Wejście do budynku, gdzie mieści się klub Czytelnika otwarte jak zwykle, ale schody na dół zasłonięte i zakneblowane jakimiś łańcuchami.

Napis: „Przerwa wakacyjna".

Cofam się. Zawsze jestem zaskoczony, że klub już zamknięty. Oni też potrzebują wytchnienia od wołania na całą salę: „Pierogi do odebrania", "Gołąbki!", „Mała szczawiowa". A zresztą nie o to chodzi, bez dań na gorąco można się obejść, ale stolik! Co ze stolikiem? Jest w tym samym miejscu? Czeka? Gdzie podział się Henryk?

Stoję na ulicy bezradny. Budka z gazetami. Już nie ma znaczenia, co kupię i czym będę drażnił tych przy stoliku. Czy to będzie „Rzepa, „czy ‚Wyborcza".

Ulica Frascati wolna od samochodów. Przed kancelarią prezydenta też bezruch.

W szybie księgarni szczerzą zęby kolejne portrety na okładkach biografii, wspomnień, dzienników i wywiadów-rzek. Ja też tam jestem, utknięty między poważnymi dziełami, zasłonięty popularnymi Grocholami.
„Znieznaczniony" nawet przez sprzedawczynie księgarni.

Właścicielka czy kierowniczka natomiast bardzo życzliwa. O delikatnej urodzie, przypuszczalnie najpierw namiętnie c z y t a j ą c a, a potem s p r z e d a j ą c a książki. Zwiewna i krucha muza autorów.

Obok sklep z zegarkami. Marzę o jednym z nich. Ale do niego trzeba mieć najpierw jacht. Zegarek Ulisses Nardine. Ma wszystko, żeby w podróży dookoła świata nie tracić czasu.

Naprzeciwko księgarni w dawnym sklepie Janka Pietrzaka już trzeci raz się przebranżawiają. Teraz jest tam wytworny butik męski, szyjący na miarę... O tyle wygodny i przyjazny, że nie trzeba jeździć do miary do głównego krawca firmy, do Rzymu. On wysyła czeladnika do Warszawy i ten bierze miarę. Duże udogodnienie. Nie to co Ermenegildo Zegna na placu Trzech Krzyży...

Redakcja „Twórczości" w podwórzu. Nie lubię ich twórczości. Może dlatego, że pamiętam jeszcze, kiedy ten miesięcznik redagował Jarosław Iwaszkiewicz? Dzisiaj rządzą tam pomniejsi pisarze.

Upał wakacyjny, miasto wyludnione, wysłonecznione. Po miesiącu przerwy co będzie? Czy Henio jest w formie? Wszystko toczy się tak szybko. Czy Głowa wyda wreszcie swoją książkę w trzynastu językach

zagranicznych? Czy Kutz zacznie reżyserować film, a ja u niego zagram pisowca, a może większą rolę kochającego inaczej starszego pana? To mi proponował. Będzie wreszcie kręcić, bo mu się to należy, nie po to pracował nad ustawą medialną, aby nie kręcić.

Czy ksiądz L. wyspowiada prezydenta Rzeczypospolitej i da mu rozgrzeszenie, mimo że zna go dwadzieścia pięć lat? I czy nie będzie to kumoterstwo albo nielegalny lobbing, albo jeszcze gorzej: afera hazardowa, tylko na terenie religijnym, duchowym?

Słońce, słońce... Spacer po mieście napawa optymizmem. Jest pięknie! Chociaż ostatni wielcy artyści umarli jakieś sto, dwieście lat temu. Jak mówi Marlon Brando. Z każdej dziedziny, nawet z filmu i telewizji, której wtedy jeszcze nie było.

Tak mi się wydaje.

**

Znów jesień. Myślałem już, że życie mi zszarzało. Nie! Będzie tak do końca. Eventy. Eventy bez końca.

Piszę coraz krótszymi zdaniami, jakby w obawie, że nie zdążę.

Będę pisał tak, jak się wysyła esemesy albo maile.

Nie ma czasu czytać, nie ma czasu pisać.

Za szybko wszystko leci.

Człowiek wygrywa z naturą! – oznajmia jeden z dziennikarzy telewizyjnych. Zasypanych górników wyciągają po kolei. Cały świat patrzy na Chile. Czekają rodziny. Ale też i kochanki.

W Polsce 18 mężczyzn ginie w wypadku samochodowym. Jechali na zbiór jabłek. Nikt nie mówi, że dlatego napchali ich do furgonetki, że taniej. Bezrobocie. Kapitalizm.

Kapitalizm – słowo dzisiaj zakazane w publicystyce.

Ostatnio wypowiadał je pulicznie w Polsce rodzony brat Gesslerowej. Socjalista.

Siostra ma kilka dobrze prosperujących knajp w Warszawie.
Wybitni socjaliści zawsze rekrutowali się z zamożnych rodzin.

Ciągłe wałkowanie Smoleńska.

Zabierają ulgi podatkowe dla artystów.
Dziennikarzom „słusznym" może odpuszczą.
Albo w ogóle w darze artystom nie wprowadzą i trzeba być wdzięcznym do końca... roku obliczeniowego.

Budżet. Cała Europa tnie.

Zegar Balcerowicza pokazuje zadłużenie Polski. Nasze dzieci mają płacić... A chuj mnie to obchodzi, dzieci, wnuki, prawnuki... Tak myśli każdy Polak. Za Gierka też straszyli długami i co?
Gówno!

– Muszę wymienić mercedesa sportowego na limuzynę i wynająć szofera, bo niedługo zabiorą mi prawo jazdy – martwi się znajomy po siedemdziesiątce.

Jak zrzucić brzuch?
Bieganie?
Gdzie?
Kupiłem nordic walking.
Wstydzę się chodzić po Warszawie jak emeryt.

Konkurs Chopinowski zajął nasze mózgi i uszy. Polak z Torunia albo Bydgoszczy gra tak, że czujemy tę muzykę, Polskę, coś ściska za gardło, ale i każe myśleć o tym, jak grał to Chopin w paryskim salonie, gdy państwo gadali albo drzemali w fotelach lub myśleli o mamonie i kochankach oraz wydatkach na pałace i służbę.

Bułgar Bożanow gra jak przypuszczalnie grało się w dziewiętnastym wieku... Teatr dodaje do muzyki, miny, gesty, zamykanie i otwieranie

oczu, czasami jednego oka, drugiego, prężenie sylwetki i patrzenie prosto w twarz widowni.

Ktoś powiedział, że to kicz, drugi, że geniusz.

Ale wali w klawiaturę, jakby ujeżdżał dzikiego konia na rodeo w Teksasie.

Panuje i gwałci instrument.

Steinway jest nam najbliższy, Bożanow gra na yamasze, Francuz na włoskiej pianoli. Każdy instrument daje inne możliwości i może należałoby do każdego utworu zmieniać instrument. Pianista mógłby się przesiadać w trakcie konkursu.

Ale jeżeli nie zabiera się do tej muzyki prawdziwy artysta, to wszystko nudzi i wlecze się jak dymy i mgła z mazowieckich ściernisk. Nuda, nuda, nuda... Ile razy to przerabialiśmy.

Nagrody.

Nagradzają jakąś kobitę. Ma dobrą linię bioder, gdy siedzi przy fortepianie. Nudzi. Podobno jurorzy wycinają tych, co mogą im zagrozić na trasach koncertowych.

Bułgar, wściekły, nie odebrał czwartej nagrody.

Popełniłem pewien błąd. Wiedziałem, że sławni ludzie mają pieniądze, popularność i wiele kobiet. Chciałem być taki jak oni. Zacząłem od kobiet...

Nie chcę już więcej pisać scenariuszy filmowych. Co rusz przypominam sobie to, co napisałem. Już nigdy tego nie zrealizuję. To jest prawdziwa klęska. Gdy już nie możesz niczego odłożyć na później!

Zasypani górnicy wynajęli księgowego, żeby równo rozdzielać kasę z pamiętników, wspomnień i wywiadów, które będą sprzedawać tym, co nie tkwili nigdy w zasypanym górniczym chodniku.

Kupiłem trzy marynarki.

Young Fashion Philosophy.

Mimo to wystaje mi brzuch.
Dieta, dieta, dieta!

Lepiej zagrać w dobrej reklamówce w telewizji niż w złym filmie polskim w kinie.

Wszystkie propozycje grania jako aktor rozwiały się we mgle.
Kutz zrezygnował z kręcenia filmów, gdzie miałem kreować kogoś ważnego PIS-u (?). Co to za historia?

Jedziemy do Berlina na trzy dni.

W co się ubrać?
Gorąco, zimno.
Tak samo jak u nas?
Pogoda.
Słoneczna.
Tłum na dworcu jak skurwysyn. Wszyscy do Berlina?
W całym pociągu były tylko dwa miejsca. W pierwszej klasie jacyś chyba handlarze, walizki, torby, ale grzeczni. Pomagają mi włożyć ciężką walizkę na półkę.
Taki tłok w pociągu, że z przyjaciółką w dwóch osobnych wagonach.
W restauracyjnym pełno ludzi bez biletów.

Piękna pogoda, pociąg łagodnie rusza, płyniemy... Niestety, kupiłem gazety.
Jeszcze się zatruwam wiadomościami przy jedzeniu.
Precz! Ale czytam o Osieckiej i jej miłości do Przybory.
Znałem ich oboje. Nie chcę się wypowiadać.
Ona w ciągłej ucieczce od „szlachetnego" do „bandyty".
Daje mi to do myślenia. A ja od kogo uciekam?

Byłem jej bliskim znajomym, gdy żyła z „bandytą".

Wynajmowali ode mnie mieszkanie na ul. Franciszkańskiej naprzeciwko ambasady chińskiej.

Pisałem już o tym. Ale piszę jeszcze raz. Metoda Andrzeja Żuławskiego.

Wojtek F., gdy wyjeżdżałem do Stanów, poprosił mnie, żebym zostawił mu mieszkanie dla niego i Agnieszki. Po ślubie nie mieli gdzie mieszkać. Nie było ono szczęśliwe dla młodej pary. Znów ucieczka poetessy. Tym razem nie wytrzymała bankietów, pijaństwa i rozrabiania kolegów i znajomych „bandyty". A podobno też seks nie najlepszy... jakże inny od seksu z subtelnym pisarzem, twórcą Kabaretu Starszych Panów. Brutalny, krótki i bez całowania w ucho, co tak podniecało Jeremiego. Może i przy kolegach.

Ciekawe, że żadne biografki poetessy Osieckiej nie wspominają o Wojtku F, jej legalnym mężu. Nie pasuje do bajki o Agnieszce.

Istnieje drugi obieg w Polsce tych niehołubionych i reszty. Mają swoje podziemie. Nigdy się nie da do końca zetrzeć tych spoza „towarzystwa". Gdzieś coś wyrasta i pleni się bez kontroli „inżynierów dusz", nie pozamyka się wszystkich oczek. Zawsze ktoś się przedrze z niepowołanych. Nawet filmowcy grzebią gdzieś w starych zapomnianych przez krytykę filmach odżegnywanych od czci i wiary. Zakładają jakieś pseudozespoły... stowarzyszenia...

Wracam do przedziału. Okazuje się, że to nie handlarze, ale jacyś ludzie, którzy wracają z zagranicznej wycieczki. Wysiadają w Poznaniu.

Przedział pustoszeje.

Wchodzi Niemiec. Twarz szczera, szeroka, mógłby być żandarmem w mundurze i zażądać Ausweisu. Jak głęboko siedzą w nas te uprzedzenia i skojarzenia. „Żandarm" pomaga innym umieszczać walizki na półkach. Grzeczny i usłużny. Za wszystko dziękuje.

Siada, mówi, że jedzie z pogrzebu cioci. Miała dziewięćdziesiąt trzy lata. Nie ma bólu, dlatego żartuje i śpiewa pod nosem. – Nie można tu palić? Schade! Pytam, co można przywieźć z Berlina na sprzedaż w Polsce. Wszystko droższe z wyjątkiem... Przeliczają na kufle piwa.

Po tym Niemiec przepytuje każdego z nas, kto jest spod jakiego znaku. Ja opanowuję po niemiecku znaki zodiaku. Okazuje się, że ja jestem Widder. Dwa „dd".

Przekraczamy Odrę.

Boże, ile skojarzeń! Gomółka, walka o granicę na Odrze i Nysie... Niemcy chcieli wrócić i zabrać nam to, co dał nam w prezencie Stalin. A zabrał co innego. Łukaszenkę i Janukowycza, i Ostrą Bramę.

Stacja przed granicą. Onegdaj rzeźnia celników na polskich turystach w jedną i drugą stronę. *Zigaretten nach Berlin...* fortuny handlarzy... polska klasa średnia, kantory Grobelnego... Teraz spokój, puste perony, pociąg gładko przepływa Odrę. Europa!

Architektura germańska po jednej i drugiej stronie. Kreską na mapie nie zmienia się wyglądu świata. Ludzi można przerzucić z jednego krańca świata w drugi. Nas tak przerzucano, Niemców, Tatarów, a nawet Murzynów przez Wyspy Zielonego Przylądka z Afryki do Stanów.

Już Niemcy. Germania.

Konduktor łapie znajomą, że siedzi w pierwszej klasie, a nie w drugiej. Mówi, że tylko na chwilę, niestety, Niemiec jest twardy. Znajoma wściekła na Szwaba płaci karę.

Za oknem pociągu lasy i lasy... Ale to nie to, co na południu Niemiec, gdzie schowano pierścień Nibelunga. Tam drzewa pomniki, tu sosny... Kojarzy mi się z bunkrami zbudowanymi w Niemczech dla ukrycia baz wojskowych podczas ataku na Berlin.

Ciekawy jestem, jak się wjeżdża do miasta. Do Warszawy w sposób idiotyczny. Nie wiadomo kiedy wysiadamy na Marszałkowskiej.

Patrzę.

Niemiec mówi, że jesteśmy już w Berlnie. A tu wkoło lasy.

Przedmieścia. Małe domki, ale i te sterczące, bez wyrazu, szpiczaste, ścięte dachy. Małe, ale kilkupiętrowe. Jakby podniesione parterowe,

pomnożone. Brzydkie.

Baraki pomazane muralami. Wspólna w Europie plaga. Nagle jakaś ulica przeleciała w dole.

Dojazdowa kolejka miejska z dawnych czasów. Parowozik i wagoniki.

Coraz więcej budynków ze szpiczastymi dachami.

Czysto i pusto na peronach okolicznych stacyjek.

Dużo torów. Zajezdnie. Kominy, puste wagony. Setki wagonów przygotowanych do jazdy przez Europę.

Za chwilę Ost Berlin.

Wielkie, brudne domy z muralami. Pocieszające.

I nagle przestrzenie zapchane samochodami.

I ponura hala Ost Bahnhof. Smutno. Szaro. Dawna DDR.

Mijamy ekspres do Warszawy. Drang nach Osten.

Wreszcie Hauptbahnhof!

Wielki, wspaniały dworzec tak nowoczesny, że jak przyszły wichury, to o mało go nie przewróciło.

***

G. czeka na dworcu.

Bliźniak Wojtka. Wysoki, przystojny.

Samochód, jedziemy do hotelu.

Niedrogo. Nazywa się motel, mimo że normalny hotel. Mniejsze podatki.

Wieczorem spacer po słynnym Ku'dammie. Chcę zobaczyć ten kościół, który pamiętam z dawnych lat. Zasłania go teraz wieżowiec. Wreszcie jest. W wiecznej renowacji, ale stoi wspaniały jak memento mori. Jak się uchował przed katiuszami?

Kościół otwarty tylko do osiemnastej.

Obok polskie pierożki i kapusta w budce, jak na bazarze Różyckiego.

Pierwsze wrażenie. Wypełnianie pustych po wojnie miejsc nowoczesnymi budynkami, które już w chwili budowania stawały sie

nienowoczesne.

Sklepy, sklepy, magazyny... i w środku stacja metra pewnie jeszcze z czasów Hitlera, a może nawet wcześniej... Jakby znajoma ze starych filmów dziejących się w Berlinie. Szukam tego, co mam gdzieś głęboko ukryte w wyobraźni na temat tego miasta.

Nie jeździłem tu *Zigaretten nach Berlin.* Nie.

Hotel.

Nowocześnie oszczędny. Nawet szafy nie ma. Ani mydła.

Idziemy do włoskiej knajpy. Tłok, siedzimy w przeciągu.

- Jak to się stało, Grzesiu, że wyjechałeś z Polski?
- Przez Wałęsę.
- Tylu ludzi przez Jaruzelskiego? A ty?
- Pracowałem u Lecha. Nie wytrzymałem.

Poniedziałek. Pogoda piękna.

Brama Brandenburska.

Cmentarz monument żydowski.

Ustawiamy się w kolejce na wycieczkę po Berlinie Free Reise.

Trzy godziny.

Za darmo! Okazuje się, że na piechotę. Rezygnujemy.

Za 15 euro autobusem dwa razy po Berlinie. Znamy wszystko na pamięć.

Dyskretnie pytamy o wystawę Ein Volk... ein Reich... ein Führer.

Przewodniczka z autobusu szeptem odpowiada, że to jest jedynie drobna część Muzeum Historycznego.

Wieczorem szukamy teatru.

Jedyny najbliższy teatr otwarty w niedzielę to teatr Beaty Uze.

Tam zwiedzamy i oglądamy pokaźnych rozmiarów rekwizyty seksualne, chcemy coś przeżyć.

Dawniej panienka nago tańczyła w Peep Shopie na żywo, a teraz ekrany, komputery, możesz cofnąć, zatrzymać, powtarzać, przyglądać się w zbliżeniu organom męskim i żeńskim do woli.

Przez swoją nieporadność w doświadczeniu elektronicznym wyłączam centralny komputer całego tego gigantycznego kompleksu.

Awaria.

Wszystko gaśnie, łącznie z muzeum.

Do wściekłego Turka:

- Myślałem, że to będzie o miłości, a tu tylko pierdolenie.

- Nigdzie nie dostanie pan miłości za dwa euro.

Wychodzimy.

Wtorek.

Pogoda bomba!

Autobus 100 dojeżdża do uniwersytetu Humboldta.

Jest ich dwóch.

Pośrodku Unter den Linden Fryderyk Wielki, król apoliński sztuk wszelkich.

W środku studenci.

- Ile lat trzeba mieć, aby tu studiować?

- Nie ma ograniczeń.

W olbrzymim holu sprzedają bilety teatralne.

- Czy jest jakieś przedstawienie bez golizny i seksu?

Długo szukają.

- Jest. Rozbiera się jedna pani, ale zostaje w biustonoszu i majtkach.

Dostajemy szereg ulotek buntowniczych. Bierzemy.

Muzeum Historyczne.

Bilety po sześć „ojro", jak mówią tutejsi świeżo upieczeni berlińczycy. Kilkuset ludzi w kolejce na ekspozycję o Hitlerze. Starym chwytem kolejkowicza polskiego, udając rozmowę, idziemy do przodu. Swobodnie rozmawiając, wchodzimy na przód kolejki, rewiduje nas ochrona i już jesteśmy w domu.

Zaoszczędziliśmy kilka godzin czekania. Berlińczycy tłumnie przychodzą na tę wystawę. Z pewnym wykręcaniem kota ogonem,

organizatorzy tłumaczą nam, po co jest ta wystawa.

Zwiedzam, znam to wszystko z albumów, starych kronik, polskich filmów, prasy i własnych doświadczeń. Obok zdjęć z Auschwitz ekran z zabawnym Chaplinem i jego filmem *Dyktator.* Może dla rozładowania nastroju obozowego. Niemcy śmieją się głośno i serdecznie.

Na końcu cytat z Wagnera: „Wie Hagen den Schatz der Nibelungen im Rhein versenken liess".

Potem jeszcze historia Niemiec 1918 – do teraz.

Dużo się pamięta.

Dzwonię do znajomego, który włada niemieckim. Tłumaczy, że jak skarb Nibelungów utopiony w Renie leży tam jakoby Hitler. Ale okazuje się, że Hagen to nie czasownik, ale bohater sagi, który schował skarb Nibelungów w Renie, uprzednio zabijając Zygfryda.

A może to jednak Hitler?

Wracamy z Berlina.

W polskiej gazecie. „Chciał zabić Kaczyńskiego!".

Nowa sprawa.

– Gdy patrzę na naszego Tuska, to widzę diabła.

Piszą, że katastrofie w Smoleńsku winny jest Palikot i Kaczyński.

„Konduktorze łaskawy, zawieź nas... byle nie do Warszawy".

Niestety, życie to nie piosenka.

W pociągu naprzeciwko mnie siedzi papież Benedykt XVI, dawniej Ratzinger Josef. Kobieta w jego wieku. Wypisz wymaluj on. Rzuca spojrzenia na boki, buzia w ciup i ma taką jakąś słodycz w sobie.

Co się zdarzyło podczas podróży do domu?

Nic.

Nagle Centralny, w remoncie.

Zaduszki.

W Polsce Dzień Zmarłych.

Zewsząd otaczają nas nieboszczycy. Tylu ich zmarło w tym roku. Są wszędzie: na ekranie telewizora, w filmach, w rozmowach, wspominkach. Walą nam się na głowę, atakują z gazet, zaglądają przez okna, czekają na ulicy. Zasypują swoją obecnością, mimo że ich nie ma, a przy tym jakieś fałszywe oceny, charakterystyki, opinie. Nawet ja, złapany na pięć minut przez kamerę, pieprzę coś bez sensu. Jeszcze raz wszystko przemacerowane przez maszynę medialną. I na końcu raporty, ilu zginęło podczas żałobnego weekendu na polskich drogach.

Wróciłem samochodem szczęśliwie do domu z tego festiwalu nieboszczyków, do końca zniesmaczony kiczem ozdóbek na zniczach i wazonach na grobach. Gigantyczny atak kiczu cmentarnego! Tu się zaczyna klęska kultury polskiej, w końcówce życia po życiu. Doszedł też handel. Ponury Turek z kożuszkami przed bramą cmentarną. Obok golonki i ziemniaki pieczone.

Cyganie rozkładają na marmurowych płytach kanapki, mięso, ogórki i stawiają dumnie butelki z wódką. Nie obcyndalają się. Chcą być ze zmarłym na normalnie.

Nagle na TVP Kultura jakiś film: w kadrze sześciu aktorów. Wszyscy też już nie żyją.

Potem film o Kaszpirowskim.

Telepsychoza - Kaszpirowski.

Biznes?

W Polsce widzieliśmy tylko część działalności Kaszpirowskiego.

Teraz pokazują zdumiewające wypadki.

Nam w Polsce serwowano tylko zasypianie.

Patrzył bez mrugnięcia okiem.

Raz mrugnął i wyleczył z zaćmy dziesiątki osób.

Chwila wyznań. Występują uzdrowieni.

Przewraca przez dotknięcie w czoło całe tłumy. Kładą się pokotem na estradzie.

Ale też pojawiały się inne choroby. Po masowych seansach.

Jestem silny jak diabeł! – powiedział, i wtedy popi wystąpili przeciwko niemu.

Wykończyli go.

Próbuję palnąć w czoło moją znajomą, tak jak robił to Kaszpirowski, ale się nie przewraca.

Oddaje mi ciosem w tył głowy.

Padam.

Kaszpirowski występował u nas w Teatrze Muzycznym w Gdyni, gdy mu zabronili u siebie w Rosji. Potem piliśmy wódkę w moim gabinecie z Danutą Wałęsową. Mam zdjęcia.

Dzięki niemu pojawiło się nowe słowo w Związku Radzieckim: psychoterapeuta.

Podobno w ten sposób przygotowywał Gorbaczow pierestrojkę.

U nas walka Kościoła z Halloween.

W dyskotekach aniołowie przegrywają w wyścigu o życie pozagrobowe z barmanami.

For sure!

W bibliotece w Radziejowicach chwyciłem dwa tomy Hercena. Ucieczka w dziewiętnasty wiek. Taki smutny czas. Chociaż Hercen zawsze kojarzył mi się z nudą, jest bardzo zabawny w swoich anegdotach o Rosji. Opowiada o wizycie Humboldta, jednego z braci, którzy siedzą na postumentach w Berlinie przed uniwersytetem na Unter den Linden. Witała go cała śmietanka rosyjska z carem na czele w strojach paradnych, a niemiecki uczony wszedł na salę w kusym fraczku i zbaraniał na widok dostojników ze szpadami przy boku obsypanych orderami i wstęgami przez ramię. Odczytano wiersz na jego cześć:

Humboldt, Prométhée de nos jours!

Hercen mówi, że od wieków instynkt aprobaty Zachodu decydował o samopoczuciu Rosjanina. Do dzisiaj.

Liszt był przyjmowany podobnie. Wszyscy słuchali tylko Liszta, mówili tylko z nim, odpowiadali tylko jemu. Hercen pamięta, że na jednym z takich wieczorów z Lisztem gospodarz domu poprosił go, żeby zaczął dyskusję o czymś innym, chciał, żeby Liszt zobaczył, że są w pokoju ludzie, którzy zajęci są nie tylko nim.

Pewien minister zadziwiał wszystkich znajomością języków i mieszaniną posiadanych wiadomości. Nosił w kieszeni list Goethego, w którym ten tak go komplementował: „Niepotrzebnie przeprasza mnie pan za swój styl; osiągnął pan to, czego ja osiągnąć nie mogłem - zapomniał pan niemieckiej gramatyki".

A propos wizyty Liszta, pamiętam taki wieczór, na który zaproszono polskich filmowców z okazji przyjazdu Antonioniego. Stał on pod ścianą sam, bo każdy załatwiał jakieś biznesy, nie interesując się zupełnie sławą kina światowego. Chociaż był tam i Wajda, i Zanussi, i Hoffman, i Morgenstern z żoną Krysią, gospodarz z błaganiem w oku poprosił mnie, nic nie-znaczącego w kinematografii światowej, abym porozmawiał chociaż chwilę z Antonionim.

Zapytałem go, na jak długo przyjechał i kiedy wyjeżdża.

U Pujszy.

W Pujszanach

Młoda kobieta.

- Co robisz rano? - pytam.

- Wstaję. Biorę soki, suplementy i medytuję. Potem kąpiel i praca.

- Gdzie pracujesz?

- Odchudzam. Za pieniądze. Jestem lekarzem, moja specjalność to medycyna przeciwstarzeniowa (!). Mam na imię Patrycja. A ty jak się wabisz?

Odpowiadam.

Jubileusz telewizyjnej Dwójki.

Dawno nie widziałem tylu ludzi razem, udających, że się kochają.

Doda w szarych majtkach, jakby dragon rozbierał się do snu w kazamatach wojskowych. Chodzi po scenie też jak dragon. Pomysły zachodnie przez jakiegoś szmirusa nasłane. A jednocześnie dramat chorego przyjaciela, kochanka, umiłowanego... To nie zwykły show-biznes, to los.

Wiśniewski ze śpiewaczką operową udaje Freddiego Merkurego.

Rodowicz z *Balem.* Dobry tekst Osieckiej.

Wszystko dobre, co porusza przemijanie... To mi się teraz podoba (?).

Kurwa!

„Mój piękny panie... i powiozą mnie windą do nieba".

Niedziela.

Obiad u Roberta Korzeniowskiego. Chodziarza. Złotego medalisty.

Sportowca.

Świetne jedzenie, duża kultura małżonki. Inteligentna, śmieszka.

W ciąży.

Pytam gospodarza.

– Myślałem, że mi coś poradzisz w sprawie brzucha, jak zlikwidować, a ty tu odwrotnie, produkujesz brzuchy.

Ciekawy życiorys Roberta.

– Jak się dochodzi do tego, że się tak chodzi?

U nich stare przedwojenne mieszkanie.

Za oknem widok na ulicę Raszyńską. Znów wspomnienia. Apteka na Filtrowej. Okupacja. Przyczepiony za cieżarówką wojskową, pędzę na łyżwach po zamarzniętej jezdni. Wpadam na szyny kolejki EKD, przelatuję, sypiąc iskrami, i ląduję twarzą w zaspie śnieżnej na chodniku.

Od siebia nie ujdiosz.

Skierniewice.

Mój pierwszy wieczór autorski.

Na chwilę wychodzę do toalety i przypadkowo zostaję zamknięty, dobijam się do wyjścia, bo czekają widzowie, a za szybą jakiś wariat. Stroi do mnie miny. Błagam, żeby kogoś zawiadomił, on woła portiera, ale ten wie, że to wariat. Nie wierzy. Siedzę, bezwolny w rękach losu. Na widowni poruszenie, oklaski, żeby się zaczęło, a ja nie wychodzę. Wariat życzliwy, chce pomóc, ale też bezsilny.

Choć wariat.

Nic dzisiaj nie jest wyróżnieniem.

Wreszcie ktoś mnie wypuszcza z zamknięcia.

Opowiadam o tym śmiesznym zdarzeniu na sali.

Nie śmieją się.

Wstyd im.

Na słupie ogłoszeniowym:

„Zemsta Futrzaków! Natura pokazuje pazura!".

Znów ubogacony przy stoliku, zjadłem befsztyk. *Essential Killing,* można powiedzieć.

Śmiertelny wypadek drogowy. Kierowca dead. Jego GPS: „Dotarłeś do celu!... Dotarłeś do celu!... Dotarłeś...".

Przy stoliku pytam, jak się przygotowują do „siedemdziesiątnicy" Smoleńska. Nie wiedzą nawet, co to znaczy! Lubię zasypywać ich takimi nowotworami.

Kłótnia z koleżanką Krysi Paryżanki o dzisiejsze dziennikarstwo. „Urodziłam się na Bałutach, po wojnie. Nie tak jak pan". Czy to moja wina, że w Warszawie i przed wojną. „Siedziałam, mając osiemnaście lat". Nie siedziałem, mając nawet siedemdziesiąt. Trudno. Już mnie chyba nie zamkną.

Tylko w trumnie.

Chciałem uciekać od polityki. A tu pogrzeb w Łodzi. Komorowski zapewnia, że nie będzie gonił Kaczyńskiego, aby mu podać rękę.

Z przyjemnością czekam na to, co się będzie działo.

Na razie każda opcja, partia, „kanapa" wydala deklarację języka zgody i pojednania bez agresji.

Pogrzeb. Taniec pt. „Przekażmy sobie znak pokoju". Język nienawiści w pantomimie.

Wieczór wspomnień w Domu Księgarza. KTT. Tysiąc anegdot, które miałem, a zapomniałem. Wszystkie. Coś bełkotałem, ale za jedną wypowiedź dostałem brawka. „Nie to, że boję się śmierci, ale nie chcę być przy niej obecny" - Woody Allen.

Krysia Morgenstern zachęca do czytania ‚VIVY", jest tam reportaż o nich na siedem stron.

- Nigdy o tobie nie będzie tyle w kolorowym magazynie.
- Nigdy.

Były minister kultury Tejchma:

- Nigdy nie mieliśmy okazji się spotkać.
- Nigdy.

Później wieczór u wdowy. Zabawnie, ale smutno, że tak mało o Nieboszczyku.

W Czytelniku.

Krysia Paryżanka wróciła z Armenii.

Stawia butelkę kalifornijskiego wina. Henryk coraz bardziej pijany. Nie wie, gdzie jest. Ksiądz L. stawia drugą, uciekam...

Wojewódzki i Michnik na ekranie. Michnik dzieli Polskę na demokratyczną i nie. Wojewódzki chce, żeby Michnik był wreszcie Michnikiem.

Ten zeznaje, że jest niepełnosprawny.

Wojewódzki pełnosprawny.

Michnik nie ogląda TV.

Wojewódzki go pyta, czy ogląda Tomasza Lisa.

Go chwali.

Czy ogląda Majewskiego?

Te ż.

Kłamie! Bo Lis i Majewski są nadawani o tej samej godzinie!

Zyskali obaj.

Błyskotliwa rozmowa. Wojewódzki zmierza do bycia sumieniem narodu w pop kulturze.

Rzeczywiście, nie ma na horyzoncie nikogo innego.

Stare sumienia się wytarły.

Przy stoliku recenzje ze spotkania znajomych zmarłej Eli Czyżewskiej w Och-Teatrze.

Zeznawali wybitni. Śpiewał Łazuka, piosenkę z ich wspólnego filmu.

Kazio Kutz podobno zaświadczał, że w toalecie na festiwalu w Wenecji nie posiadł nieboszczki fizycznie.

Głowacki, nawiązując do Eli Czyżewskiej, opowiada, że miała psa o imieniu Halinka i kiedy wychodził od niej w Nowym Jorku nad ranem, nieboszczka poszczuła miłośnika okrzykiem: „Halinka! Bierz go!". I wcale nie żartowała.

Głowa ledwo uszedł z życiem.

Dopada nas jakiś facet i mówi, że zrobił widowisko „Chopin grany przez plemiona etnograficzne". Zaprasza.

Dyskusja o obcięciu dodatku pogrzebowego przez rząd. Narzekania, że teraz będą chować w butach z papieru, garniturach z papieru i w papierowych trumnach. I wszyscy do wspólnej mogiły, żeby się zmieścić w tym limicie PZU.

Ktoś proponuje, aby zrobić wspólną mogiłę z bywalców stolikowych. Henryk Bereza na pytanie, z kim chciałby leżeć, mówi, że ze mną. - Ja do Holoubka już się nie doklepię. Pochowany osobno - kończy smutno.

Andrzej F. ofiarowuje się z pomnikiem w formie stolikokrzyża. Nie wiadomo, czy kuria pozwoli księdzu L. leżeć z niewierzącymi. Janusz

Kondratiuk nie wierzy, że będziemy tam w ogóle rozmawiali.

Najwyżej „Posuń się!”.

Wysyłam maila do Tomasza Raczka. Tytułuję: Zjawo medialna.

Znów zaczął się pojawiać. Prowadził program z Torbicką o nieboszczce Czyżewskiej.

Nie miał czasu pomyśleć o mojej biednej książce.

A tu Głowa wymienia liczbę w pierwszym rzucie wydrukowanych egzemplarzy *Good night, Dżerzi.* 70 000 egzemplarzy! Przeliczam w myśli, ile to jest pieniędzy. Pocieszam się wysokością podatku.

Kiedyś nienawidziłem Pilcha, teraz Janusza.

**

Stolik. Stare dowcipy Janusza Kondratiuka.

Żabka pyta:

- Co wolisz, długą pamięć czy długiego chuja?
- I co powiedziałeś?
- A wiesz, że zapomniałem.

Bajon startuje do konkursu na otwarcie mistrzostw Europy.

Janusz daje mi zaproszenie na promocję książki. Martwi się, że po urlopie w Maroku będę opalony. To jest walka o pierwszeństwo w każdej dziedzinie. Ale mówi to życzliwie.

Coraz bardziej zbliżam się do Głowackiego. Mimo że zazdroszczę mu kasy. Do szczęścia potrzebne mi tylko wiadomości o jego dolegliwościach zdrowotnych. Mam nadzieję, że kiedyś wreszcie coś go dopadnie. Nie można całe życie bezkarnie chodzić z rozchyloną koszulą. Ale nie puszcza farby.

Krótki sen po południu.

Pobudka, przeglądanie repertuaru teatralnego. Chce mi się zobaczyć coś na żywo z kultury.

Jedziemy na Pragę.

Multi kulti.

Doczepia się do nas jakaś para w poszukiwaniu wejścia.

– Nie chodźcie za nami!

Miły portier.

My, że miłośnicy teatru.

Na scenie Chińczycy albo Japończycy... Pewna pani ledwo słyszalnym głosem coś opowiada, co dzieje się na scenie.

Płacz dziecka na widowni.

Dzieci będą mnie prześladować przez cały wieczór.

Gdzie czasy, kiedy dzieci szły spać po dobranocce.

Dzisiaj dzieci walają się pijane albo zdragowane po ulicach co piątek do rana.

Kasia Wieczerzak gra pięknie na różnych instrumentach.

Japończycy tańczą na polskim weselu.

Zjawia się jakaś góralka (multi kulti) i rozmawia z Japonką przez pół godziny, ta nie rozumie ni w ząb.

Zabawna scena.

Dziecko na widowni płacze.

Jemy kolację u Tajlandczyka na Widok. Dania góra dziewięć złotych. Patrzę uważnie, w którym daniu może być tasiemiec. Ten by mnie odchudził! Ale nic z tego.

Tasiemca można dostać na bazarze w słoiku po pięćdziesiąt złotych, ale nie wiadomo, czy nie zarażony. Po odchudzeniu truje się go.

Azyl Fryderyk.

W Teatrze Dramatycznym w Pałacu Kultury szwedzka akcja: dać warszawiakom dwudziestoczterogodzinny relaks i pogłębić duchowo.

Doraźna pomoc i wypoczynek.

Ale jak wszystkie pomysły przywiezione z Zachodu, przeradza się w parodię. Chociaż na końcu sympatyczną.

W *Azylu Fryderyk.*

Uczę się robić na drutach.

Wycinam wycinanki z papieru.

Leżę, odpoczywam.

Nie myślę o niczym.

Tylko o tym, ile zapłacę za parking przed pałacem.

Dyskusja o muzyce.

Prowadzą nas na jakieś poddasze pałacu.

Ledwo wchodzę.

Siadamy w półmroku.

Facet puszcza muzykę, ktoś gra na trąbce z orkiestrą smyczkową, coś w rodzaju Tercetu Egzotycznego.

– Z czym to się wam kojarzy? Proszę mówić szczerze, nie polemizować z innymi, tylko otwarcie opowiadać o swoich wrażeniach.

Moja znajoma:

– Mnie to przypomina Sycylię.

– Tak?

– Tak. Byłam z mężem na Sycylii.

– I co?

– Takie domy i morze jak na Sycylii.

– Aha.

– Coś takiego, że po lecie wracam z urlopu z Sycylii. I ta kolegiata.

– Jaka kolegiata?

– Na Sycylii. Pamiętam ją, bo zawsze mi się kojarzy z Sycylią.

Oglądamy razem *Rozwód po włosku* z Mastroiannim. Rzecz dzieje się w Palermo na Sycylii.

– O, taka sama kolegiata i muzyka. Obróciło się koło skojarzeń.

Ejakulował umysłowo dziś przy stoliku.

Powinien wyjść, bo musi zostać.

Znajoma ni w pięć, ni w dziewięć.

– To co, przyjechał papież do Polski?

– Dlaczego?

– Widziałam w telewizji taki duży samolot stojący na lotnisku ze znakami Watykanu.

– To do Hiszpanii przyleciał! Na trasę Jakubową.

– A ja myślałam, że do Polski.

Co za cudowny stan świadomości i brak wyobraźni. Chciałbym móc tak nic nie wiedzieć. Kojarzyć jak dziecko albo nie oglądać telewizji, słuchać radia, nie czytać gazet. Nie wiedzieć, kto to jest Kluzik-Rostkowska i Jakubiak. Mimo że od rana do wieczora tylko o nich słyszę. W tym roku osła.

Teatr Polski

150. rocznica urodzin Paderewskiego.

Dlaczego nie klaszczą po pięknie odegranym i zaśpiewanym hymnie: *Jeszcze Polska nie zginęła...*

W Ameryce i wszędzie ludzie szaleją po narodowym hymnie.

Piękna mowa lwowska Paderewskiego o Chopinie w wykonaniu Seweryna. Powinna być dla Polaków nadawana zamiast *Wiadomości* codziennie.

„Nie talent, a u m i e j ę t n o ś c i są najważniejsze...".

Znów słowo Polska hipnotyzuje. Widownia czuje się nieswojo wobec tych ludzi, którzy kiedyś o ten kraj walczyli. Jakby w poczuciu zdrady albo nie do końca spełnionego obowiązku patriotycznego.

Smaruję się rano kremem odmładzającym Tołpy na noc. Wyglądam młodo w dzień, a staro, kiedy śpię.

Bardzo dobrze.

Na ulicach też odmłodzony billboardowy Tusk. Jako młodzieniaszek odżegnuje się od polityki. Co za kretyn go tak urządził? Może jakaś zakochana baba ze sztabu?

Przy stoliku samotny Henryk. Wjeżdżam na Paderewskiego, ledwo coś o nim wie. Przypominam o tym, jak załatwiał z Wilsonem, prezydentem USA, niepodległość Polski.

Nie wiem jak, ale schodzimy na księdza Skorupkę, o którym kręci teraz Hoffman kształcony w Moskwie. Henryk mówi, że ksiądz miał ojca. I brata, który nazywał się Helsztyński.

To, że miał ojca, nie jest czymś wyjątkowym. Brata specjalistę w dziedzinie literatury anglosaskiej, ukrywającego się pod nazwiskiem Helsztyński, to co innego. Niejednego brata pod innym nazwiskiem znamy. Ale nie chce mi się wierzyć. Ksiądz z krzyżem w dłoni przegania bolszewików spod Warszawy, a brat w tym czasie zajmuje się literaturą amerykańską (?).

Zamiast księdza Skorupki zjawia się ksiądz L. Mówi, że wraca prosto z Seminarium Tischnerowskiego, gdzieś tam... w górach. Jest pełen idei Tischnerowskich, ale też chwali się, że będzie odbierał Orła Białego obok Michnika. Henio nie dosłyszy i myśli, że też został nagrodzony przez znajomego Bronka K. Orłem. Ale okazuje się, że nie, nie on, ale ksiądz Orszulik jest nagrodzony. Ksiądz L. będzie odbierał tylk p u s t e p u d e ł k o po Orle, bo ksiądz Orszulik jest bardzo chory.

Prezydent wręczy Orszulikowi osobiście odznaczenie, gdy będzie przy okazji przez Łowicz przejeżdżał.

Z ciekawą informacją, że ksiądz Skorupko miał też o j c a, opuszczam stolik.

Rozdanie nagród im. Zbigniewa Cybulskiego. Kawałek Hassa. *Pamiętnik znaleziony...* w ramach filmów mistycznych.

R e w i t a l i z o w a n y. Olśniewająco rewitalizowane białe piersi Beaty, w wymiarach przemysłowych, zajmują trzy czwarte ekranu. I Holoubek w okularach jako kabalista mówi o nieskończoności, czyli ósemka położona płasko... Przypomina mi się, co mówi Beata, gdy ją zapraszają gdziekolwiek.

– Czy mam u ś w i e t n i a ć, czy z a s z c z y c a ć? Jeżeli uświetniać, to moja stawka jest następująca... Zaszczycać mogę za darmo.

Jest obecny oczywiście ksiądz L., podniecony całą uroczystością. Wysunął – żeby nie powiedzieć obnażył – koloratkę. Zna wszystkich, co kto zrobił, nakręcił, napisał i wyprodukował.

Na bankiecie spotykam Zanussiego. Niegrzecznie pytam, czy z nędzy sprzedaje dom na Żoliborzu. Mówi, że to plotka. Woli trzymać pieniądze w domu zamiast w banku.

Ma rację.

Anegdota o Diogenesie.

„Torba i płaszcz, i laska – podpora w wędrówce, i placek zagnieciony na wodzie, i jeszcze kubek gliniany – to był cały dobytek, z którym żył ów Pies Mądrości. A jednak i w tym był nadmiar!".

W Maroku taniej niż w Warszawie.

Tydzień.

Lądowanie w Casablance.

Nie ma żadnego śladu po Humphreyu Bogarcie.

Może dlatego, że nie wysiadamy z samolotu. Ale pytamy miejscową żonę bogatego Marokańczyka.

Nic. Nie słyszeli.

Jakie to pocieszające dla artystów.

Tylu ludzi nic nie wie i nie chce wiedzieć. Bo i po co?

Chcą wiedzieć, kiedy postój się skończy i polecimy do Agadiru.

Jak tu pięknie, jak tu pięknie... Tysiące ludzi ani wieczorem, ani w dzień nie wie, który z pisarzy dostał Nike, ani że są jacyś polscy pisarze, nie słyszeli o Kaczyńskim, o Orle Białym, „Gazecie Wyborczej" ani „Naszym Dzienniku". O nas, o mnie. Czy istniejemy? Stary dylemat

– czy drzewo istnieje tylko wtedy, gdy na nie patrzymy? A gdy się odwrócimy, to ono tam nadal jest, czy znika? A jak się wyjedzie?

Jak dobrze, że znika, jak dobrze...

Do tego służą podróże.

Odwrócić się plecami.

A jednak tuż po wejściu do pokoju odruchowo sprawdzam, jak działa telewizor. Na ekranie serial *Tygrysy Europy!!!* Telewizja Polonia też tu dociera. Siadam i oglądam. *Zigareten nach Berlin...* Jestem na ekranie, bo tam gram obok Rewińskiego.

Śmieszne i prawdziwe.

Po całodziennej ucieczce z Polski, na drugim kontynencie widzę siebie na ekranie w zagranicznym hotelu z widokiem na palmy.

Dzwonię do kompozytora muzyki do serialu. Pyta, czy płacą tantiemy w dirhamach.

Idziemy do włoskiego cyrku.

Za dużo miejsca – dźwiękowo przesterowane, jak kina, stadiony. Chciałoby się ciszy.

Koloseum – kicz rzymski, prawa ręka w górze, pozdrowienia, których tak nie cierpi „Gazeta Wyborcza".

Cyrk zawsze niesie prawdę.

Trudny zawód.

Dramatyczny.

Teraz walka o oszczędności. Ten sam facet przedziera bilety przy wejściu, tresuje konie. Robi żonglerkę, tresuje lwa i drażni się z białym tygrysem. Wkłada mu głowę do paszczy.

Żonglerka jest szlachetna – obliczalna, wynik jest bezwzględnie prawdziwy.

Hity muzyczne stanowią tło występów, ale odciągają uwagę widzów od obserwacji artystów i ich numerów.

Na trapezie podwójne salto.

Potem taksówka.

- Trzydzieści dirhamów, nie, dwadzieścia. Okej.
- Skąd jesteście?
- Poland.
- Mam brata w Amsterdamie. Dobrze mu jest.
- Poland. Polanda po arabsku.
- Holendrzy to zupełnie inni ludzie. Brat mówi, że tam zrozumiał dopiero, co to żyć w wolnym kraju. Ma żonę blodynkę, tak jak pani i lubi te ich śledzie na słodko. Ja nie, byłem w Amsterdamie przez miesiąc, wolę tutaj. A wy skąd w Holandii, jakie miasto?
- Radom.
- Tam nie byłem, brat mnie nie woził. Tylko Amsterdam. Hasz można palić, ile się chce. Palisz?
- Tu nie. W Radomiu.
- Tu zabronione. Tylko szisza.
- Tam też można nasypać haszu.
- Nie, nie, tylko apfel.
- Apfel to my mamy co rano.
- W sziszy?
- Nie, na talerzu.

Podróż do Marrakeszu autobusem.

- Proszę nie siadać, tu ktoś narzygał.

Z tyłu delikatne rysy jakiejś młodej Arabki.

Rozmawiam.

To samo, co na całym świecie. Ona młoda kocha starszego, żonatego, dzieciatego. Dramat, ale do przezwyciężenia. Jedzie do rodziców, będzie dentystką, protetykiem.

Szkoda, że mam wszystkie swoje zęby.

Zdający w Polsce na protetykę musiał na wstępie wyrzeźbić butelkę coca-coli.

Przeżywałem egzaminy na protetykę z jedną zgrabną studentką.

Opowiem przy okazji.

Dosyć zabawne.

Suk!

Bazar. Na północy Agadiru.

Setki straganów.

Tysiące ludzi. Miliony kilogramów towaru, warzyw, bananów, cebuli i granatów.

Kupuję podróbkę złotego zegarka Porsche Design. Będę go wkładał przy spotkaniach z milionerami.

Koleżanka kupuje na potencję viagrę w proszku. Dla kobiet i mężczyzn. Naturalna. Trzeba mieszać z wodą. Zażywam, natychmiastowa reakcja, wymiotuję całą noc.

Może trzeba było mieszać z wodą, ale święconą.

Kupujemy cztery koszule w dzikich kolorach. Sprzedawca zawiązuje mi chustę na głowie, wyglądam, według niego, jak prawdziwy Ali Baba.

Przewodnik prowadzi nas tam, gdzie drogo, a nie tanio. Ma swoich umówionych cwaniaków. Wydajemy wszystkie pieniądze, nie mamy na taksówkę, na przewodnika, wszystkie bankomaty nie mają już pieniędzy, bo jutro święto zarzynania baranów.

Jedziemy taksówką do hotelu po świeży grosz. Targowanie. Dawanie. Płacenie i płacz.

Na końcu ja spadam ze schodów, rozbijam kamerę, wylatuje mi zegarek Porsche Design i rozbijam sobie biodro.

Okłady z mokrego ręcznika.

Oglądam po raz tysięczny banalny i kiczowaty spektakl pod tytułem zachód słońca.

Powrót do Warszawy i od razu wieczór autorski Janusza Głowackiego.

Są wszyscy.

Dżanus dobry.

Nie zazdrości mi, że jestem opalony.

Sukces autorski przesłania mu wszystko.

Inscenizacja na scenie, nie wiadomo dlaczego siedzą znajomi po dwóch stronach, ale nie biorą udziału w dyskusji, nie ma w ogóle dyskusji ani pytań, tylko redaktor z „Polityki" sam, bo jego współprowadząca nawaliła. Zadaje pytania, które dowcipnie odbija Dżanus.

Marek Kondrat siedzi przede mną.

Opowiada taki żart:

Polskie małżeństwo wybrało się na zagraniczną wycieczkę.

On zadowolony z siebie, ją uważa za głupią.

Nagle ona dostrzega, że w pokoju jest mysz.

Przerażona błaga męża, żeby zadzwonił do portiera z prośbą o interwencję.

– Tak zawsze się chwaliłeś, że mówisz biegle po angielsku, to powiedz mu, że tu jest mysz.

On chwilę się waha, wreszcie podnosi słuchawkę.

– Hallo? Recepcjon?

– May I help you.

– Szprechen zi englisz.

– Yes I do.

– Very good. Do you know Tom and Jerry z telewizji?

– O yes! Sure.

– Chciałem powiedzieć, że u nas... in the room jest... Tom.

Najważniejsze, że spotykam redaktora znanego wydawnictwa. Zdziwiony jestem, że zapisuje mój numer telefonu. Może to kolejne: „Don't call us, we call you".

Ja dzwonię.

Sen, mawiał Bergson, to *desintéressement.* Zmysłowa harmonia mojej głowy i poduszki, mojego ciała i bezpiecznego ciepła łóżka.

Wycofuje mnie z ogromnego i niepewnego świata... Sen jest bezgranicznym zawierzeniem... Nie ma prostego przejścia od dnia do nocy.

Koza karmiąca wilka.

„Wykarmiony napadnie kiedyś na mnie jako drapieżca. Nawet wdzięczność nie może przemienić natury".

Liczba młodych mężczyzn otaczających cię na jakiejś imprezie, spotkaniu czy grupie powoduje natychmiastowy spadek testosteronu.

Znikają, jesteś sam na sam z kobietami, odżywasz jako mężczyzna.

Jesteś dowcipny, energiczny, pewny siebie i swoich zalet.

Wracają, gaśniesz.

W Świebodzinie największy pomnik Jezusa Króla. Ma 33 metry wysokości – tyle ile miał lat, gdy go ukrzyżowali. Korona trzy metry, tyle ile lat nauczał.

Na murach i billboardach w Polsce największa na świecie reklama pojedynczej książki, którą napisał pojedynczy człowiek. Dżanus Głowacki, *Good night, Dżerzi.*

Zresztą bardzo dobrej.

O Jezusie też nic złego nie można powiedzieć.

Houellebecq pisze w powieści *Możliwość wyspy* wszystko to samo co ja o zaciskających się cipkach u różnych znajomych dziwek, tylko dłuższymi zdaniami.

Dostaje nagrodę braci Goncourtów. U nas było też dwóch braci, żaden nie dał mi nagrody.

„Mam sto szesnaście lat i nie chcę umierać".

Holokaust pokoleniowy... Holokaust każdej kolejnej generacji na rzecz tej, która miała ją zastąpić... To są moje słowa!!!

Jedna scena, którą opisuje Houellebecq, była identyczna z realistycznym rysunkiem ze starego albumu niemieckiego, który zawsze

mi pomagał przezwyciężać samotność.

„Młoda kobieta, wsparta na kolanach i przedramionach, patrzyła w stronę obiektywu tak, jakby zdziwiła ją ta nieoczekiwana penetracja członka, i jakby nastapiła ona w momencie, gdy myślała na przykład o myciu podłogi... wydawała się jednak też przyjemnie zaskoczona".

Francuski autor pisze, że godzinami wpatrywał się w tę fotografię.

W moim albumie była portretowana w różnych akcjach Helga. Wielka niemiecka baba, z gołym tyłkiem jak szafa, w czarnych pończochach. Z tyłu młody człowiek wsadził jej nieoczekiwanie w tzw. *secondo canale.* Jej pełne zadziwienia spojrzenie, groźne, a jednocześnie zastanawiająco przyzwalające też na mnie działało, tak jak na laureata nagrody Goncourtów. Mogłem godzinami obserwować Helgę, analizując, co za tym spojrzeniem się kryje. Jaka aktorka by mogła tak wspaniale zagrać? Jakaś Eichlerówna, Stenka, Jankowska, Cielecka, Janda - tylko z ich talentem mogłyby wyrazić i pogardę, i zadziwienie, że tak można, i jakąś lubość w tym akcie gwałtu młodego sodomity.

Kultura wyższa.

Na widowni pełen rozpaczy głos:

- Rany boskie! Stenka się rozbiera, a ja z tego miejsca nic nie widzę!

Zasypują nas prawdami oczywistymi.

„Na kwadrans przed śmiercią jeszcze żył".

Grupa Laokoona! Tylko w maksymalnym stężeniu. Na moście w Kambodży w panice ludzie tak się stłoczyli i podusili, że wyglądali jak gigantyczny kłębek sznurków nie do rozplątania. Przerażający widok. Ratownicy po raz pierwszy spotkali się z tak niezwykłą plątaniną ludzi w panice. Nie wiedzieli, co począć, od czego zacząć, nie przewidywała takiego wypadku żadna instrukcja.

Znów pokazywali tych ludzi na moście.

Przerażające.

W czasie nabożeństwa w kościele katolickim w Polsce ten, który czyta Biblię, to zawsze młodzian najgrzeczniejszy i najwierniejszy parafianin.

Twarz szczera, jasna, oczy niebieskie, niewinne... I czyta zawiłe fragmenty Starego Testamentu, niezrozumiałe dla tego goja. Wydaje się niestosowne, żeby on miał to ogłaszać.

Tekst sobie, osoba sobie.

Może ktoś z brodą i pejsami powinien nam to podawać. Nie wierzę osobie, więc nie wierzę słowu.

Problem.

Pierwszy śnieg.

Jak przetrzymać w mieście pory roku?

Najgorzej jest zimą.

Biało-czarno, jak w Japonii na pogrzebie.

Leżę z zapaleniem oskrzeli od kilku dni.

Co tam przy stoliku?

Chcę ich zapytać, czy znają słowa listu papieża do młodzieży. I słowa hymnu na spotkanie młodzieży z papieżem w przyszłym roku w Madrycie.

Wyśmieją mnie.

Kutz w telewizji o Śląsku, że za cztery lata będą rządzili tam samodzielnie.

Może ksiądz L. to też śląska wtyczka.

Holoubek ich wszystkich od dawna podejrzewał.

Kluzik-Rostkowska na ustach wszystkich.

Kiedy prowadziła kampanię dla Kaczora, miała duże balony przed sobą. Gdy wchodziła na podium z kandydatem na prezydenta, to najpierw szły cycki, potem ona, a za nią Kaczyński. Teraz jej opadły.

Może przybiorą w nowych wyborach.

Przyjęcie u profesora Rużyłły.

Dużo fajnych ludzi. Przysiadam się do znanego decydenta telewizyjnego.

Zaczynamy mówić o projekcie „Studenci trzeciego wieku"; dalszy ciąg *Czterdziestolatka.*

On od razu, że trzeba się spotkać z kimś, kto bada rynek, a szczególnie zamówienia na reklamy w przedziale wieku do czterdziestu lat... Chuj mnie to obchodzi. Pytam niepotrzebnie, czy widzi taką możliwość i czy to jest dobry pomysł...

– Wy, ludzie z publicznej telewizji nie rozumiecie rynku...

– Nie jestem człowiekiem telewizji publicznej, mogę sam to wyprodukować za własne pieniądze, pytam tylko, czy to dobry pomysł, czy widzisz to na ekranie?

– Trzeba to przebadać...

Stary Żyd w amerykańskiej telewizji od pierwszego momentu wie, czy to jest dobre, czy do dupy. A tu trzeba badać. Niech bada, całe życie można badać i pomylić się w tym, co najważniejsze.

Na temat własnego życia.

Jak słodko byłoby się zemścić sukcesem w innej stacji.

Ale ile ich jest? Publiczna, TVN i Polsat, tylko czy prezes Piotrek ma do tego głowę. Kiedyś na jakimś przyjęciu prezes prawie się nie odzywał. Patrzył zamyślony gdzieś w dal. Zaniepokojony gospodarz domu zapytał:

– Co się stało, Piotrze? Źle się czujesz?

– Nie, tak sobie tylko myślę, że teraz już się tak nie zarabia jak dawniej.

Im lepszy aktor, tym bardziej zaprzecza sobie.

„Mimo twarzy zabójcy, bankiera, księdza, kurwy, gliny, naiwniaka czy szalonego mędrca potrafią zaprzeczyć roli, jaką grają w prawdziwym życiu" – Topor.

Right place, right people, right questions – wrong answers! Właściwe miejsce, właściwi ludzie, właściwe pytania – kłamliwe odpowiedzi. Niewłaściwe miejsce, nieodpowiedni ludzie, złe pytania – fascynujące odpowiedzi.

Nagle ogarnia mnie przerażenie! Co będzie z Pilchem, Głowackim, Konwickim, kto tam jeszcze został. Nagły zalew literatury wspomnieniowej, oświadczeń, *Jak wyjść z cienia,* codzienności świata lesbijek, gejów, pedofili... Co można jeszcze? Czym oni będą fascynować czytelników... Nauczycielka angielskiego ma za partnerkę niewidomą z Kalifornii, młodszą od siebie o trochę mniej niż żona od Łapickiego.

Popękają wszystkie autorytety i hierarchie, trzeba się wziąć do budowy nowego wspaniałego świata.

Mnie zostają tylko nowe stare doświadczenia. Nie trzeba mi literatury.

Henryk Bereza uważa, że kochał mnie Artur Maria Swinarski przed pięćdziesięciu laty za to, że mam krzywe nogi. To go podniecało. Kogo to może podniecać dzisiaj? Kiedy tylu wspaniałych chłopaków dookoła.

Pisarze, zbliża się czarna godzina dla waszych nowel, powieści, dramatów teatralnych!

Trzeba mieć doświadczenia homoseksualne i umieć je interesująco opisać.

Kto się odważy z was, starcy?

Często zaczynają od początku. Pierwsza seksualność, pierwsze doświadczenia, pierwszy kontakt z tą samą płcią, smak cipy, twardość chuja kolegi.

Pamiętam kilka anegdot o znanych postaciach orientacji homoseksualnej.

Ale jakie to już staromodne.

O wybitnym polskim artyście.

– Stacha, jak zostałeś tancerzem?

– Chodziłem sobie po Plantach w Krakowie, chodziłem, chodziłem, aż jeden pan zapytał mnie: „Chłopcze, czy nie chciałbyś znaleźć się w balecie?". Powiedziałem, że chętnie i poszedłem z nim. I w ten sposób zostałem tancerzem.

Chałtura, z którą jeżdżą po okolicy Krakowa późniejsza słynna tancerka Bittnerówna, Witold Gruca i śpiewaczka, a właściwie mężczyzna o wysokim głosie kobiety, przebrany za diwę operetkową. Zakochuje się w niej ładny, młody strażak. Myśli, że to kobieta. Następuje zbliżenie za kulisami w zaciemnionym i dyskretnym miejscu.

– Musisz mnie wziąć od tyłu, bo jestem dzisiaj bolna – mówi fałszywa primadonna.

W trakcie akcji strażak nagle się orientuje, że to mężczyzna.

Szok!

Ucieka z teatru z tragicznym krzykiem:

– O, Mateczko Przenajświętsza, z piekła nie wyjdę! Chłopa pierdoliłem!

Błąka się przez kilkanaście dni w słocie, deszczu i mgle jak chochoł z *Wesela* Wyspiańskiego.

Młody wikary przyjeżdża do Warszawy z Krakowa. Spotyka się ze znanym tancerzem. Ten proponuje mu nocleg. Nie jest łatwo zdobyć pokój w hotelu. Coś piją, rozmawiają długo w noc, wikary ma spać na łóżku polowym. Kładzie się spokojnie po ablucjach łazienkowych. Tymczasem nagle trzask, łóżko się załamuje. Trzeba się kłaść na tapczanie obok gospodarza.

Znany tancerz ten chwyt stosował był od dawna. Podcinał uprzednio jedną z nóg łóżka.

A gdy się śpi obok siebie... i kiedy ranne wstają zorze...

Na jednej z prób znajomy palił papierosa na widowni teatru.

Kiedy zwróciłem mu uwagę, że obserwuje nas strażak i może ukarać za to palenie, spojrzał w jego stronę:

– Ten? Mieszka u mnie od miesiąca. Niech spróbuje!

Dlaczego ja ciągle o strażakach?

Garderoba w prowincjonalnym teatrze. Znany aktor ze stolicy siedzi obok prowincjusza. Ewidentna „kobietka" stara się zaistnieć przed gwiazdorem.

Malują się przed występem.

– Proszę pana, ja n i e w i e d z i a ł e m, że coś takiego istnieje... taki na przykład... homoseksualizm. Ale raz zaprosił mnie kolega do siebie... Ja absolutnie n i e w i e d z i a ł e m, że coś takiego istnieje... Jego rodzice gdzieś wyjechali... Sami byliśmy w domu... On mówi, żebym został u niego na noc... Ja n i e m i a ł e m pojęcia, że coś takiego istnieje... Kładziemy się... J a n i e w i e d z i a ł e m... I wie pan, co ja mu zrobiłem? Tak go zerżnąłem, a niech ma, wstrętny zboczeniec! Multi kulti.

Dramatopisarz angielski Orton. Kilkakrotnie źle grany na polskich scenach. Cudowny humor angielski w wydaniu słowiańskim. On i przyjaciel są zaproszeni do jakiegoś lorda w Londynie na herbatę. Tacę z czajnikiem i filiżankami wnosi dwumetrowy czarny drab o uśmiechu dziecka.

Lekko zdziwione spojrzenia gości.

Lord z nutą usprawiedliwienia.

– To Symon, dociera tam, gdzie nie był jeszcze żaden b i a ł y.

Brzmiało to jak komunikat naukowy Królewskiego Towarzystwa Geograficznego z kolonialnego podboju Afryki.

Goście chcieli poznać bliżej Symona.

W kilka miesięcy później Orton został zabity przez zazdrosnego przyjaciela.

Roland Topor.

Bunt przejawia się wymiotami. Ma to przede wszystkim dziecko, gdy jeszcze nie umie mówić, wymiotuje zamiast połykać. Gdy zaczyna

mówić, jeszcze ma odwagę powiedzieć: nie... nie chcę, nie! Później to zanika. Człowiek nie mówi nie, bo coraz mu trudniej w ramach dobrego wychowania, z uwagi na okoliczności, układy, własny interes. Z tą jego obroną prawa i nieobawiania się powiedzieć „nie" natknąłem się podczas jego pobytu w Polsce lata temu.

„U Wicka". Zapraszamy Topora do Sochaczewa na słynnego pieczonego prosiaka, nie bacząc na jego żydowskie pochodzenie. Świnina nic mu nie przeszkadza, na szczęście. Po drodze chcemy mu pokazać to, co mamy najcenniejszego w polskiej kulturze. Miejsce urodzenia Chopina. Żelazową Wolę.

- Nie!
- Ale...
- Nie, nie... i nie!

Trudno, chcieliśmy się pochwalić, jak każdemu cudzoziemcowi, ale został tylko prosiak, co było w PRL-u i tak wielką atrakcją.

Siadamy „U Wicka" w alkowie, stół zastawiony wszelkim jadłem i piciem, a pośrodku brązowi się pieczona skórka na dupie prosiaka i w pysku pieczone jabłko.

Śmiechy, żarty, hihi, i nagle dyskusja schodzi na polski antysemityzm, Wajda wychodzi do telefonu. Na miejscu zostaje KTT jako gospodarz spotkania i kilku innych gojów. My, że absolutnie... nie ma mowy o czymś takim... ależ gdzie... skąd. I nagle otwiera się małe okienko w ścianie alkowy, ukazuje się rumiana twarz polskiego wieśniaka i z szerokim uśmiechem mówi do nas:

- Oj, bawią się Żydki, bawią!

Okienko z trzaskiem się zamyka.

- Co on powiedział? Co? - pyta Topor.
- Życzył nam smacznego.

Przy płaceniu rachunku Wajda znów poszedł do telefonu.

- Jestem Żydem i też uratowałem Żyda - mówi o sobie Topor. - Nie tylko katolicy mogą się tym chwalić.

Cudem przetrwał okres okupacji.

Znowu klęska! Tym razem śnieg. Co trochę się przejaśnia na horyzoncie rządu Tuska, to nowa zadyma.

Będzie przedzierał się do zasypanych?

Śnieg wali jakby się rozerwała pierzyna.

Zwały leżą na ulicy, za nasze pieniądze jeżdżą jakieś maszyny, mają go zlikwidować. Pamiętam w zamglonych obrazach z czasów okupacji zwały równo usypanych po bokach chodników pryzm śniegu. Reszta była wywożona furmankami z miasta. Na jezdniach czyściutko. A też bywały zimy! Jakie!

Za komuny chwalono się, że w Moskwie najpiękniej na całym świecie usuwano śnieg z ulic. Myśmy dopiero dorównywali. I już satyrycy brali się do roboty.

Do biura mającego odpowiadać za czystość ulic w zimie wpada urzędnik.

– Panie kierowniku, panie kierowniku!... Z nieba lecą jakieś takie białe płatki!

Do dzisiaj ze śniegu żyją tysiące dziennikarzy i komentatorów, specjalistów i coraz bardziej erotycznie wyzywających przepowiadaczek pogody.

Boże, kto to selekcjonuje? Kto to... obsługuje po komunikatach meteorologicznych?! Zwykle stają profilem do nas, a my zamiast patrzeć na mapę, wyże i niże, widzimy wypięty tyłek i cycki na tle huraganu Katrina. Nie wszyscy. Ale to nie zmienia postaci seksizmu w środkach komunikacji telewizyjnej.

O czym to ja pisałem?

Aha, znajomy mówi, że te byki zamiast zabrać się do łopaty i odwalać śnieg, stoją w pięciotysięcznej kolejce do programu *You Can Dance.* Albo *Top Model,* mówię o tym w wywiadzie w TVN. Nie puszczają. Nic, co by było nawet tak żartobliwym skojarzeniem.

Spodziewali się, że powiem, że Gronkiewicz-Walz świetnie odśnieża osobiście ulice, które czernią się jak pasta kiwi?

Koleje dają dupy. Tusk się tłumaczy, minister przeprasza.

Jak się wszyscy starzeją!

Niestety, razem z nami. Z tym, że my siebie rzadziej obserwujemy. A oni, ci dziennikarze TVN, ten Grzegorz, ta... jedna z drugą Pochanke, ci nawet z BBC... Angol był taki energiczny na początku wojny Busha w Iraku, a teraz siwy starszy pan już tak nie dokazuje jak kiedyś w sprawie bomby atomowej u Husajna.

I te stare filmy na ekranie (moje też), i złe, i dobre, i jeszcze gorsze w kółko przewijane, i ta TVP Kultura cedząca swoje nudy na pudy, czołówkę zrobili trochę kolorową, mądrale od polityki w *Wiadomościach,* w kółko mędlą o PIS-ie, a Tusk nie ma z kim przegrać!

Są ludzie, którzy przegrywają ze sobą, z własnym dzieckiem, organizmem, głową i chujem. Jaki to zdumiewająco pewny siebie człowiek! I najlepsze, że ma rację. Wygra, bo w to tak mocno wierzy. I czego mu życzę, ale się przestraszyłem samej myśli, że można tak myśleć i niczego się nie bać. Ja na każdym przejściu ulicznym boję się, że mogę nie dożyć do drugiej strony jezdni.

Muszę się leczyć.

Ale te twarze, wkoło te same.

Basta!

Leżąc, siedząc dwa tygodnie w domu, dzwonię do księdza L. o wiadomości ze stolika. Wczoraj w tym największym ataku zimy nikogo nie było. Nawet Henryka. Głowa wymęczony promocją książki wyjechał do Nałęczowa?

Topor.

„Jak żyć? Jak żyć?

Jak żyć w piekle?

Jak żyć wściekle?".

A gdzie żyć?
Gdzie uciekać?

Bakuła wróciła z Kenii.
Była tam na safari.
To znaczy jeździła po górach i dołach dżipem.
Nie radzi mi tam jechać.

Biorę udział w jury na scenariusz do filmu dziejącego się w Krakowie. Czytam dziesięć projektów. Ale zima uniemożliwia mi przyjazd do Krakowa. A tak się cieszyłem na tę podróż i pobyt tam. Oceny wysyłam mailem, pieniądze mają mi przesłać przekazem. Czytałem teksty po dwa razy, bo za pierwszym nie mogłem nic zrozumieć.
Podeszły wiek.

W drugim programie Polskiego Radia redaktor muzyczny jęczy pół nocy, że amerykańscy artyści są jacyś wyobcowani z Ameryki, na kontrze, na zawiedzeniu się Stanami, na wyobcowaniu...
Muzyka piękna! Yel Swanson.
Tylko polscy artyści wielbili od lat wszystko, co amerykańskie.
Kochamy kapitalizm i Amerykę.
Bilety na ich koncert w Stodole po sto złotych!

Dzwoni facet z „Wprost". Pytania o Irenę Dziedzic, która jako pierwsza prowadziła rozmowy w telewizji.
Proszę pana, młody człowieku! Już sama rozmowa to była rewolucja.
Stalin też rozmawiał z dziennikarzami.
Stalin z nimi rozmawiał, to znaczy odpowiadał na uprzednio przysłane pytania: Tak... Nie... Tak.
Czy była gwiazdą? Tak. A niełatwo było nią być w tamtych czasach.

Pan redaktor Tomasz Lis też czytał *Dziennik* z „dziupli" w publicznej, od tego zaczynała Irena.

„Dziupla" to taki oświetlony otwór w ścianie studia na placu Wareckim.

Irena mieszkała w normalnym bloku przy Kruczej.

Zarzucają jej kłamstwo lustracyjne.

Była barmanką kiedyś w Krakowie.

Tańczyła z Demisem Roussosem w Sopocie.

Była świetna w zapowiadaniu i prowadzeniu festiwalu.

Ludzie ją uwielbiali, nienawidzili i plotkowali.

W Sejmie biją się o kasę dla partii.

Nie odpuszczają.

Będą dotowani.

Ale w połowie.

Wikileaks.

Szczera, uśmiechnięta twarz jakiegoś chłoptasia.

To on skopiował na płycie „Lady Gaga" tajemnice Pentagonu.

Nie wierzę.

Ktoś poważny za tym stoi, bo wiadomści są wybiórczo segregowane.

To praca dla wielu specjalistów.

Tysiące depesz ujawnionych.

Batman i jego pomocnik. Niby Putin i prezydent Rosji.

Obama w Afganistanie na święta.

Rześki i przekonujący. „Odnieśliśmy sukces! Ale wielkim kosztem ludzi, sprzętu i pieniędzy".

Przemawia do żołnierzy w bazie Bahram w skórzanej kurtce i sweterku, spod którego wystaje kuloodporna kamizelka.

Bezpieczna, ale wysadza mu brzydko pierś do przodu jak gorylowi.

Przy stoliku ksiądz L. jest za Licheniem, a przeciw Świebodzinowi. Chciałbym, żeby ksiądz zbliżył się bardziej do Jezusa w Świebodzinie,

symbolika, że posąg ma 33 metry wysokości, korona 3 metry, trzy lata nauczania Chrystusa jest bardzo przekonywająca.

Na to Henryk Bereza wstaje i wychodzi z młodym poetą tłumaczem z hiszpańskiego.

„Donde esta Elisa?" - rzucam za nimi, ale żaden z nich nie ogląda tej wspaniałej telenoweli z drugiej półkuli i nie rozumie, o co mi chodzi.

„Donde esta Elisa?" to lepsze niż „Gdzie jest Baśka?", gdyby taki film pojawił się na ekranie publicznej za nasze pieniądze.

Zbliża się wigilia.

Gazeta podaje, że tylko pierogów z grzybami nie można przyrządzić w nowoczesny sposób. Wszystkie inne tradycyjne dania można.

Zostawcie mi chociaż pierogi!

Na ekranie Dwójki nagle jakiś stary człowiek udaje starego człowieka. A to znany artysta. Świetna charakteryzacja. Nawet lepsza niż prawdziwa, spreparowana przez naturę.

Monolog pełen wstawek politycznych sympatii. Teraz nawet siecze Balcerowicza, którego wielbił całe życie.

Od lat narzekał na telewizję komuchów, a u nich występował, na Kwiatkowskiego, a miał własny program, na tych, na owych, co „hailują", gnębią demokrację - i zawsze widziałem go na ekranie.

Jakie parcie na szkło!

Przez czterdzieści albo pięćdziesiąt lat.

Zazdroszczę.

Aż go będą nieśli w trumnie.

Ale też będzie na ekranie we wszystkich dziennikach.

**

Rady ciotki Zgagi.

- Gdybyś porządnie się starał, miałbyś taki sam dom.

Przyjęcie w Konstancinie.

– Czy uważa pan, że to wino jest OK? – pytam osobnika, który przedstawił mi się kiedyś jako importer win.

– Powącham.

Podaję mu kieliszek.

Wsadza swój długi nos, prawie dotykając dna kieliszka.

– Proszę pana, wydaje się, że tak, ale wino jest tak czułe na otoczenie, że nawet skład osobowy towarzystwa wpływa na jego zapach, smak i kolor.

– To znaczy, że towarzystwo mu nie odpowiada, bo czuję jakiś cierpki smak.

– Powącham jeszcze raz. Przepraszam, ale my, winiarze z dziada pradziada, mamy takie nosy. Dlatego uznawano nas za największych specjalistów w sprawach wina na całą Europę Wschodnią.

– A ten aktor z ING, od niego chciałbym sobie kupić zestaw sześciu win na święta. Co pan o tym sądzi?

– Proszę pana, ja panu przygotuje mój zestaw autorski. Indywidualnie dobrany tylko dla pana. Najpierw muszę panu spojrzeć głęboko w oczy.

Przygląda mi się badawczo.

– Już wiem, skomponuję go z elementów, które brzmią może nieco odpychająco, ale prawdziwi winiarze świata wiedzą, o co chodzi. To będzie na pograniczu zapachu „przemoczonego psa" i „młodej małpy". Nie chcę teraz wymieniać marki, wintażu i krzewu winnego.

– To ciekawe.

– Proszę mi dać swoją wizytówkę.

– Niestety, nie mam – kłamię.

– Ja bez iPada nigdzie się nie ruszam. Mam tam wszystko, gazety, książki, filmy, wiadomości.

– A czego chce pani się dowiedzieć?

– Wszystkiego.

– A można wszystko wiedzieć?

– Tak. Moja córka, jak nie wie, z czego będzie klasówka, wchodzi na Facebooka do koleżanek i potem w szkole dostaje piątkę.

– My, Serbowie, wszystkiemu się sprzeciwiamy. Dlatego nie lubię Beatlesów.

– Patrząc tak na ten zestaw pań, myślę sobie, że gdyby trzeba było przysięgać na „do końca życia", to spieprzam jak pies razem z budą.

Chcę mieć telefon stacjonarny.

Zostawiłem komórkę w samochodzie.

Jestem odcięty od świata.

Cd. zimy.

– Pani prezydent, dlaczego cała Warszawa zasypana jest śniegiem, a na górce narciarskiej, specjalnie usypanej dla narciarzy, go nie ma?

– Śnieg jest tam... gdzie pada.

Wielkie.

– Być ze sobą, aby tylko być?

Zabiła go.

Odsiaduje teraz dwanaście lat.

Miedwiediew w Warszawie.

Powitanie.

Stoi setka ludzi.

Migoczą mi znane z kronik filmowych przedwojenne wizyty u prezydenta Mościckiego.

Tu jeden tak, drugi siak. Twarze nieznane. Pawlak się wyróżnia. Jeden w długim płaszczu, drugi w krótkim, jeden niski, drugi wielki dryblas. Kogo on zapamięta?

Za płotem protestują ludzie poprzebierani za Świętych Mikołajów jak pod supermarketem.

Hymn rosyjski grają, jakby to był marsz pogrzebowy.

Kompania honorowa maszeruje, ale też bez energii.

Komorowski zaprasza Miedwiediewów do środka.

Przełom.

Zanussi, uśmiechnięty, wita gości na posiedzeniu Komisji do spraw Porozumienia.

Wajda siwiuteńki odbiera odznaczenie za *Katyń* od Miedwiediewa.

Stres.

Co z jego sercem?

Jakie przeciążenia!

Kolacja w pałacu.

Sami mężczyźni i tylko jedna Maryla Rodowicz oraz dwie Pierwsze Damy oczywiście po bokach obu prezydentów, ale bez diademów i brylantowych kolii.

Przemawiają długo.

Prawie nic nie słychać w telewizji.

Przebija się coś o pakcie warszawskim, okrągłym stole, a ja pamiętam, że też w tej sali Gomułka z Cyrankiewiczem podpisywali jakieś papiery o nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie.

Telewizyjna stacja Solorza podaje, co będzie jedzone.

Nie do pomyślenia za komuny.

Czytam Zamoyskiego *Rok 1812,* o klęsce Francuzów i przerażająco tragicznych losach Grand Armee i wojsk polskich w ucieczce spod Moskwy.

A w naszym hymnie ciągle „Dał nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy".

A później Poniatowski spada z konia do Elstery.

„Wygląd tego dokumentu może się różnić od oryginału, ponieważ zostały zablokowane niebezpieczne elementy w treści...".

Odblokuj!

Obejrzyj w pdf.

Zawsze ufaj temu nadawcy!

Zgłoś uwagi.

Ukryj komunikat!

Witam!

W najbliższą sobotę organizujemy „Przedświąteczny kiermasz gadżetów erotycznych – tylko dla kobiet".

W ramach kiermaszu:

Prezentacja gadżetów erotycznych. Będziecie mogły zapoznać się ze światowymi przebojami wśród wibratorów. Opowiem wam, jak działają i co można z nimi zrobić. Konsultacje i porady pod hasłem: *Take it easy.*

Warsztaty dla kobiet. Dowiesz się, jak dobrze bawić się w łóżku, zarówno z mężczyzną, jak i solo. Kobiety mają prawo pragnąć przyjemności i dążyć do niej w sposób, jaki im najbardziej odpowiada. Zabawa jest najlepszym afrodyzjakiem.

Dobra kawa i ciacho. Żeby rozpieścić odpowiednią dawką kofeiny i endorfin nasz mózg, ten wiecznie niedoceniany organ seksualny.

Szczegóły:

Opowiemy o tym, co wiecie na temat kobiecych orgazmów i co byście chciały wiedzieć?

Po co kobiecie wibrator?

Jaki wibrator do ciebie pasuje?

Jak wprowadzić nowości w swojej sypialni?

Będzie konkretnie, na luzie, bez szowinistycznej paplaniny, że kobieta powinna to czy tamto. My przedstawiamy możliwości, wybór należy do ciebie. Ale warto wiedzieć, co zrobić, żeby się dobrze bawić w łóżku na święta i po świętach".

Święta Bożego Narodzenia tuż, tuż. *I'm dreaming of the White Christmas...".*

Jingle bells... Jingle bells...

Sobota przedświąteczna, późnym wieczorem. Na Dwójce publicznej przywiązany do krzesła mężczyzna. Na nim siada okrakiem kobieta. Kopuluje.

Liczy orgazmy: *one... two... three...*

Wchodzi inny mężczyzna, odstrzela kobiecie głowę. Krew bryzga na twarz tego gwałconego.

– Ona by mogła tak przez całą noc – mówi oswobodziciel mężczyzny.

Za komuny mało rozmawiało się o orgazmach. O orgazmie dowiedziałem się od kolegi na zebraniu ZMP. Jeden z kolegów powiedział mi, że coś takiego istnieje niezależnie od walki klasowej. Niestety, w dziełach Marksa tego nie uwzględniono.

Cnotę straciłem z dwiema strażniczkami więziennymi, spotkanymi na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych. Spotkałem je przypadkowo, wysłany po wino przez starszego kolegę, ale nie wróciłem do hotelu, gdzie na mnie czekał. Udałem się z dwiema uzbrojonymi w karabiny kbk kobietami w mundurach straży więziennej do ich mieszkania, gdzie spotkałem się z orgazmem.

Na razie własnym.

Dopiero później zrozumiałem, że chodzi o to, aby one też miały, nie tylko ja. Przez całe życie robiłem, co w mojej mocy, żeby sprostać temu zapotrzebowaniu. Pod koniec życia przyznaję rację Marksowi, że nie zajmował się tym teoretycznie, praktyka jest najważniejsza.

Z praktyki kilka przykładów z dawnych lat.

Orgazm cichy.

– Już?

– Już.

Głośny.

– Aaa!!!... Oo!... Przepraszam, czy to jest nowe budownictwo, czy stare?

– Stare.

– To mogę krzyczeć?

– Proszę bardzo.

– Aaa!!!... Ooo!...

W starym grube, solidne mury tłumią wszystkie odgłosy.

Malarski.

– O, jak mi żółto... Jak bosko żółto. Mocniej! Teraz różowo, cudownie różowo! Jeszcze! Oo!... Czerwono! Jak bosko! Niebiesko! Szybciej! Granatowo! Mocniej! Mocniej! Fioletowo! Oo, tak! Głębiej! Czarno! Czarno! Czarno widzę! Nic nie widzę! Czarno, biało... Szybciej, głębiej, mocniej!

Oślepłam!

Higieniczny.

Już po.

– Co się tam tak myjesz, jakbyś z węglarzem się kochał.

Aktorski.

– Ooo!... Auu!... Och! Cudownie. Ej... Och!... Aaa!

Nagle przestaje krzyczeć, patrzy w okno na wstający świt zamglonego poranka. Na szybie krople deszczu.

Mówi z aktorską przesadą i poprawną dykcją:

– A za oknem jesień... Ooo! – Wraca do udawanego orgazmu.

Będzie tak udawać przez dalszy ciąg swego aktorsko-erotycznego życia. Kłamać sobie, widzom i dyrektorowi teatru.

Kazirodczy.

– Tato! Tatusiu, mamy nie ma. Wyjechała na wczasy, jesteśmy sami! Ooo, tak! Nie bój się, nie powiem nikomu. To będzie tylko między nami.

Jaki jesteś wielki. Boli, boli, ale przyjemnie. Jestem twoja córunia. Prawda? Tatusiu?

Była starsza ode mnie o kilkanaście lat. Do łóżka włożyła białą bluzkę i granatową szkolną spódniczkę córki. Ale nic pod spodem.

Troskliwy.

– Ooo!.. Aaa!.. Bardzo cię przepraszam, ale mąż miał taki duży członek, że pewnie ty teraz nie masz przyjemności.

– Nie mam, bo mi wszystko psujesz tym ciągłym porównywaniem.

– Nie przejmuj się, ale on był nadzwyczajny, nigdy nie spotkałam takiego olbrzymiego... i twardego! Ogromnego! Bardzo cię przepraszam, że teraz nie masz ze mną przyjemności.

– Zamknij się!

Przerywany według Marka Piwowskiego.

Dzwoni telefon w trakcie.

– Przepraszam cię...

– Marku, ale nie rozmawiaj długo, bo jestem blisko...

– Halo?

– Stary? Co robisz? Jest u mnie mała balanga w chacie. Przyjedziesz? Jest paru chłopaków i pijemy.

– Nie bardzo mogę, jestem teraz z kimś, a później muszę ją odprowadzić.

Długa cisza w słuchawce.

– To co? Niewidomą posuwasz?

Masochistyczny.

– Prezesie! Bij mnie! Tłucz! Ooo!.. Ach! Weź ten pasek! To jest pasek mojego męża. Tylko po nim mam orgazm. Przyniosłam go, abyś mnie zniewolił. Taak! Tylko nie klamrą... tym drugim końcem. Aaa! Och! Tak.

– Boli mnie już ręka.

– To weź w drugą! Jestem tuż... tuż...
– Nie potrafię lewą. Nie jestem mańkutem.

Utopijny.

– Ja bym chciała tak całą noc.
– Ja też.

Literacki.

– Opowiadaj mi, jak zajeżdża czterech harleyowców w czarnych skórach i rzucają mnie na kolana, wyjmują swoje narządy i każą mi je obrabiać. Ja krzyczę, a ty stoisz z boku i palisz spokojnie papierosa. Oni chwytają mnie za włosy i podsuwają te sterczące członki, a ty spokojnie palisz...
– Rzuciłem palenie trzy lata temu.
– Ale to jest fantazja erotyczna.
– Wszystko jedno, nie wrócę do nałogu. Sześćdziesiąt procent zachorowań na raka płuc spowodowane jest paleniem papierosów.

Mechaniczny.

– Z jednym dyrektorem Fabryki Łożysk Tocznych miałam siedemnaście orgazmów w trakcie.
– W trakcie czego, toczenia?
– A z tobą tylko trzy w ciągu dwóch miesięcy.
– Sorry.

Szybki według Zofii Czerwińskiej.

– Czterdzieści pięć sekund, łącznie z prysznicem.

Arystoteles niby taki mądry, a też daje dupy.
Podam kilka przykładów, co pisze.
„Ci, co mają łydki mięsiste, bywają bezwstydni i bezwzględni. Wnioskuję to z odpowiedniości.

Ci, u których kolana stykają się w czasie chodzenia, bywają wszetecznikami, wnioskuję to z odpowiedniości.

Ci, co mają biodra kościste i krzepkie, miewają usposobienie dzielne, wnioskuję to z przykładu mężczyzny.

Ci, którzy mają pośladki wąskie i kościste, bywają dzielni, ci natomiast, co mają mięsiste i tłuste, bywają łagodni".

I tak po grecku pieprzy bez końca.

Henryk wydał zbiór aforyzmów.

„Nie boli wyrok na mnie, to nie moja sprawa

Boli milcząca zgoda tych, dla których żyłem".

Bardzo osobiste i przykre.

Szef przecieków w Wikileaks Julian Assange aresztowany za gwałt.

Nie za przecieki kompromitujące dyplomatów wielu państw, ale za gwałt.

Jeszcze nie wiadomo, czy był to normalny gwałt, czy tak zwany seks przez zaskoczenie.

Jeżeli przez zaskoczenie, to ja bym od dawna miał dożywocie. Albo karę śmierci.

Niektórzy mówią, że cały ten sąd to sprytna inscenizacja, aby odwrócić uwagę od prawdziwych macherów tego przecieku.

„Komorowski na odsiecz Obamie!".

Już w Waszyngtonie.

Siedzą w Białym Domu na fotelach, budząc wzajemne zaufanie.

Nie tak jak Putin z Tuskiem pod Westerplatte.

Obama jakiś zmęczony.

Komorowski świeżutki, mimo że dopiero co pożegnał się z Miedwiediewem i przeleciał rejsowym samolotem z Europy do Stanów.

Ale Miedwiediew to nie to co kiedyś Jelcyn.

Ten dawał popalić.

Komorowski Obamie o wielkim polowaniu, które czeka ich obu.

Obama lekko zdumiony.

Nie wiedział, że czekają go jakieś Wielkie Łowy, na których będzie polował z polskim prezydentem; indiańska tradycja głosi, że Wielkie Łowy odbywają się po śmierci.

Zamyślił się.

W Sharm el-Sheikh znów rekiny!

Mimo że ludzkie mięso im nie smakuje, znów zaatakowały.

Człowiek podobny jest do foki. Rekiny mylą się, zjadają nogę albo rękę turysty, ale nie przepadają za tym rodzajem mięsa, chociaż go nie wypluwają.

Można by wtedy przyszywać.

„Gdy wygląda na to... trzeba być ostrożnym" -Wittgenstein.

„Dla ludzi jest niepodobieństwem, by jakiś przedmiot uważać za różny od niego samego" - Frege (kto to jest?).

Skąd wiemy, że ten kolor jest czerwony?

Gdy nałożymy obraz torebki damskiej na dokładnie taki sam obraz torebki, obraz pierwszy znika. Co się dzieje z pierwszym? Z pierwszą torebką?

Rozmowa autora z sąsiadem.

- Jestem właścicielem internetowej rewii.
- Co to za rewia?
- Rewia kur ozdobnych.
- ?
- Pan pisze piosenki? Mam pewien pomysł.
- Słucham?
- Musical. Wielki hit. Ojciec pana jest kompozytorem *Żółtych kalendarzy* i *Franka Kimono?*
- Tak.

– Niech natychmiast siada do pisania muzyki. Roboczy tytuł: „Kura, kura, kurwa!”.

Wnuk żywi się spinaczami.

Na razie połknął jeden.

Znajomy uruchamia „maszynę losującą”. Los. Spotyka młodą amatorkę gry na scenie. Ta zdejmuje buty, aby nie zabrudzić mu podłogi i dywanów.

Wystają jej duże palce ze znoszonych rajstop w dzikie róże. Kąpie się.

Przy okazji robi sobie małą przepierkę bielizny.

– Nie jestem głodna.

Żywi się laską z połykiem i piwem.

Dzwoni do tatusia.

Że będzie w przyszłym tygodniu.

Znajomy spogląda na kalendarz.

O, kurwa!

Ciągle Smoleńsk.

Ma być nowa komisja.

Propozycja wieczoru autorskiego w Kalifornii u Polonusów.

Ktoś ma zapłacić za mój przelot.

Kilkanaście godzin z podkurczonymi nogami w samolocie?

Bardzo niebezpieczne. Jeżeli zapłacą, zaryzykuję, będę często chodził do toalety.

Opowiem im o stoliku w kawiarni Czytelnika.

Trudno.

Przypomnę sobie wszystkie szmoncesy Holoubka.

Ale dźwigać ze sobą te książki przy takiej relacji dolara?

Bzdura!

Dawniej to się opłaciło polskiemu autorowi.

Wystarczy, że będę. Znają mnie z tylu powtórek *Czterdziestolatka* i *Tygrysów Europy* na Polonii. Zobaczą mnie na żywo.

Był tam Rubik z koncertem.

Beethoven naszych czasów.

Mieli być po koncercie na kolacji w restauracji „Warszawa" w Santa Monica, ani się nie zjawili, ani nie zadzwonili, ani nie przeprosili, ani nie powiedzieli, że nie przyjadą.

Gospodarze się wykosztowali, ale ja znam te zaproszenia po koncercie, gdy wszystko się przedłuża, wszystko się opóźnia, wszyscy zmęczeni, wszyscy mają gdzieś pierogi po polsku.

Dwie optyki: Polonii i kraju, artystów i cywili.

Byłem dwa, trzy razy albo więcej w Kalifornii.

Pierwszy raz, jeszcze kiedy żył polski kompozytor w Hollywood, Bronisław Kaper, autor piosenki z *Lili,* znanego przeboju filmowego. Oczywiście mieszkał w Beverly Hills. Brał mnie wszędzie ze sobą. Na parties, gdzie grał zachwyconym gwiazdom filmowym piosenki z „Kabaretu Starszych Panów". Poznałem też dzięki niemu młodziutkiego dyrygenta Mehtę na kolacji po koncercie w świeżo otwartej filharmonii w Los Angeles.

Widziałem go ostatnio w Warszawie. Jaki stary!

W Los Angeles największe wrażenie zrobiły na mnie kobiety grające po klubach w bilard. W krótkich spódnicach, kiedy miały trudne uderzenie i musiały się pochylać, prawie kłaść na stole. Mogłem stać godzinami i obserwować... grę.

Wówczas w Polsce nikt nie słyszał o bilardzie.

Następnym razem mieszkałem na początku (albo końcu) Wilshire Boulevard odchodzącego od Beverly Hills. Codziennie rano przejeżdżał tamtędy do studia srebrnym rolls royce'em Alfred Hitchcock. Znajomy malarz, który przy tej ulicy miał galerię, pozdrawiał go uniesionym kciukiem, że jest OK. Hitchcock niezmiennie pokazywał mu kciuk w dół.

Znaczy, że jest do dupy u niego albo u malarza. Wkrótce się okazało, że i u jednego, i u drugiego.

Jeden wkrótce zmarł, drugi żyje.

Byłem też w Kalifornii podczas świąt Bożego Narodzenia. W Warszawie za komuny działał pewien organizator imprez masowych, głównie w Sali Kongresowej, ale i na prowincji. Gigant. Finansowy i towarzyski. Jeździł na chałtury z najpiękniejszą i najseksowniejszą tancerką w Polsce. Nagle zwariował i wybrał wolność. Zniknął.

W LA jestem zaproszony na wigilię do jakiejś polskiej rodziny. Na czas prezentów zjawia się wynajęty Święty Mikołaj. Dzieci zachwycone, dorośli mniej. Coś pieprzy bez związku, jakieś banały, koszałki opałki, myli prezenty. Szukając toalety, nieopatrznie otwieram drzwi do pokoju, w którym rozbiera się z kostiumu Święty Mikołaj po występie. Poznaje mnie. To on.

– Panie Jerzy, powiem panu szczerze, Ameryka to ciężki kraj.

Z trudnością ściąga spodnie Świętego Mikołaja na szelkach.

Mam lecieć po świętach. Bilety lotnicze do Stanów wtedy dużo tańsze.

Marysia Konwicka mówi: Żeby chcieć zaistnieć w Stanach, trzeba podpisać kontrakt z diabłem. Za późno na zaistnienie.

Wieczorem pokaz odnowionego komputerowo *Wesela* Wajdy.

Jest to film zrobiony na zamówienie partii Polska Jest Najważniejsza, ale czterdzieści lat wcześniej.

Gdyby jeszcze ta muzyka nie zagłuszała dialogów i pozwalała na niuanse aktorskie, a nie przekrzykiwanie się z weselną orkiestrą.

To jest tak, jakby się chciało grać *Hamleta* w dyskotece „Platinium" o dwunastej w nocy.

**

Wizyta w sejmie przed świętami Bożego Narodzenia. Jeden z wicemarszałków zaprasza. Przed spotkaniem zachodzę na galerię, już w obszernym przedsionku czuję się jak na Dworcu Centralnym. Pełno jakichś toreb, opakowań do kamer, kabli, sfora ludzi w najrozmaitszych okryciach, kurtkach, kapturach stoi, siedzi, drzemie, pije kawę z termosów, je coś... Dziennikarze. Prężу się przed kamerą w skórzanej kurteczce moja ulubiona Kolenda-Zalewska. A może to nie ona, bo taka jakaś szczupła...

Drzwi do galerii walą za każdym razem, jakby ktoś deską trzaskał w ścianę. Siedzi ospały strażnik marszałkowski. A tu komputery, złącza, rozmowy telefoniczne, głośne gadanie...

- Cicho babo!

Dziennikarka w butach z cholewami i spodniach à la Czapajew patrzy zdziwiona.

Na dole do pustej sali przemawia Dorn w debacie budżetowej.

U wicemarszałka kawa i kanapki.

Gospodarz nagle musi wyjść, bo przyjechał do sejmu Betlejemski Ogień Pokoju i trzeba go powitać.

Przy wyjściu zauważam, że wszystkie poręcze są w formie wijącego się węża. Na końcu każdego szczerzy się otwarta paszcza, gotowa do kąsania. Co miał na myśli projektant architekt, kto to zatwierdził? Co to symbolizuje? Wiją się te węże w całym gmachu...

„Wiara w zdolność wężów do samopożerania się pochodzi od dawnych wyobrażeń węża ułożonego w kształcie koła z własnym ogonem w paszczy" - Wł. Kopaliński.

Czytelnik.

Przy stoliku już tylko malarz Andrzej F. i nieobecny duchem Henryk Bereza, który milczy i patrzy w kierunku wejścia, jakby spodziewał się, że pojawią jeszcze raz ci, co... odeszli. Zniknął gdzieś ksiądz L., może jeszcze przyjdzie, a może nie przyjdzie, wyjechał albo nie wyjechał.

Mówię, że teraz czytam książkę *Sprawa Brześcia.*

Cytuję donosy do prokuratora na Adama Ciołkosza (PPS), że powiedział: „Rzeczpospolita nie miała szczęścia do prezydentów. Jednego zabili jak psa, drugiego wypędzili jak psa, trzeci je im z ręki jak pies" (to o Mościckim).

- Piłsudski miał rację! - krzyczy nagle Andrzej F.

Telefon.

Pojadę do Ameryki na święta albo nie pojadę. E-mail od mojej byłej żony. Jest cały dom do dyspozycji. Oni będą na święta gdzie indziej. Kusząca propozycja, za darmo w temperaturze 18 stopni Celsjusza i przy bezchmurnym niebie.

Dobrze jest mieć byłe żony na różnych kontynentach.

Wernisaż Bakuły. Długo wlokę się autobusem, bo Warszawa zasypana. W środku już pełno ludzi. Kalendarz z Chopinem. Balejaż... chciałem powiedzieć kolaż. Wszyscy zawsze zastanawialiśmy się, dlaczego taki prowincjusz z Warszawy nagle w Paryżu jest pierwszym dandysem. Bakuła chwyciła byka za rogi. Pięknie to pokazuje w swoim kalendarzu - kolażu Chopinowskim.

Nachodzi mnie tam znajoma, świeżo po szpitalu psychiatrycznym. Proponuje mi zrobienie dziecka płci żeńskiej.

- Marzę o dziewczynce.

Uciekam z wernisażu taksówką, bo ta wybiega za mną.

Podobno wyleczona.

Wracam Nowym Światem. Wszystkie knajpy zajęte firmowymi wigiliami. Kiedyś wigilia była jedna. Czekało się na Gwiazdkę, dzieci wybiegały na dwór, aby wypatrzyć tę betlejemską, dzisiaj przez cały grudzień wigilie. Firmowe wigilie integracyjne są głównie organizowane przez firmy z przewagą kapitału izraelskiego - donosi „Nasz Dziennik".

Przed świętami.

„Wzięcie kredytu jest tak proste, że mógłby to zrobić nawet pies".

Przed olbrzymim billboardem reklamującym najnowszą książkę Janusza Głowackiego *Good night, Dżerzi* jakaś kobita.

– Co to? Znów komuna wraca? Ciągle o tym Dzierżyńskim!

Zima. Biało. Idę przez Ogród Saski w kierunku Krakowskiego. Plac Piłsudskiego. Dlaczego oni chcą zabudować te przestrzenie, którymi oddycha miasto. Zasłonili już koszmarnym okrąglakiem światowego architekta tyły Opery. Teraz planują budynki wokół Grobu Nieznanego Żołnierza, który jest symbolem tego, co stało się z nami w 1939.

Wsadzą do budynków urzędników, a ci zasrają dookoła plac samochodami.

Na ulicy.

Mróz. Prowadzą jacyś litościwi ludzie starszego człowieka.

– Gdzie pan mieszka?

– Tam.

– Ale gdzie?

– Nie wiem. T a m.

W nocy transmisja z sejmu. Posłowie zabierają sobie 50 procent dotacji, przelatuję posłów, przelatuję przeprosiny PKP za brak rozkładu, trafiam na Pazurę. Powtórka z Nocy Kabaretowej z Sopotu. Polsat. Aktor trzyma publiczność prawie godzinę w feerii własnych zdolności komicznych. Chyba jest na prochach albo montaż z kilku występów.

Boże, jaki on zdolny! Obraz jego wędrówki po gigantycznym supermarkecie fantastycznie śmieszny. Szesnaście tysięcy żartów, dowcipów, gagów, od żałosnych do świetnych. Czasami dno. Głucha teściowa, z którą siedzi przy kolacji, przytakuje wszystkim. Mamo, chcesz pavulon? Teściowa kiwa głową na znak zgody (ryk śmiechu). Jak głęboko Pazura przykleił sobie maskę komika. Nie do zdarcia. A tak by

się chciało zobaczyć go w czymś poważnym i wiarygodnym. Ale gdzie te scenariusze, gdzie te filmy dla niego? Uroda Steve'a McQueena. Ale musiałby żyć w Ameryce.

Pazura, zatrzymaj się! Chociaż na chwilę.

Frytka kończy 33 lata. O cholera! Jak ten czas leci! Chce zatrzeć przeszłość. Na razie zmieniła imię z Agnieszki na Maja. Maja Frykowska. Babka zaczęła pisać nową książkę. Wnuczka też pisze. Ścigają się. Zmiana imienia to już jest coś. Ludzie zawsze ukrywali się pod pseudonimami, kiedy wywlekali swoje życie przed publiczność.

Organizuje urodziny pod hasłem pomocy dzieciom z ośrodka rehabilitacji. Dzisiaj już nie można bawić się, tańczyć, napić bez chorych i niepełnosprawnych. Nie ma takiej opcji.

Zmiana imienia dla niepoznaki.

Ale idę. Zabiorę wnukowi połowę zabawek, zapakuję na ciężarówkę i przywiozę do dyskoteki na urodziny Mai... Frytki.

Niosę ukochanego słonia wnuka w kolorze różowym dla tych dzieci, dla których odbywa się ta uroczystość.

Nie widzę, żeby ktokolwiek niósł coś podobnego...

Frytka Maja za konsoletą.

Tłum.

Muzyka na ful. „Idziemy na grubo!", woła dysk-dżokejka.

Przy barze proszę o wodę.

- Co?
- Wodę.
- Nie rozumiem.
- Wodę.
- Jak?
- Water! Water, chuju!

Podaje.

Plastykowe dupy.

Jedna tańczy z zamkniętymi oczyma z czterema facetami po kolei, z tym samym wyrazem twarzy obiecującym rozkosze w pierdoleniu.

Inna zgrabna mówi, że zaraz będzie miała licencjat jako inżynier, ale chętnie by zagrała w telenoweli.

– Tam siedzi mój menedżer.

Frytka szaleje. Świetna na ekranach w różnych wcieleniach, nie podoba mi się tylko, gdy flaga z orłem zasłania jej piersi.

Producent filmu o wojnie polsko-polskiej z jakąś dupą.

Nie mam komu dać słonia.

Na dole dyskoteki siwy już Piotr M., który miał pierwszą prywatną aptekę z lekami zagranicznymi w Alejach Ujazdowskich.

– Moja narzeczona – przedstawia jakąś dziewczynę. – Dwadzieścia jeden.

– Kto to?

– Dwadzieścia jeden.

Ta informacja wystarczy, aby opisać własny sukces i drugiego człowieka.

„Dwadzieścia jeden".

Lat, oczywiście.

Tańczą dwie piękne kobiety. Jedna w czarnym, druga w białym kapeluszu jako les.

Wnoszą tort.

Wnoszą pudło z prezentem. Okazuje się, że jest to młody mężczyzna, prawie goły, na którym jest poukładane sushi.

Kobiety rzucają się na żarcie. Frytka łapie sashimi z rejonów krocza.

Wszystko w rytmie oszałamiającej muzyki motorycznej.

Mojego słonia kładę na stercie prezentów, ale zaraz z żalu chcę go zabrać do domu. Obsługa zawraca mnie na miejsce. Kładę słonia, może jakieś chore dziecko się ucieszy.

Wychodzimy na śnieg i mróz.

Maja Frykowska świetna. Coś w rodzaju Madonny, kręcona w obwarzanki fryzura, dobry makijaż, kostium.

Pełna energii i wigoru. Trochę bez seksu. Ale jako showmenka super.

I co z tego? Dokąd pofrunie? Będzie prowadziła *one man show* w jednej stacji telewizyjnej, drugiej... Jak długo i co potem? Smutne.

Ale ma swoje pięć minut.

Wigilia filmowców.

Jestem za korporacyjną organizacją społeczeństwa. Piekarze, sprzedawcy, kucharze, sprzątaczki, lekarze i pokojowi malarze. Razem, młodzi przyjaciele... Sprawujmy rządy ludzi pracy my, a nie bezosobowi urzędnicy za nas.

Czarno od garniturów na sali. Mało kobiet. Dużo siwych czupryn. Załóżmy Koło Siwych Włosów, podbarwionych szamponem z alg Morza Śródziemnego, dających naszym włosom siwiznę w kolorze lekko niebieskim.

Na estradzie doroczne nagrody stowarzyszenia. Trochę zazdroszczę, chociaż dawni starzy członkowie związku mówili cynicznie: „Dla młodych zaszczyty, dla nas pieniądze". Ale już ich nie ma.

Jedyna nagroda, jaką dostałem od filmowców w życiu, to nagroda Zgniłego Grona za najgorszy film dwudziestopięciolecia Polski Ludowej pt. *Dzięcioł.* O mężczyźnie z bloków, którego żona wyjechała na weekend, a on chciał przeżyć jakąś przygodę. Oderwać się od blokowej szarości, słuchając głosu ptaków leśnych, a szczególnie czarnego dzięcioła. Nic nie zrozumieli. Wierzyli wówczas tylko w doraźną agitkę uznającą sprzeciw wobec milicji i władzy. Ale też tylko w aluzjach, bo nikt im nie pozwolił na mówienie czegoś wprost.

Wręczanie nagród. Młode asystentki prowadzą nagrodzonych na podium. Prowadzący wymienia nazwiska. Zdziwienie, że tak dawno pracowała, a tu taka młoda... Okazuje się, że to siostra, wnuczka albo córka chrzestna.

Z laureatów tylko autentyczny Chmielewski, określony jako polski Billy Wilder i Rene Claire, wszedł na estradę o własnych siłach.

Rozmowy głównie o chorobach. Temu wycięli to, mnie usunęli połowę żołądka, ja urodziłem kamień, przyszedłem na tę wigilię prosto ze szpitala...

Starozakonni żrą opłatek bez opamiętania, chrześcijanie barszcz z zimnymi pasztecikami.

Cały weekend przedświąteczny czekam na wiadomość, czy KLM da mi ulgowe bilety do Stanów. Jeżeli nie, to za własne pieniądze lecę do Izraela nad Morze Martwe. Tam podciągnę się w języku rosyjskim od ruskich Żydów, najem się koszernej strawy, co mi dobrze zrobi na samopoczucie i trawienie.

Jest wiadomość! Lecimy! Tuż przed Nowym Rokiem. Czy dolecimy? Tysiące ludzi koczują na lotnisku Heathrow na odwoływane co rusz loty.

Też byłby niezły sylwester wśród tysiąca podróżnych różnych narodowości, kolorów skóry, religii i dewiacji seksualnych. Hetero, les, chłopaki, nieletnie, pełnoletnie... Powitanie Nowego Roku na sali odpraw w Londynie – bomba!

Mam nadzieję, że tak będzie. To by była przygoda życia. Można by było znaleźć sobie towarzyszkę jak ze snów albo zagranicznych filmów: Tajlandka, Murzynica, ślepa milionerka z NY, widząca z Ukrainy, kulawa, ale bogata, biedna, ale przepiękna... i niewinna. Traci ze mną cnotę w toalecie dla niepełnosprawnych na lotnisku w Nowy Rok. Toaleta jest przestronna, wyposażona w liczne barierki, wsparcia, podnośniki umożliwiające różnorodność figur erotycznych. Odpoczynek, szampan i ponowne ekscesy. Pełen komfort. Walenie w drzwi, a my nic, robimy swoje... Nagle komunikat, że lecimy, a my nic, robimy swoje... Obsługa wyważa drzwi, a my nic, robimy swoje... Budzę się zlany potem.

Wigilia coraz bliżej.

„Każda ideologia głosi «jak być powinno». Z tego powodu ginęły miliony ludzi... A jak «jest»? Lub «jak było». Nikt tego nie chce".

Jeszcze przed wyjazdem zaproszenie na spektakl.

Gombrowicz w teatrze, gdzie dawniej był basen pływacki YMCA. Ile trzeba determinacji, aby wyjść z domu w zawieję śnieżną w przedświątecznym czasie i oglądać aktorów mówiących tekstem pana Witolda? Cała sala, razem z panem prezydentem i jego żoną, z nabożeństwem słuchają fragmentów *Dziennika.*

Połowę można opuścić. Naród, Polskę, Kościół, wiarę... naftalina. Od połowy Peszek i czarny półgoły chłopak zaczynają koncert na mężczyznę i jego utajone chęci.

Do końca bardzo dobrze i warto. Motyw ręki i odwróconego na plecy chrabąszcza przebierającego nóżkami, świetne. Etiuda dwóch mężczyzn za barem: Adamczyk i Peszek, majstersztyk.

Motyw ręki znajduję u Geneta w *Pamiętniku złodzieja,* czyżby pan Witold zerżnął od Francuza?

Na spotkaniu po spektaklu, znów po wódce, jestem chamski. Pytam Chyrę, czy zagrałby coś bez pieniędzy? Mruknięcie. Ale kocham go za jego aktorstwo i marzę, aby z nim pracować. Dlatego go prowokuję.

Powrót. Przystanek nocnego autobusu przed dawną Cepelią na rogu Jerozolimskich i Marszałkowskiej.

Co za typy!

Jakaś licealistka uczy się roli do *Romea i Julii,* którą ma grać jutro w szkole.

Pomaga jej przypadkowy pijaczek. Popisuje się *Odą do młodości.* Gdy wsiadam do autobusu, krzyczy za mną... *Bema pamięci żałobny rapsod.* Co pan na to?

Pytałem go wcześniej, co robi poza czekaniem na nocny autobus. - Układam płytki łazienkowe -mówi spokojnie.

Co za ludzie?!

A to Polska właśnie.

Wigilia.

Zapominam opłatka. Dzielimy się w rodzinie chlebem, niestety, na zakwasie. Dostaję prezent. Piżamę. Napis na metce: *Keep away from fire* (?).

Boję się włożyć.

Też strach przed lotem do Stanów przez Londyn. W Europie brakuje glikolu do odśnieżania samolotów. Jakiś polski internauta reklamuje fabrykę glikolu w Zgierzu. Kupujcie *skolko ugodno.*

To jest ta nasza „zielona wyspa".

Brawo!

Donoszą mi, że mój ukochany aktor Andrzej Ł. tuż przed wigilią poślizgnął się tak nieszczęśliwie w łazience (mimo że na dworze odwilż), że rozbił głowę o brodzik, uderzył się w kolano i nie może wstać z łóżka. Ma prowadzić sylwestra w Filharmonii z Anną Seniuk, też moją ukochaną aktorką. Co to będzie? „Witam Państwa..." – o kulach. Anka na razie bez obrażeń. Zdrowa. Ale do sylwestra jeszcze kilka dni.

Łazienki są zmorą ludzi dbających o higienę. Sam trzymam się specjalnych uchwytów, bo o poślizgnięcie bardzo łatwo. Zwykle narażone jest biodro, na szczęście w produkcji sztucznych bioder nasi naukowcy przodują.

Z Andrzejem źle. Siedzę obok jego żony w Radziejowicach. Jeździ do niego do szpitala w Grodzisku. Przed i po południu. Tyle o niej napisano fałszywego, nagadano, napluto. Okazuje się dzielnym i oddanym człowiekiem.

**

Stojący u mnie „zegar stojący" żyje w zgodzie z prawem przyciągania ziemskiego. Ten, co na rękę, ma trudności. Obracany do góry nogami,

przy wymachiwaniu ręką, poruszaniu się właściciela w różnych pozycjach, traci swoją punktualność.

Dopiero cierpliwy Szwajcar Frederique Constant wymyślił, jak oszukać przyciąganie ziemskie. Skonstruował miniaturowy mechanizm, tourbillon, który temu zapobiega. Mechanizm składa się z ponad setki części wyprodukowanych ręcznie z dokładością do dwóch mikronów. Aby go złożyć, potrzeba pracy przez miesiąc, osiem godzin dziennie, jednego pracownika firmy. Taki zegarek ani przez ułamek sekundy się nie spóźnia ani nie przyspiesza, gdy właściciel macha ręką, wskazując na cokolwiek, bije pięścią w stół, rzuca nim w powietrze. Kosztuje dokładnie o tyle drożej, ile wynosi miesięczna pensja pracownika ślęczącego od rana do nocy nad tym miniaturowym urządzeniem, wymyślonym przeciw naturze rzeczy i przeczącym Newtonowi.

Interweniuje, korygując pozycje zegarka, 28 800 razy na godzinę.

Coraz bardziej wymykamy się prawom natury.

Czym to się skończy?

Pasek do zegarka, żeby powstał, trzeba zabić aligatora w Afryce, reszta *made* w Szwajcarii.

W nocy przed odlotem nakręcam zegar. Nagle nieopatrznie dotykam wahadła, które wypada z hukiem, potrącam wagi, wszystko leci mi na łeb.

Przelatuje mi przez głowę myśl – sam mówiłem, że kupuję ten zegar, aby mógł zostać zatrzymany, gdy właściciel zejdzie z tego świata. Teraz ten niebezpieczny lot przede mną! Czy czasem nie wrócę tu w blaszanej trumnie? Może to znak?

Zaczynam nerwowo składać zegar do kupy, nie mając zielonego pojęcia, jak to działa. Pracuję do rana. Wreszcie wszystko na swoim miejscu. Poruszam palcem wahadło. Zegar tyka. Nie ruszam godziny. Niech będzie, jaka chce.

Tak! Lecę do Stanów.

Tylko czy wylecimy z Okęcia? Zapowiadają burze śnieżne i zamiecie.

Najpierw do Londynu. A tam nie wiadomo.

Mam nadzieję, że będę miał tylko taki problem podczas zabawy sylwestrowej w LA.

„Wstrząśnięte" czy „zmieszane" martini? Czy barman ma wstrząsać w szejkerze czy łagodnie mieszać lód z alkoholem?

Tym się będę zajmował!

Jestem za łagodnym mieszaniem. Nie zabija smaku martini, nie trzeszczą drobiny lodu między zębami. Czuję się jak James Bond, który też tak zamawiał.

„Maj nejm is Bond, Juryj Bond". Tak się będę przedstawiał.

Kiedy rabiego Zalmana zapytano: „Jak należy pojmować to, że wszechwiedzący Bóg w Raju mówi do Adama: «Gdzie jesteś?»", rabi Zalman odpowiedział: Bóg zawsze woła do człowieka, gdzie jesteś w swoim świecie? Do czego doszedłeś? Upłynęło już tyle odmierzonych ci lat i dni, a dokąd doszedłeś? Gdzie jesteś?

Lecimy. Chcemy. Ale najpierw w Warszawie odśnieżanie samolotu glikolem. Leją dookoła, szczególnie stery i lotki na skrzydłach. Pamiętam, kiedyś w Pradze babuszki miotłami zgarniały śnieg z dużego odrzutowca amerykańskiego. Spóźniliśmy się na połączenie do Nowego Jorku o dwie godziny. Teraz to nam nie grozi. W skafandrach jak z jakiegoś filmu science fiction polscy ludzie usuwają zmarzlinę.

W górę!

Londyn. Lądowanie. Dostaję się w korkociąg angielskiego systemu antyterrorystycznego. Pokazuję paszport i Boarding Card po raz dziesiąty, setny, tysięczny. Boarding Card. Dawniej pasażerowie spokojnie w tranzycie przechodzili do innej części lotniska. Teraz podlegają takiej samej procedurze kontroli, jakby właśnie wkroczyli na lotnisko prosto z ulicy.

Długie kolejki.

Jakiś wściekły badacz i znawca, kto może być terrorystą, po raz kolejny przerzuca mi rzeczy, próbuje lekarstwa, wącha czujnie, otwiera środki na przeczyszczenie, liże... I znów Boarding Card, przy wejściu do samolotu Boarding Card i paszport, w samolocie już tylko Boarding Card... i wreszcie wpadam w ciasną dziurę w formie fotela.

Uff!

Lot nad wielką wodą, ponad kulą ziemską, nad Grenlandią, bo Ziemia sama się przesuwa w dobrym kierunku, i nam, Ziemianom, łatwiej wtedy pokonywać tę piekielną trasę na zachodnią stronę Ameryki. Samolot gigant, małe ekraniki w fotelach naprzeciwko, gdy gaśnie światło, one świecą programami, które łykają wszyscy do wyboru i koloru, dzieci, starcy, średniaki. Karmią ich takim samym plastikowym pokarmem dla duszy, jak dla ciała, owiniętymi szczelnie w folię kanapkami.

Piję wino, chowam drugą butelkę na zapas, chodzę do toalety, aby zapobiec bólowi nóg. Zagaduję jakieś staruszki, aby móc dłużej stać, a nie siedzieć w ciasnym fotelu, skurczony. Rozpoczyna się walka z czasem i przestrzenią. Szkoła przetrwania! Zazdroszczę tym w biznes klasie, mogą mieć wyciągnięte nogi i spać zdrowo i spokojnie.

Z nudów czytam samolotowe pisma.

Do rodzimych orgazmów dodaję to, co odkrywam w amerykańskim „New Yorkerze". Myślałem, że już dawno nie wychodzi to pismo, ale ono ciągle żyje. Opowiadanie, a w nim takie oto okrzyki kobiety przy stosunku płciowym.

Na początku banalne: „Oh, tak! Tak! God, tak...". Potem bardziej zaangażowane: ‚Weź to...

Weź wszystko!". Do zdumiewających: „Maluj swój pejzaż we mnie! (?). Maluj zbliżający sie sztorm. Wiatr. Błyskawice. Tajfun! Maluj!... Maluj!".

Nagle jakiś syk w toalecie obok, jakby się coś zepsuło, jakaś dziura powstała i wylatuje powietrze, wyciąga... Wołam stewardesę, przerażony, żeby nas nie wyssało, jak widziałem to na tylu amerykańskich filmach. Ona przynosi mi z uśmiechem dwie zatyczki do uszu. Zrozumiała, że przeszkadza mi ten upiorny dźwięk. Może to dekompresja?! Już czuję zimno, moje oskrzela! Stewardesa spokojnie pomaga mi ulokować zatyczki w uszach.

Pod nami Alaska. Pod nami popękane zwały lodu, a potem góry, lasy, rzeki. Znamy tę krainę albo z filmu, albo z powieści: sanki, psy... ale z dołu. Ziemski punkt widzenia.

Odkrywam korzyści zasłoniętych oczu do spania. Zamiast spać, próbuję jeść kolację z zasłoniętymi oczyma, doświadczenie niewidomego... bardzo ciekawe.

Coraz więcej ludzi chodzi w ciasnym przejściu między siedzeniami. Strach przed zakrzepami. Obijamy się o siebie. Dziesiąta godzina lotu.

Z jednej strony ciemno - biegun, z drugiej słońce - Kalifornia. Na ekranie telewizora w siedzeniu naprzeciwko napis: „Nieważne, jak daleko lecisz. Pamiętaj, skąd jesteś?". Reklama whisky marki „Chiwas".

Pamiętam.

Lądowanie.

Zyskuję w swoim życiu dodatkowy dzień. Tyle godzin upłynęło, a ciągle jestem w ostatnim dniu roku Osła. Airbus i obracająca się Ziemia we właściwym kierunku darowuje mi ten dzień. Wyleciałem o jakiejś godzinie i po ośmiu godzinach jestem o tej samej godzinie na ziemi.

Zapominam, że mi odbiorą tę godzinę w drodze powrotnej.

Kronos czuwa.

Już prawie dwadzieścia godzin podróży, od kiedy wsiadłem do taksówki na zaśnieżonej ulicy w Warszawie.

Arrivals. Przyloty.

Imigration oficer. Siwy, wściekły i już źle nastawiony do mnie, bo nie trzymałem bagażu w ręku, ale położyłem go na ziemi. *I dont let you in.* Dlaczego!? Nie masz biletu powrotnego. Mam, mam, chwileczkę... Szukam. Znajduję. Niezadowolony, stempluje mi paszport. Pozwala mi *In.* Mały piesek z małą kobietką w mundurze długo obwąchuje moje torby.

Kalifornia. Zamiast słońca i radości - wiatr, zimno, kropi deszcz.

Wkładam zimową kurtkę, tak mi przyjazną w Egipcie, Zakopanem, na Kasprowym Wierchu, i okazuje się, że tutaj też. Mówią, że czegoś takiego nie było od lat.

Mnie się zdarza.

Sylwester w obcym mieście. Mózg kompletnie zresetowany przez zmianę czasu, podróż i nieznanych mi ludzi. Cmok, cmok w oba policzki, szampan, Happy New Year! I pustka. Tego chciałem, tego się spodziewałem. Tym będę teraz żył - białą pustą kartą w głowie. Nic mnie nie obchodzi... i nic mi się nie zapisuje, nic nie przelatuje przez głowę przed zaśnięciem.

Boże, jak łatwo będzie tu żyć... przez tydzień.

Druga w nocy. W sylwestra! Wyjeżdżamy na miasto. Wszystko zamykają. Znajduję na jezdni porzucony, smutny papierowy cylinder ze złotym napisem HAPPY NEW YEAR! Wkładam go na głowę, czuję się od razu szczęśliwy. Coraz bardziej pusto na ulicach. W jednym lokalu pali się światło i młoda Japonka zaprasza do środka. Alkoholu już nie wolno. Ona tańczy, jest seksy, zgrabna i ponętna. Po prostu fantastyczna. Zaprasza innych. Powoli gromadzą się na parkiecie inni przypadkowi przechodnie. I Murzynica, i kilka californian girls, które telefonują bez przerwy, i jacyś faceci, wysoki blondyn w cylindrze podobnym do mojego, a wśród nich gospodarz lokalu, ni to Hindus, ni

to Metys, Arab albo Meksykanin, uśmiechnięty, życzliwy i sympatyczny, pijany albo zdragowany.

Nagle pojawia się policja. Wzywają do wyjścia.

– No music! No music!!!

Okej! Tańczymy bez muzyki. Okazuje się, że to nie ma najmniejszego znaczenia, jeśli jest okej.

Wita nas deszczowy ranek, wcale nie ten z folderów. Napisu HOLLYWOOD nie widać.

Nic w głowie. Może tylko ta Japonka o tak szczerym uśmiechu, ale jednocześnie odległa o setki tysięcy lat świetlnych.

**

Zaczyna się nowy, nowy rok.

Wszystko jest na odległość ręki. Ale wymaga decyzji.

Jestem jak ten głodny osioł Buridana, przed którym położono w równej odległości dwie wiązki siana i nie mógł się zdecydować, którą zjeść. „Gdyby postawić na jego miejscu człowieka w sytuacji takiej równowagi, powinno się go uważać za najgłupszego człowieka świata, gdyby miał zginąć z głodu i pragnienia".

Spinoza po latach zmienił zdanie.

W pierwszym wypadku wypowiadał się po stronie prawdy, że wola jest wolna, w drugim, że wola jest niewolna. Pisał:

„...człowiek postawiony w takiej równowadze / gdy nic innego nie poznaje, jak pragnienie i głód, taki napój i taką strawę, która znajduje się w jednakowej od niego odległości / zginie z głodu i pragnienia".

Ginę.